



# *Louise Allen*



## *Kochanek Lady Felsham*

**Klan Ravenhurstów 01**

## *Rozdział pierwszy*

„Chcę bohatera”. Bel wpatrywała się w czarny druk zmęczonymi oczyma.

- Ja także, lordzie Byron, ja także. - Z westchnieniem odgarnęła z twarzy pukiel ciemnych włosów i powróciła do lektury „Don Juana”. I ona, i poeta potrzebowali bohatera, ale każde z nich, oczywiście, z innego powodu. Poeta szukał odpowiedniej postaci do swej opowieści, Belinda zaś, lady Felsham, po prostu była spragniona romantycznych przeżyć.

Nie, to nie do końca była prawda. Bel zaznaczyła palcem miejsce, gdzie przerwała czytanie, i zapatrzyła się przed siebie. Powinna być szczerą w stosunku do siebie. Jej pragnienia nie były proste i z pewnością nie były niewinne oraz nie dotyczyły błędnych rycerzy.

Położyła się na białej niedźwiedziej skórze, służącej za puszysty dywan, i odrzuciła na bok książkę, omal nie przewracając kandelabru, którego światło pozwalało jej czytać. Było dobrze po drugiej w nocy, świece zaczynały się już dopalać, więc za parę minut musiałyby wstać, żeby się nimi zająć, lub pójść do łóżka i próbować zasnąć.

Wyciągnęła nogę i palcami bosej stopy pogładziła ucho niedźwiedziego łba, nie bacząc na wyszczerzone kły, skierowane w stronę drzwi sypialni.

- Nie tego chcę, Horacy - powiedziała na głos. - Nie pragnę blasku księżycy i nastrojowej muzyki ani powłóczyстых spojrzeń. Chcę przystojnego, fascynującego mężczyzny, który da mi rozkosz w łóżku. Tak! Chciałabym mieć kochanka.

Horacy przyjął wyznanie w milczeniu, zwykle nie odpowiadał na żadne ze zwierzeń wlewanych przez lata w jego poźółkłe, kudłate uszy. Mając dzie-

więć lat, Belinda zachwyciła się nim i kazała go przenieść z gabinetu swego ojca chrzestnego do własnej sypialni, gdzie pozostał już na stałe.

Henry, wicehrabia Felsham, zmarły mąż Belindy, próbował protestować przeciwko wielkiej; nadwerężonej przez mole niedźwiedziej skórze w sypialni żony, jednak Bel, zazwyczaj uległa wobec wymagań męża, uparła się i Horacy pozostał na swoim miejscu. Henry, wizytujący sypialnię żony dwa razy w tygodniu, zawsze ostentacyjnie omijał Horacego, wzdychając przy tym wymownie. Być może wyczuwał, że rozmowy z Horacym dostarczają jego młodej żonie więcej przyjemności niż jego mężowskie starania.

Bel usiadła, splótła ręce za plecami i z zadowoleniem rozejrzała się po pokoju. Podobał się jej, mimo iż mieszkała w nim sama, bez swego wymarzonego kochanka. W ogóle cały dom bardzo jej się podobał, był prawdziwym klejnotem na Half Moon Street. Zamieszkała w nim całkiem niedawno, kiedy otrząsnąwszy się po półtorarocznym okresie żałoby, zapragnęła wreszcie wyjść do świata i trochę się zabawić.

Dom nadal miał bardzo męski charakter, odbijający gust poprzedniego właściciela. Nie uważała tego za problem. Miała świadomość, że zmiana wystroju przyjdzie jej znacznie łatwiej niż zdobycie odpowiedniego partnera do łóżka.

Bel dopiero się przyzwyczajała do wolności i niezależności, jaką dawał wdowi stan. Nie znaczyło to, że życzyła biednemu Henry'emu śmierci, broń Boże. Zdarzało jej się jednak pragnąć, by jakiś uczynny dzin zabrał go na swym magicznym dywanie gdzieś, gdzie mógłby do woli udzielać wykładów na temat rynien, hodowli bydła i dziesięciny.

Henry miał uciążliwy zwyczaj tkwić przy jej boku, kiedy chciała pobyć sama, a do tego czuł potrzebę wyrażania swych rozwlekłych opinii na dosłow-

nie każdy temat. Poza tym Bel marzyła o tym, by móc dysponować własnymi pieniędzmi.

Żaden dzin się jednak nie pojawił, a biednego Henry'ego zmogła całkiem pospolita choroba, przenosząc go do wieczności w kwiecie wieku.

Bel poczuła, że robi jej się zimno w stopy; należało pójść do łóżka i mieć nadzieję, że miękki materac utuli ją do snu.

Nagle zza drzwi dobiegł jakiś hałas. Bel przekrzywiła głowę, nasłuchując. Lokaj z żoną spali w suterenie. Stangret miał swoją kwaterę na tyłach domu w pomieszczeniu przerobionym ze stajni, a pokojówka i służąca mieszkały na poddaszu. Odgłos się powtórzył, stłumiony łoskot, jakby ktoś się potknął na schodach. Bel próbowała sięgnąć po pogrzebacz, gdy drzwi sypialni otwały się z hukiem, uderzając o ścianę.

W progu stanęła potężna postać, długonoga, szeroka w ramionach, odziana w galowy mundur wojskowy. Migoczące płomyki świec odbijały się w bogatych szamerunkach, pozostawiając w mroku twarz intruza.

- Cóż za cudowna niespodzianka - zabrzmiał basowy głos, radośnie, choć nieco bełkotliwie. - Nie pamiętam cię, złotko. Ale prawdę mówiąc, w ogóle niewiele pamiętam z dzisiejszego wieczoru. I dzięki Bogu - dodał pobożnie.

Zrobił parę kroków w głąb pokoju; czubkami butów niemal dotykał rozdziawionych szczęk Horacego. Bel cofnęła się odruchowo i poczuła, jak rąbek nocnej koszuli owija się wokół jej kostek. Przez głowę przebiegła jej trwożna myśl, czy aby zdoła wstać.

- Kto przesunął łóżko? - obruszył się nieznajomy.

Był pijany. To wyjaśniało, dlaczego bełkotał, chwiał się na nogach i gadał bzdury. Nie wyjaśniało natomiast, skąd się wziął w jej sypialni.

- Proszę wyjść - odezwała się Bel.

Starala się zachować stanowczy ton, mimo iż serce podeszło jej do gardła. Wiedziała, że nie powinna krzyczeć, bo i tak nikt jej nie usłyszy i nie przyjdzie z pomocą, a może rozjuszyć intruza.

- Nie bądź taka niemila, złotko. - Błysnął w uśmiechu białymi zębami. - Nie jest jeszcze aż tak późno. - Zegar na kominku jak na zawołanie wybił trzecią. - Widzisz? - Machnął zamasyście w tamtą stronę, omal nie tracąc przy tym równowagi. - Noc jeszcze młoda. - Głos, choć rozmyty alkoholem, bez wątpienia należał do osoby wykształconej i świadomej swego statusu. Najwidoczniej miała w sypialni pijanego angielskiego oficera, który potrafił przechodzić przez zamknięte drzwi... jakby był duchem. Czuła jednak wyraźny zapach brandy, a duchy raczej nie piły.

- Proszę wyjść - powtórzyła. Doszła do wniosku, że lepiej będzie nie wstawać; czułaby się jak zając uciekający drapieżnikowi sprzed nosa i z pewnością mogłaby sprowokować niepożądaną reakcję. W słabym świetle widziała jedynie trochę zbyt długie jasne włosy, mocno zarysowany podbródek i poruszające się usta, ale to wystarczyło, by jej ciało odpowiedziało lekkim mrowieniem.

- Nie chcę. To byłoby nieuprzejme - stwierdził nieznajomy. - Trzeba być uprzejmym. Musimy się poznać, zadzwonić po butelkę wina i najpierw trochę porozmawiać.

Najpierw? Niby przed czym? Uznała, że bezpieczniej będzie jednak wstać... tylko że nagle do niej dotarło, iż ma na sobie jedynie nocną koszulę z cieniutkiego jedwabiu. Peniuar, równie zwiewny i niewiele bardziej przyzwoity, leżał na łóżku. Bel przesunęła się do tyłu, a nieznajomy w tym samym momencie zrobił krok naprzód... i trafił stopą prosto w otwartą paszczę Horacego.

- Co, u licha...? - Runął jak długi.

Bel leżała wciśnięta w poźólkę niedźwiedzie futro, przygnieciona potężnym męskim ciałem, składającym się z twardych mięśni. Z pewnością nie miał miękkiego brzucha, który by choć trochę złagodził siłę upadku.

- A, tu jesteś - stwierdził z zadowoleniem, jakby się przed nim chowała. Dotykał twarzą jej ramienia; nocny zarost drapał jej skórę, oddech łaskotał.

- Proszę wstać. - Bel z trudem wyswobodziła ręce i próbowała go oddepnąć. Przyszło jej do głowy, że z równym skutkiem mogłaby spychać z siebie szafę... tyle że szafa przynajmniej miałaby sztywne krawędzie, za które mogłaby chwycić. - Podnieś się, ty wielki niezguło.

Zamiast odpowiedzi usłyszała ciche chrapanie tuż przy prawym uchu. W nozdrza uderzył ją silny odór brandy i wina. Próbowała się wydostać spod ciężaru, ale bezwładne ciało śpiącego przykrywało ją niczym koc. Pod plecami miała wprawdzie grube futro Horacego podbite dodatkowo warstwą filcu, ale i tak było jej zdecydowanie mniej wygodnie niż nieproszonemu gościowi. Kolanami wbijał się w jej golenie, co zaczynało być bolesne, dlatego rozsunęła nogi, choć wymagało to nie lada trudu.

- No, tak jest trochę lepiej - mruknęła, kiedy spoczął pomiędzy jej udami. Znów zachrapał przez sen, układając się wygodniej.

To uświadomiło Bel, że bynajmniej nie jest lepiej. Wręcz przeciwnie.

- O mój Boże - szepnęła z przestraczem.

Niewiele się dowiedziała o istocie małżeńskiego pożycia od matki, która rzuciła na ten temat kilka uwag podczas „pogawędki”, jaką odbyły tuż przed dniem ślubu. Spodziewała się, że początki będą trudne i krępujące i właśnie tak to wyglądało. Jednak po pierwszych trzech tygodniach małżeństwa, kiedy wyzbyła się już nieco nieśmiałości, okazało się, że intymne kontakty z Henrym są po prostu śmiertelnie nudne. Próbowała wykrzesać z siebie jakąś namiastkę zainteresowania, jako że Henry czułby się do głębi urażony, gdyby odmówiła mu

swych względów, ale kierowało nią wyłącznie poczucie obowiązku, bo na to, że sama zazna przyjemności, zupełnie nie liczyła.

Odkryła, że omija ją coś wyjątkowego dopiero wtedy, kiedy zaczęła się spotykać w towarzystwie z innymi młodymi mężatkami. Zwłaszcza jedno z takich spotkań zapadło jej w pamięć.

Zjawiwszy się dość wcześnie na wieczorku muzycznym u lady Gossington, znalazła się w otoczeniu grupy kobiet, pięknych jak rajskie ptaki, przy których zawsze miała poczucie, że jest szarą gęsią. Siedziała pośród nich, podczas gdy one spoglądały zza wachlarzy w stronę drzwi i przerzucały się uwagami na temat pojawiających się w progu mężczyzn.

- O, spójrzcie, kto przyszedł - szepnęła pani Roper. - Lord Farrington.

- No tak - podchwyciła jedna z jej towarzyszek - to jest prawdziwy przystojniak. - Bel przyjrzała się uważnie wchodzącemu. Musiała przyznać, że odpowiadał opisowi: wysoki, szczupły, ciemnowłosy, o klasycznym profilu, a przy tym skory do uśmiechu.

- I tak świetnie wyposażony - mruknęła lady Lacey. Pozostałe damy odpowiedziały cichym śmiechem; była w nim dziwna nuta, której Bel nie potrafiła rozszyfrować. Miała wrażenie, że nie jest dopuszczana do jakiejś tajemnicy. - Podobno... - dodała lady Lacey z udawaną niewinnością.

Zazwyczaj Bel w takich sytuacjach zachowywała milczenie, ale tym razem postanowiła się włączyć do rozmowy; ostatecznie o sprawach majątkowych miała niejakie pojęcie.

- Doprawdy? - Lord Farrington ubrany był wprawdzie bardzo elegancko, ale to jeszcze niczego nie dowodziło. - Nie wiedziałam, sądziłam, że fortuna Farringtonów została roztrwoniona przez jego ojca.

Wzbudziła swą wypowiedzią taką wesołość u pozostałych pań, że zawstydzona umilkła. Najwidoczniej powiedziała coś bardzo głupiego. Jakże

jednak miała prosić o wyjaśnienia? Lady Lacey, zdjęta litością, pochyliła się do jej ucha. Bel słuchała z coraz szerzej otwartymi oczyma. Dowiedziała się, o jakie wyposażenie chodziło i jaką wagę przywiązywały do niego kobiety. Z wrażenia brakło jej tchu.

Teraz wreszcie odkryła, co lady Lacey miała na myśli. Nieproszony gość leżał na niej w taki sposób, że jego męskie atrybuty dotykały miejsca, gdzie pod cienką tkaniną jej nocnej koszuli rysował się trójkąt miękkich ciemnych kędziorów. Choć pijany i nieprzytomny, był... wielki. Tylko takie określenie przychodziło Bel do głowy. Skromne doświadczenie nie pozwalało jej czynić porównań, mogła jedynie stwierdzić, że „wyposażenie” Henry'ego było nadzwyczaj skromne.

Bel przestała się wiercić, ponieważ każdy najmniejszy ruch wzbudzał w niej niepokojący dreszcz. Miała wrażenie, że rozpływa się w środku. Piersi jej nabrzmiały aż do bólu, nie tylko od ucisku guzików munduru.

Mimowolnie wydała z siebie cichy jęk.

Przekrzywiła głowę, żeby się przyjrzeć nieznanemu. Niewiele jednak była w stanie zobaczyć, poza czubkiem jasnej czupryny i parą szerokich ramion. Miała ochotę zacisnąć na nich palce. Była podniecona! Jak mogła czuć coś podobnego do mężczyzny, który nawet nie został jej przedstawiony. Wydało jej się to w najwyższym stopniu nieprzyzwoite. Żałowała, że nie może zasięgnąć opinii swej nowej bratowej, Evy, ale nowożeńców nie było w Londynie, spędzali swój miesiąc miodowy we Włoszech.

Eva - wdowa po wielkim księciu Maubourg, obecnie zamężna z bratem Bel Sebastianem - wiedziała wszystko o takich sprawach. Kiedyś była żoną jednego z najsłynniejszych kochanków Europy, a teraz darzyła gorącym uczuciem swojego Sebastiana. Kiedy Bel przez dwoma tygodniami odwiedziła z



okazji ślubu zamek w Maubourg, widziała czułość, jaką bezustannie okazywała sobie ta para.

Nikommu innemu Bel nie ufała na tyle, by zadawać tego rodzaju pytania. Musiała sama poradzić sobie z nowymi odczuciami. Leżący na niej mężczyzna wydawał się dość sympatyczny. Zauważyła, że pod wpływem alkoholu wydostają się główne cechy charakteru, mogła więc chyba założyć, że ma do czynienia z osobnikiem wesołym i przyjaźnie nastawionym do świata. Nie pozostawało jej nic innego, jak poczekać, aż się obudzi i będą mogli normalnie porozmawiać. Zachowując stosowny dystans.

Niełatwo było zasnąć, leżąc pod całkiem atrakcyjnym ciałem nieznanego mężczyzny, zwłaszcza gdy własne ciało zaskakiwało niezrozumiałymi reakcjami. Świece w kandelabrach stopniowo gasły, pokój pogrążał się w mroku, a w panującej wokół ciszy słychać było jedynie regularny oddech śpiącego.

Ciemność sprawiła, że cała uwaga Bel skupiła się na doznaniach odbieranych przez dotyk i powonienie. Dotyk, nie wyłączając ciepłej pieśczoły oddechu na szyi, starała się ignorować w nadziei, że uda jej się zapanować nad napięciem ogarniającym całe jej ciało. Słyszała - prawdopodobnie podczas jednej z tyrad Henry'ego na temat grzechów trapiących ludzkość - że niepohamowane doznania seksualne u kobiet prowadzą do hysterii, a tej należało się zdecydowanie wystrzegać.

Jej nozdrza przywykły już do oparów brandy i zaczęły wychwytywać inne zapachy: mydło, niewątpliwie w doskonałym gatunku, oraz drugi, rozgrzane męskie ciało. Całkiem przyjemne. Henry pachniał po prostu Henrym, zawsze starannie wyszorowany toaletowym mydłem Malcolma, znanym ze swych zdrowotnych właściwości. Ten zapach był inny, miał w sobie coś pierwotnego, co wydało się Bel niezwykle podniecające.

Czyżby zagadnienie pociągu fizycznego było bardziej złożone, niż przypuszczała? Czy zapach, widok i dotyk odgrywały w nim podstawową rolę? A co z umysłem? Miłosnymi pieśniami i poezją? Bel ułożyła głowę w możliwie najwygodniejszej pozycji i zamknęła oczy.

Nie sądziła, że uda jej się zasnąć, ale musiała jednak zapaść w drzemkę, bo kiedy obudziło ją wilgotne dotknięcie w okolicy ucha, do pokoju wpadały pierwsze szarawe promienie świtu. Bel zamarła, przypomniawszy sobie, co zaśzło poprzedniego wieczoru i w jakim położeniu się znajduje. Nieznajomy muskał językiem jej ucho, a potem leciutko skubnął zębami małżowinę. Powinno ją to zabołec, tymczasem odczucie było niespodziewanie przyjemne.

- Ach... - westchnęła bezwiednie, ponownie opuszczając powieki. Jej ciało odpowiedziało na pieszczotę mrowieniem w podbrzuszu.

Ciepłe usta oderwały się od jej skóry i rozległ się głęboki głos, podobny do mruczenia.

- O, obudziłaś się. Dzień dobry, złotko. - Przesunął biodra, zajmując wygodniejszą pozycję między jej udami.

Wcześniejsze doznania Bel okazały się niczym w porównaniu z tym, co poczuła w tym momencie. Ten obcy mężczyzna najwyraźniej miał ochotę na karesy i oczekiwał, że spotka się z jej strony z chętnym przyzwoleniem.

Bel pozwoliła sobie na szaloną myśl, że mogłaby mu zarzucić ręce na szyję i czekać, co się stanie. Pragnęła kochanka i oto zjawił się odpowiedni kandydat. Na szczęście doszedł u niej do głosu rozsądek i dobre wychowanie. Co innego wybrać sobie kochanka spośród mężczyzn, których się zna i szanuje, a co innego oddać się nieznajomemu, który pojawił się prosto z ulicy... choćby był nie wiadomo jak pociągający.

- Owszem, obudziłam się. - Chwyła go za ramiona i próbowała od-  
pchnąć, zła bardziej na siebie niż na niego. - I pan, dzięki Bogu, także. Proszę  
natychmiast wstać.

Nie wstał, tylko zsunął się z niej, lądując na plecach. Odwróciwszy głó-  
wę, przyglądał się Bel zadziwiająco niebieskimi oczyma. Bel pomyślała z roz-  
marzeniem, że mają barwę rozświetlonego słońcem morza. Zaraz potem przy-  
wołała się w duchu do porządku i usiadła.

- Co pan robi w moim domu?

- Zamierzałem zadać ci dokładnie to samo pytanie, złotko. Nie pamiętam,  
żebym cię zamawiał. Prawdę mówiąc, niewiele pamiętam. - Przejechał obiema  
rękami po włosach, mierzwiąc je jeszcze bardziej. - Boże, ależ mam kaca.

- Proszę łaskawie nie bluźnić. To nie ja jestem w pańskim domu, tylko  
pan w moim. I proszę przestać nazywać mnie złotkiem. Mam na imię...

Wstał gwałtownie; próbował się przy tym chwycić poręczy łóżka, ale doń  
trafiła w pustkę. Kołysząc się na nogach, omiół pokój zdumionym spojrze-  
niem.

- Kto mi przesunął łóżko? I co... co to, u diabła, jest? - Wskazał na Hora-  
cego.

- Niedźwiedź polarny. Potknął się pan o niego. - Bel podniosła się mimo  
ból zesztywniałych mięśni. - Kim pan jest?

- Jestem Reynard. - Skrzywił się, przesuwając ręką po brodzie pokrytej  
kiełkującym zarostem. - Ashe Reynard. Major. Wicehrabia Dereham. Nie mó-  
wiłem tego, jak cię wynajmowałem? - Ziewnął szeroko, ukazując dwa rzędy  
mocnych białych zębów. - Bardzo przepraszam.

- Dereham. - Nagle wszystko stało się jasne. - Sprzedał pan ten dom. Te-  
raz ja tu mieszkam. - Nabyła nieruchomość od jego agenta, który poinformo-  
wał ją, że wicehrabia Dereham przebywa na kontynencie z armią Wellingtona.

Wiedziała już także, jak dostał się do środka; nie przyszło jej do głowy, że należy wymienić zamki.

- A, sprzedałem? - Zachwiał się, usiadł na łóżku i zmarszczył brwi. Następnie popatrzył na niedźwiedzią skórę, kandelabry z wypalonymi świecami, a na końcu na nocną koszulę Bel. - To znaczy, że nie jest pani westalką z Drury Lane? Ptaszynką, którą wynająłem na tę noc? Mam przed sobą damę. Do licha... - Przyłożył obie ręce do głowy, jakby mu to miało pomóc odzyskać jasność umysłu. - Przez całą noc przygniatałem panią do podłogi?



## *Rozdział drugi*

Bel spojrzała na zegar stojący na gzymsie kominka.

- Spędziliśmy tak mniej więcej dwie godziny.

Lord Dereham wstał, trzymając się słupka przy łóżku. Przez cały czas wodził oczyma po jej ciele. Na widok uznania w jego wzroku Bel uświadomiła sobie ponownie, że ma na sobie cienką nocną koszulę, która musiała przeświatywać w porannym świetle. Szybko podeszła do łóżka, chwyciła peniuar i założyła na siebie. Reynard zakołysał się na piętach, kiedy go mijala; sprawiał wrażenie rzeczywiście mocno skacowanego.

- Bardzo... przepraszam... - wymamrotał.

- Chodźmy. - Pociągnęła go za ramię. Było twarde jak skała. - Niech się pan trochę prześpi w pokoju gościnnym.

- Nie mam pokoju gościnnego. Tyle pamiętam.

- Pan nie miał, ale ja mam. Dawniej był tam chyba pański gabinet. Proszę za mną. - Próbowała go za sobą pociągnąć, jakby był upartym dzieckiem.

- Chwileczkę. - Wyrwał się jej i przeszedł do sąsiadującej z sypialnią garderoby.

Oczywiście musiał wiedzieć o toalecie zainstalowanej za przepierzeniem w kącie pomieszczenia, wraz z nowoczesnym urządzeniem - wanną z prysznicem.

Bel zostawiła go i wyszła, żeby przygotować posłanie.

Niewielki dom składał się z sutereny, gdzie mieściła się kuchnia, spiżarnie i dwie połączone izby mieszkalne, zajmowane przez małżeństwo Hedgesów. Cały parter wypełniały jadalnia i salon, a nad nimi znajdowała się sypialnia Bel z garderobą i łazienką oraz dawny gabinet zamieniony teraz w pokój gościnny.

- Usunęła pani moje biurko - stwierdził lord Dereham zrzędliwie, stając w progu.

- W tej chwili to bez znaczenia. - Chwyciła go za rękaw i podprowadziła do łóżka. Jak na tak potężnego mężczyznę, zachowywał się wyjątkowo potulnie. - Proszę zdjąć kurtkę.

- Dobrze - mruknął.

Wymieniony element garderoby spoczął na podłodze, a jego właściciel zwałił się na posłanie i natychmiast zasnął. Bel zdjęła mu buty i ustawiła przy łóżku. Nakrywając Reynarda kołdrą, przyjrzała się jego twarzy; oczy miał zamknięte, a niewiarygodnie długie jasne rzęsy rzucały cień na policzki.

- Co ja robię? - powiedziała do siebie na głos, schylając się po kurtkę munduru. Ale co innego miała zrobić? Nie mogła go przecież zepchnąć ze schodów. Sam zejść pewnie też nie byłby w stanie. Nie miała sumienia budzić Hedgesa, który i tak wcześniej zaczynał dzień pracy. Pozostawienie Reynarda w jej sypialni także nie wchodziło w grę. - Do lunchu pewnie nie wstaniesz, prawda? - zwróciła się do urodziwego, pogrążonego w głębokim śnie profilu.

Odpowiedziało jej ciche chrapanie. Zawiesiwszy kurtkę na oparciu krzesła, poszła do siebie, żeby się położyć. Miała wrażenie, że głowę ma równie ciężką jak major.

Obudził ją, stanowczo za wcześnie, kobiecy krzyk, dochodzący ze schodów. Bel usiadła na łóżku, przecierając oczy. Boże, jakaż była zmęczona. Zaczynała sobie przypominać coś bardzo dziwnego, kiedy drzwi gwałtownie się otwały. Do pokoju wpadła służąca Millie, z oczyma wytrzeszczonymi z przejęcia, tuż za nią osobista pokojówka Bel Philpott i wreszcie pani Hedges, zaczerwieniona na twarzy od pośpiesznej wspinaczki.

- Milady - odezwała się Philpott głosem drżącym ze zgrozy. - Na łóżku w gościnnym pokoju leży jakiś mężczyzna!

Mężczyzna w gościnnym pokoju? Mężczyzna? Wielkie nieba! Oczywiście, że był tam mężczyzna. Że też nie pomyślała o tym, co jej służba odkryje, przystępując do porannych obowiązków...

- Tak? - Bel starała się zachować lekki ton. - Wiem.

Zorientowała się, że wszystkie trzy kobiety wpatrują się w jej łóżko. W gładką, nienaruszoną drugą poduszkę i starannie podwiniętą narzutę od tamtej strony. Mogła niemal odczytać ich myśli. Widziały, że pomimo skandalicznej obecności mężczyzny w sąsiednim pomieszczeniu, w łóżku ich pani nie spał nikt poza nią samą.

- Gdybym wiedziała, że spodziewa się pani gościa... - zaczęła pani Hedges, krzyżując ramiona na piersi - ...wywietrzyłabym pościel.

- Wcale się go nie spodziewałam - przyznała Bel szczerze. - To lord Dereham, od którego kupiłam dom. Nagle poczuł się niezdrów, a że szczęśliwym trafem nastąpiło to u naszego progu, skorzystał z posiadanego klucza i schronił się tutaj.

- Ale przecież drzwi wejściowe zamykane są na zasuwę. Hedges co wieczór osobiście ją zasuwają.

- W takim razie musiał to być klucz do tylnego wejścia. - Bel nawet nie przypuszczała, że ma w domu trzy aż tak gorliwe przyzwoitki. - Domyślam się, że jego lordowska mość przechodził akurat tylną alejką, kiedy opadła go niemoc.

- Mam posłać po doktora, milady? - spytała żona lokaja.

- Hm... nie. Niedyspozycja jego lordowskiej mości nie jest medycznej natury. Sama ustąpi po pewnym czasie.

- Był pijany? - Philpott nie kryła oburzenia. - To przechodzi ludzkie pojęcie. Od czego są strażnicy miejskie? Żeby pozwolić jakiemuś hulacemu włóczyć się

po ulicach w takim stanie... Strach pomyśleć, na co mógł narazić bezbronną kobietę!

- Lord Dereham zachowywał się nienagannie i z hm... szacunkiem. - Nie licząc tego, że pieścił jej ucho i przygniatał ją do ziemi swym potężnym męskim ciałem. Bardzo męskim...

Bel stłumiła w sobie westchnienie rozmarzenia.

- I co teraz mamy z nim zrobić, madame? - spytała pani Hedges takim tonem, jakby Bel sprowadziła do domu jakieś egzotyczne zwierzę.

- Najlepiej zostawić w spokoju, żeby się wyspał. - Bel usiadła na łóżku, opierając się plecami o poduszki. - Jak już się obudzi, można mu zanieść kawę i gorącą wodę. Przybory toaletowe mojego męża są w małym kuferku w gotowalni. Znajdź je, proszę, Millie, bo nasz gość pewnie będzie chciał się ogolić. A potem, w zależności od tego, jaka będzie pora dnia, wypada zaproponować posiłek.

Po tej odprawie pani Hedges szybko zeszła na dół, by powiadomić męża o zaistniałej sytuacji, Millie udała się do kuchni po poranną czekoladę dla swej pani, a Phillpott zajęła się porządkowaniem sypialni.

- Jaki strój mam pani przygotować, milady? - Podniosła tomik poezji sprzed kominka i czubkiem buta poprawiła łeb Horacego. Bel obserwowała pokojówkę z ukosa, nie mając odwagi spojrzeć Horacemu w oczy.

- Założę tę nową zieloną suknię, Philpott. Planowałam się wybrać do Hatchedarda, ale chyba będzie lepiej, jak zostanę w domu, dopóki jego lordowska mość jest tutaj. Wyjmij więc na razie brązowe pantofelki z kozłej skóry.

Miała nadzieję, że nowa suknia, pojedynczy sznur pereł i elegancka fryzura wystarczająco odróżnią lady Belindę Felsham od skąpo odzianej kobiety, którą jego lordowska mość przygniatał sobą do ziemi. Bel dobrze pamiętała



własne odczucia oraz błysk w jego oczach, kiedy patrzył na jej cieniutką koszulę.

Niepokojące mrowienie w całym ciele nagle powróciło, wzbudzając rumieniec na jej policzkach. Czy to była oznaka pożądania? A może niezaspokojonego pożądania? Zastanawiała się, czy to doznanie już zawsze będzie mieć jej spokój... dopóki nie znajdzie sobie kochanka.

Opuściła głowę na haftowaną poduszkę, dotykając policzkiem chłodnej tkaniny. Poczwała na skórze wypukłości haftu i od razu przypomniało się jej, jak guziki i szamerunki z munduru majora uciskały jej piersi. Odczekała, aż Philpott zniknie w garderobie, i szybko zajrzała w głąb dekoltu, spodziewając się znaleźć odcisnięte ślady. Oczywiście żadnych nie było. Dlaczego więc miała wrażenie, że wciąż je czuje?

I jak miała stawić czoło lordowi Derehamowi, kiedy ten się obudzi?

Ashe przetoczył się na plecy, zakrywając ramieniem oczy przed światłem bijącym z niezastłoniętego okna. Nawet mocne zaciśnięcie powiek nie złagodziło bólu.

Leżał cierpliwie, jak co rano od miesiąca, czekając, aż odgłosy walki, krzyki i nawoływania, dudnienie dział i salwy muszkietów wyparują z wciąż jeszcze wypełnionego snem mózgu. Walka dobiegła końca. Przeżył. Ten fakt zdumiewał go każdego ranka od nowa. Jak długo jeszcze miał się oswajać ze świadomością, że nie zginął i nawet nie został ciężko ranny? Ile czasu miało upłynąć, nim zacznie znów myśleć jak cywil i znajdzie sobie jakiś cel w życiu, które zachował niemal cudem?

Nie otwierając oczu, rozprostował nogi, uderzając stopami w twardą ramę łóżka. Zdziwił się. Wyglądało na to, że znajduje się w jakimś obcym łóżku, nie w swoim. Z trudem, przez opary brandy, przypomniał sobie kobietę. Wy-

soką, ciemnowłosą, o cudownej figurze; leżąc na niej, miał wrażenie, że jest stworzona do tego, by go trzymać w ramionach. Piękna nieznajoma i biały niedźwiedź. Niedźwiedź? Wielkie nieba! Ile właściwie wczoraj wypił?

Dotknął pościeli obok siebie. Kobiety, którą zapamiętał... a może mu się tylko przyśniła, nie było przy nim w łóżku. Wykrochmalona pościel pachniała świeżością, ale nie wyczuwał śladu perfum ani tego subtelnego, zmysłowego porannego zapachu uśpionej kobiecości.

Nadszedł czas, by wreszcie otworzyć oczy. Krzywiąc się i mrugając, spojrział w stronę okna. Wydało mu się znajome. To było okno gabinetu w jego domu. Tyle że znikło stojące zawsze przy nim biurko i półki z książkami. Pokój został zamieniony na sypialnię. Odrzuciwszy kołdrę, odkrył, że nadal jest częściowo ubrany. Buty znalazł równo ustawione przy łóżku, a kurtkę od mundurku zawieszoną na oparciu krzesła. Nie pamiętał, by zdejmował z siebie jedno lub drugie.

Sznur od dzwonka, dzięki Bogu, znajdował się na swoim miejscu. Ashe przeszedł przez pokój, przeklinając w duchu piekielny ból głowy, i pociągnął za ozdobny chwost, następnie usiadł na brzegu łóżka i czekał ciekawy, kto się pojawi.

Z jednej strony, przekonany, że jest we własnym domu, oczekiwał swojego kamerdynera, z drugiej był przygotowany na to, że ujrzy białego niedźwiedzia albo piękną kobietę. Nie spodziewał się natomiast zupełnie obcego lokaja w liberii, który trzymał na srebrnej tacy szklanekę z jakimś mętym brunatnym płynem.

- Dzień dobry, milordzie. Może ten specyfik przyda się panu, by uśmierzyc ból głowy. Życzy pan sobie kawy, zanim przyniosę panu wodę do golenia?

- Wiesz, kim jestem?

- Major wicehrabia Dereham, jak rozumiem, milordzie.

- A ty kim jesteś? - Ashe bez zastanowienia sięgnął po szklanę i opróżnił ją do dna jednym haustem. Dobrzy lokaje zawsze mieli w zanadrzu tego rodzaju obrzydliwe, lecz skuteczne lekarstwa. Jego żołądek gwałtownie zaprotestował, po czym nagle się uspokoił. Istniała szansa, że przeżyje.

- Nazywam się Hedges, milordzie. - Lokaj odebrał od Ashe'a puste naczynie. - Kawy? Pani prosiła, żeby pan zjadł z nią lunch, jeśli poczuje się wystarczająco dobrze.

Pani?

- Nie jestem żonaty, Hedges.

- Skoro pan tak twierdzi, milordzie. Miałem na myśli lady Felsham. Z tego co mówiła, zrozumiałem, że w nocy był pan trochę niedysponowany i schronił się tutaj, ponieważ zna pan to miejsce.

Zatem nie oszalał, naprawdę był w swoim domu. Nagle sobie przypomniał, że go sprzedał. Trzy miesiące temu napisał z Brukseli do swojego agenta Grimballa. Ten wygodny mały dom był jednocześnie za duży i za mały na jego potrzeby.

Ashe Reynard posiadał obszerną rodzinną siedzibę - przypominającą nieco mauzoleum - gdzie jego matka i siostry zatrzymywały się podczas swych często niezapowiedzianych przyjazdów do Londynu, a po sprzedaży tej nieruchomości Grimball wynajął mu apartament w Albany, co stanowiło rozwiązanie nader komfortowe przy kawalerskim trybie życia.

Ale kim, u diabła, była lady Felsham? Z pewnością nie tą boginią w przezroczyстых jedwabiach, którą coraz wyraźniej zaczynał sobie przypominać. Bogini zapewne tylko mu się przyśniła, wiedział bowiem, że takie kobiety nie istnieją naprawdę.

Lokaj cierpliwie czekał na jego decyzję.

- Kawa to dobry pomysł, dziękuję, Hedges. Potem proszę o gorącą wodę. A co do lunchu, z radością przyjmuję zaproszenie. - Zmarszczył brwi. - A gdzie jest lord Felsham? - Jeśli pamięć go nie myliła, Felsham był od niego starszy, miał jakieś trzydzieści pięć lat, i wszyscy go unikali, ponieważ był straszliwym nudziarzem. Nie należało się raczej spodziewać, że lunch będzie wielką rozrywką, ale nie miał wyjścia, musiał jakoś wytrzymać.

- Z przykrością informuję, że jego lordowska mość odszedł prawie dwa lata temu w wyniku ciężkiego przeziębienia, którego się nabawił, kontrolując stan rynien w Felsham Hall. - Lokaj chrząknął dyskretnie. - Lady Felsham dopiero niedawno zakończyła żałobę. Jeśli zechce pan zdjąć koszulę, milordzie, to postaram się doprowadzić ją w miarę możliwości do porządku.

Rozebrany do pasa Ashe ogolił się starannie, świadomy, że jego kondycja pozostawia wiele do życzenia. Patrząc w lustro, pocieszał się, że przynajmniej wygląda nie najgorzej. Tygodnie spędzone w terenie, gdzie ćwiczył swoje oddziały, sprawiły, że skóra na twarzy mu ogorzała, mięśnie się wzmocniły i jedna noc hulanki nie dokonała większych spustoszeń... przynajmniej na zewnątrz.

Ponieważ wewnątrz było znacznie gorzej. Zastanawiał się, co takiego mógł zjeść i wypić, że miniona noc przebiegała aż tak burzliwie. Początek był całkiem niewinny. Wstąpił na chwilę do swojego nowego mieszkania, po raz ostatni przebrał się w galowy mundur i poszedł prosto do Watiera, nakazując Race'owi rozpakowanie rzeczy.

Byli tam wszyscy jego towarzysze broni, którzy przeżyli Waterloo i mieli dość siły, żeby wrócić do Anglii. Tak jak sobie przyrzekli w noc przed bitwą, zebrali się, żeby jeść, pić i wspominać. Wspominać tych, którzy mieli mniej szczęścia i nie mogli się z nimi dzielić brandy i szampanem, wspominać własne przeżycia .z piekła, bo tak nazwano tę jedną z najcięższych bitew w histo-

rii. Próbowali przy tym zapomnieć, że odtąd będą musieli od nowa uczyć się bycia angielskimi dżentelmenami i powrócić do trybu życia, który porzucili, wstępując do wojska.

To było jasne. Doskonałe jedzenie u Watiera, toasty szampanem, a potem brandy lejąca się szerokim strumieniem. Żadnego zasiadania przy karcianych stolikach, żadnego flirtowania z fordanserkami, które otoczyły ich wianuszkami zwabione mundurami, jedynie picie i rozmowy do późnej nocy. Świętowanie tego, że przeżyli.

W końcu, musiało być wtedy około wpół do trzeciej nad ranem, wyruszył przez Piccadilly w stronę Albany. A potem w jego zmaconym alkoholem umyśle musiał się odezwać stary nawyk, bo skręcił w Half Moon Street i boczną alejką dotarł do tylnych drzwi swojego domu. Nie pamiętał ani tego momentu, ani wchodzenia po schodach, ani tego, co nastąpiło później. Różnych rzeczy mógł się spodziewać w sypialni wdowy po jednym z najnudniejszych ludzi w Anglii, ale na pewno nie ciemnowłosej Wenus i białego niedźwiedzia.

- Pańska koszula, milordzie, i pańskie buty. - Hedges stanął w progu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jaki spotykało się tylko u najlepiej wyszkolonych angielskich lokajów. - Pozwoliłem sobie również pożyczyć jeden z krawatów zmarłego pana.

- Dziękuję. - Ashe ubrał się milczeniu, przyczesał niesforne włosy, odczekał, aż Hedges skończy czyścić szczotką kurtkę munduru, po czym zszedł za lokajem na dół. Czuł się trochę skrepowany, że o tak wczesnej porze występuje w pełnej gali, połyskując srebrnymi szamerunkami, ale mógł śmiało zakładać, że niestosowność stroju jest najmniejszym z jego wykroczeń.

- Lunch zostanie podany za jakieś dwadzieścia minut, milordzie. - Ashe zdążył się rozejrzeć na tyle, by stwierdzić, że lady Felsham nie zmieniła funk-

cji pomieszczeń na parterze, nim Hedges otworzył drzwi i odchrząknąwszy, rzekł oficjalnym tonem: - Major wicehrabia Dereham, milady.

Ashe wziął głęboki wdech, obciągnął mankiety munduru i zdecydowanym krokiem wszedł do salonu, żeby stanąć oko w oko z wdową, do domu której wdarł się minionej nocy.

Powietrze uwięzło mu w płucach na widok lady Felsham. Spodziewał się ujrzeć sztywną kobietę w średnim wieku, odzianą na czarno, tymczasem na środku pokoju stała jego Wenus i zarumieniona patrzyła na niego szarymi oczyma.

Tym razem była przyzwoicie ubrana w elegancką zieloną suknię, przy której jej starannie ufryzowane włosy lśniły niczym wypolerowane drewno. Na szyi miała pojedynczy sznur pereł.

- Lordzie Dereham. - Wyprostowana, dygnęła ledwie zauważalnie. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia sześć lat.

- Lady Felsham. - Udało mu się wymówić te dwa słowa bez zajknięcia, co uznał za duży sukces. Skłonił się z szacunkiem. W kącie salonu dostrzegł skromnie odzianą kobietę w średnim wieku. Przyzwoitka. Gdzie się, u licha, podziewała w nocy, kiedy była naprawdę potrzebna?

- Proszę usiąść. - Gospodyni wskazała mu krzesło i sama przysiadła na szeslongu. Kobieta w kącie także zajęła miejsce na krześle. Nie mogła być przyzwoitką, bo wówczas zostałaby przedstawiona. Zatem bez wątpienia musiała być pokojówką. - Cieszę się, że mógł pan zostać na lunchu, lordzie Dereham.

- Dziękuję za zaproszenie, madame. Jestem zaszczycony. - Gapię się na nią jak głupiec. Weź się w garść, człowieku! - skarcił się w duchu. - Przepraszam, że wtargnąłem do pani domu. Nie da się ukryć, że świętowałem trochę zbyt ochoczo.

Uniosła kącik ust w ledwie widocznym uśmiechu. Dolną wargę miała nieco wypukłą. Natychmiast przyszło mu do głowy, że przyjemnie byłoby ją pocałować. Zmusił się do patrzenia w inny punkt.

- Mam pewne trudności z odtworzeniem przebiegu wydarzeń. Co gorsza, pamiętam białego niedźwiedzia, co każe mi wierzyć, że byłem w gorszej formie, niż mi się zdawało.

- Horacy - powiedziała takim tonem, jakby wymieniała imię bliskiego krewnego. - To skóra polarnego niedźwiedzia na podłodze przed kominkiem.

- Horacy. - Ten cholerny niedźwiedź nazywał się Horacy. Jaka kobieta nadaje imiona swoim dywanom? Ale to przynajmniej dowodziło, że nie oszalał. - Musiałem widocznie się potknąć i runąłem jak długi na pani Horacego - dodał.

Ashe miał wrażenie, że lady Felsham była zarumieniona, kiedy wszedł do salonu, a w tym momencie policzki dosłownie jej spłonęły. Czyżby powiedział coś niestosownego? Zamknął oczy, próbując odtworzyć to, co zaszło ostatniej nocy. Leżała na futrze. To nie na Horacym wylądował po upadku, tylko na niej. Dotyk miękkich kobiecych krągłości, zmysłowy zapach skóry, a nawet pieszczota ucha, to wszystko nie było snem. To się zdarzyło naprawdę!

## *Rozdział trzeci*

Ashe gapił się na lady Felsham, która siedziała przed nim całkowicie opanowana, choć przecież musiała się zastanawiać, ile zapamiętał z ubiegłej nocy... i czy zamierza o tym plotkować. Tak naprawdę im więcej o tym myślał, tym mocniej do niego docierało, jak bardzo musi być zaniepokojona. Mógł całkowicie zniszczyć jej reputację jedną niedyskretną rozmową. Nie chciał tak po prostu poruszyć tego tematu, poza tym nie wiedział, jak dalece wtajemniczona była osoba, będąca teraz ich przyzwoitką.

- Mógłbym prosić o możliwość zamienienia z panią słówka na osobności, madame? - Uprzejmy uśmiech lady Felsham znikł, w szarych oczach pojawił się wyraz nieufności.

- Wyjdź na chwilę, Philpott, i zamknij za sobą drzwi, proszę - zwróciła się do pokojówki.

Ashe odczekał, aż zostaną sami.

- Przeze mnie znalazła się pani w trudnej sytuacji... - zaczął ostrożnie.

- Nie aż tak trudnej jak ta, w której znalazłam się dziś o trzeciej nad ranem - przerwała mu z pewnym wzburzeniem.

Ashe miał ochotę się uśmiechnąć. Ostatecznie mogła szlochać, okazywać wściekłość czy nawet wpaść w histerię. Tymczasem jej ton świadczył, że nie zamierza popaść w żaden z tych stanów, co uznał za wielce korzystne.

- No tak. Mam świadomość, że nie mogę cofnąć tego, co się stało. Mogę panią tylko przeprosić i dać słowo, że nigdy nikomu o tym nie powiem. - Skinęła głową z poważnym wyrazem twarzy. Ashe zauważył z ulgą, że rumieniec na jej policzkach nieco zbladł, a to mogło oznaczać, że mu zaufała. - Musiało to być dla pani okropne przeżycie i doprawdy dziwię się, że nie kazała mnie pani wyrzucić na ulicę... kiedy już była w stanie to zrobić. Użyczenie mi wy-



godnego łóżka i uwagi własnej służby to wielkoduszność, na jaką z pewnością nie zasługuję.

- Gdybym krzykiem poderwała na nogi cały dom, znaleziono by mnie przygwożdżoną do podłogi przez nieznanego dżentelmena. Wątpię, czy moje nerwy by to wytrzymały - stwierdziła poważnie. - A kiedy już pan stanął, jakkolwiek nieco chwiejnie, na własnych nogach, doszłam do wniosku, że nie ma potrzeby budzić lokaja. Poza tym bynajmniej sobie nie życzyłam, by sąsiedzi widzieli pana wychodzącego w takim stanie. Miałam dość czasu, milordzie, by się zorientować, że jest pan raczej nieszkodliwy.

Wyraźnie się odprężyła, a w jej pięknych oczach pojawiły się iskielki rozbawienia. Ashe także poczuł łaskotanie śmiechu w gardle, lecz świadom głębi swej przewiny nie pozwolił sobie na okazanie wesołości.

- Bardzo pani łaskawa, madame. Mam nadzieję, że nie wyrządziłem pani krzywdy.

- Najmniejszej. Horacy ma grube futro, a leżący pod spodem dywan stanowił dodatkową osłonę. Przyznaję jednak, że zdarzało mi się sypiać wygodniej. - Uśmiechnęła się wreszcie, tak ciepło, że miał ochotę ją pocałować. - Po dwóch latach żałoby spędzonych w wiejskim zaciszu odrobina przygody jest nie do pogardzenia.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę!

- Lunch został podany, milady.

- Apetyt panu dopisuje, lordzie Dereham? - Lady Felsham podniosła się z miejsca ruchem tak wdzięcznym, że Ashe z trudem trzymał się w ryzach, by nie wlepić wzroku w jej biodra. - Mogę pana zapewnić, że pani Hedges jest doskonałą kucharką.

Pani Hedges w istocie stanęła na wysokości zadania, a Bel cieszyła się z rozrywki, jaką stanowiło spożywanie posiłku w towarzystwie. Lord Dereham rozwiął jej obawy, zapewniając o swej dyskrecji, lecz mimo iż zachowywał się nienagannie, samo wspomnienie o nocnym incydencie spowodowało niepokojące ożywienie w jej ciele.

- Masła, lordzie Dereham? - Kiedy odstawiał na stół maselnickę, spojrziała na jego dużą, mocną dłoń, ze świeżą blizną biegnącą wzdłuż kostki. Pomyślała, że to ręka żołnierza, i mimowolnie przypomniały jej się blade, miękkie palce Henry'ego o starannie opiłowanych paznokciach. - Chyba niedawno wrócił pan do Anglii? - Usiłowała sobie wyobrazić, że zasiada na proszonym lunchu na plebanii, żeby zapomnieć o błysku w oczach majora, gdy wspomniała o „odrobinie przygody”. - Z tego, co mówił pański agent, wywnioskowałam, że przebywał pan z armią w Belgii.

- Przedwczoraj wieczorem wylądowałem w Ostendzie, a do Londynu dotarłem wczoraj późnym popołudniem.

- Zatem nic dziwnego, że czuł się pan taki... strudzony. Już samo pokonywanie Kanału musi być bardzo wyczerpujące.

- Bardzo to miłe, że szuka pani dla mnie usprawiedliwienia. - Uśmiechnął się czarująco, a Bel bez zastanowienia odwzajemniła uśmiech. Łatwość, z jaką ją do tego sprowokował, była doprawdy niebezpieczna. - Ale tak naprawdę nic mnie nie tłumaczy. Poszedłem na spotkanie z kolegami z wojska, rozmawialiśmy i piliśmy... a skutki sama pani widziała.

Już miała na końcu języka uwagę, że zapewne mieli co świętować, gdy dostrzegła cień na jego twarzy. Niby nic się nie zmieniło, ale wyczuła, że nagle ogarnął go smutek. Skinieniem dała znać lokajowi, który milcząco im asystował, żeby się oddalił.

- Bolesne musi być wspomnienie tych wszystkich, którzy nie mogli być wczoraj z wami - powiedziała cicho. - Czasami trudno uwierzyć, że my żyjemy, a oni nie.

Kiedy zaczynała mówić, podnosił kieliszek do ust, ale usłyszawszy jej słowa, odstawił go na stół, nie tknąwszy ustami. Bel odniosła wrażenie, że przez moment drżały mu palce, ale natychmiast znów się opanował.

- Jest pani jedyną osobą, która tam nie była, a rozumie. - Bel patrzyła na jego palce owinięte wokół nóżki kieliszka, czekając, że powie coś jeszcze, ale on tylko napił się w milczeniu. Uznała, że to drażliwy temat, którego powinna unikać. Miała świadomość, że czekają go trudne chwile, gdy tylko na nowo podejmie życie towarzyskie. Wszyscy będą chcieli zagadywać żołnierza powracającego spod Waterloo, rozprawiać o bitwie, wypytywać o Wellingtona i o przeżycia z placu boju.

- Obojgu nam będzie trudno zacząć nowe życie. Pan był w wojsku, ja siedziałam samotnie na wsi. Chyba że zamierza pan wrócić do armii, lordzie Dereham?

- Nie. Jeszcze dziś udam się do sztabu Gwardii Konnej i złożę rezygnację. Szczerze mówiąc - dodał ze słabym uśmiechem - kusi mnie, żeby wyjechać do mojego zaniedbanego majątku i zacząć w nim gospodarzyć, zamiast rzucać się w wir londyńskiego życia.

- W mieście jest teraz bardzo spokojnie - zapewniła go Bel. - Dlatego przyjechałam już na początku czerwca, żeby uzupełnić garderobę i trochę się oswoić z nową sytuacją, zanim zaczną napływać zaproszenia. I wtedy okazało się, że muszę pojechać do Wielkiego Księstwa Maubourg na ślub mojego brata.

- Doprawdy? Brzmi interesująco. Muszę przyznać, że pani brat wybrał niezwykle miejsce na swój ślub.

- Niezupełnie, ponieważ żenił się z wielką księżną wdową. - Bel uśmiechnęła się z rozmarzeniem. - Było jak w bajce... lub powieści gotyckiej. Mam na myśli zamek. Bardzo romantycznie.

- Proszę mi wybaczyć, powinienem pamiętać, kim jest pani brat.

- Mój starszy brat jest księciem Allington. To był mój drugi brat, lord Sebastian Ravenhurst.

- Znany także jako Jack Ryder! Wiedziałem, że jest w pani coś znajomego, ma pani te same szare oczy.

Zatem lord Dereham znał Sebastiana w jego szpiegowskim wcieleniu, jako agenta i posłańca samego króla. Zapewne naruszała tajemnicę państwową, ale zaryzykowała pytanie.

- Gdzie pan go spotkał?

- To było rano w dniu bitwy. - Nie było potrzeby dodawać, o jaką bitwę chodzi. - Zatem ta piękna kobieta w męskim przebraniu to była wielka księżna Eva? Nic dziwnego, że pani brat był gotów wyzwać mnie na pojedynek, kiedy próbowałem z nią niewinnie poflirtować!

- Zaprawdę igrał pan ze śmiercią, lordzie Dereham - potwierdziła Bel, myśląc z rozbawieniem, że trzeba być nie lada śmiałkiem, by próbować flirtu z kobietą znajdującą się pod skrzydłami Sebastiana. - To w ogóle niesamowita historia, ponieważ Sebastian wyrwał Evę z Maubourgu i przywiózł z powrotem do Anglii, starając się ją uchronić przed niebezpieczeństwem.

- Jest pani romantyczką? - Nalał do szklanki lemoniady z kryształowego dzbanka, stojącego po jego stronie stołu, podał Bel i czekał na odpowiedź, przyglądając jej się z zaciekawieniem.

Bel poczuła się nieswojo, miała wrażenie, że lazurowe spojrzenie majora ma w sobie głębię morza. I było równie niebezpieczne jak morze, groźny, nieznaną żywiol, bo kusiło ją do intymnych wyznań. Do odkrycia tęsknoty za mi-

łością, także tą cielesną. Rzecz jasna nie mogła mu wyjawiać swoich skrywanym pragnień.

- Romantyczką? Nie... właściwie nie wiem. - Nie wiedzieć czemu postanowiła zapomnieć o ostrożności, tłumiąc w sobie poczucie, że zmierza wprost na rafę. - Jeszcze kilka tygodni temu bym tak nie powiedziała. Powiedziałabym, że jestem za kierowaniem się rozsądkiem przy wyborze partnera do małżeństwa, układnością w zachowaniu i stosowaniem się do reguł panujących w towarzystwie. Ale potem, widząc, jak Eva i Sebastian się kochają, odkryłam, że byłabym zdolna złamać każdy konwenans, by pomóc ich szczęściu. Zresztą wdarłam się do Carlton House i porwałam biedną Evę, żeby udzielić jej reprimendy za złamanie Sebastianowi serca.

- Namiętna, romantyczna i śmiała - wtrącił Ashe z podziwem.

Bel czuła, że się rumieni; była zadowolona, że odprawiła służącego.

- To było w obronie cudzego szczęścia, lordzie Dereham - powiedziała tonem usprawiedliwienia.

- Nie zechciałaby pani zwracać się do mnie po imieniu? Jestem Ashe - rzucił niewinnie, skupiony na obieraniu jabłka.

- Ależ oczywiście, że nie! - Bel starała się złagodzić odruchowy protest, dodając tonem wyjaśnienia: - Nawet nie byliśmy jeszcze sobie przedstawieni... jakkolwiek śmieszne może się to wydawać.

- Jestem pewien, że ostatniej nocy Horacy dopełnił tego honoru - stwierdził Ashe. - Sprawia wrażenie niedźwiedzia z zasadami.

- Mimo wszystko. - Bel uniosła kąciki ust w uśmiechu, ale nie zamierzała przyjmować niestosownej propozycji; wystarczyło, że jej niesforne myśli wybiegały na tory dalekie od przyzwoitości. Na żarty z Horacego też nie była gotowa. Bóg jeden wie, do jakiej poufałości mogłoby dojść, gdyby zaczęli się do siebie zwracać w bardziej swobodny sposób.

- To może Reynard? - Zachowywał nienaganny ton, lecz w jego oczach zapaliły się niebezpiecznie figlarne błyski.

- Nie powinnam... - Zawahała się, by jednak wyrazić zgodę. Ostatecznie było to całkiem drobne odstępstwo od zasad, a poza tym któż miałby ją za nie ganić? - Niech więc będzie Reynard.

- Dziękuję, lady Belindo. - Skórka jabłka spływała nieprzerwaną wstążeczką spod wprawnie używanego noża. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego tak zawzięcie broni pani cudzego prawa do uczuć, a nie dba o swoje?

- Zapomina pan, że jestem wdową - rzuciła szorstko Bel.

Posuwał się stanowczo za daleko.

- Przepraszam za moją nadmierną bezpośredniość. Rozumiem, że pani małżeństwo zawarte było z miłości. - Czerwone pasemko obierzyny spadło na talerz, tworząc idealny kształt serca.

- Wielkie nieba, nie! To znaczy... - Spojrzała na niego surowo. - Zupełnie mnie pan skołował, lordzie... Reynard. Moje małżeństwo było podobne do innych, nie... - Próbowała znaleźć właściwe, odpowiednio dystygowane słowo.

- Nie żaden nierozsądny, niekonwencjonalny, nieprzemyślany związek, oparty na porywie romantycznych uczuć?

- Oczywiście, że nie. Byłaby to wielce niestabilna podstawa. Trudno żyć na co dzień w stanie uczuciowego zamętu. - Jakkolwiek brzmi to ekscytująco i cudownie. - Nie da się zbudować trwałego małżeństwa na tak nieracjonalnych uczuciach.

- Lecz prawdziwie zakochani do tego dążą, nieprawdaż? Pani brata i jego świeżo poślubioną małżonkę, z tego, co pani mówiła, łączy właśnie taka więź. Nie ma w tym nic niepokojącego.

- Skąd pan wie? - spytała, nie kryjąc zaciekawienia. Zakładała, że gdyby w jego życiu zdarzył się jakiś zgubny romans, nie mówiłby o tych sprawach tak lekko.

- Porywy namiętności? Owszem, czasami odczuwałem coś takiego. Ale głębszych uczuć jeszcze nie doświadczyłem. - Pokroił jabłko na ćwiartki i odłożył nóż. - Szacowne matrony z pewnością by panią ostrzegły, że jestem rozpustnikiem, lady Belindo. Jesteśmy odporni na miłość, choć namiętność nie jest nam obca.

- Chce mnie pan przestraszyć? - Nigdy wcześniej nie miała świadomie do czynienia z rozpustnikiem, a i teraz nie była pewna, czy ma przed sobą jednego z nich. Równie dobrze Reynard mógł sobie z niej żartować. Do czasu debiutu była pilnie strzeżona przez mamę, bo córkę księcia należało chronić przed łowcami posagów... nie mówiąc już o gorszych rzeczach. Po wyjściu za mąż jej życiem towarzyskim kierował

Henry, który z racji swego charakteru unikał miejsc, gdzie mogliby się zetknąć z jakąkolwiek frywolnością czy ludźmi nadmiernie lubiącymi zabawę.

- W żadnym razie. Byłaby to z mojej strony bardzo niemądra taktyka.

- A może bardzo sprytna? - podsunęła, splatając dłonie na kolanach.

Patrzyła, jak kroi jabłko na jeszcze drobniejsze kawałki, a potem zjada je po kolei.

- Lady Belindo, jestem zbyt skrepowany ekscesami, jakich dopuściłem się tej nocy, i zbyt oszołomiony pani urodą, by rozumować z taką przebiegłością.

- Moją urodą? Wydaje mi się, że pan ze mną flirtuje, Reynard! - Naprawdę z nią flirtował! Już prawie nie pamiętała, jak to jest.

Lord Dereham wytarł palce w serwetkę, po czym odłożył ją na stół obok talerza.

- Ostrzegałem, że mam to w zwyczaju. - Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wstał, żeby odsunąć jej krzesło. - Wyborny posiłek, madame. Potraktowała mnie pani nad wyraz wielkodusznie, mimo iż wtargnąłem do pani domu o świcie i zachowałem się haniebnie. Czas, bym zostawił panią w spokoju i udał się do kwatery dowództwa Straży Konnej.

- Mam nadzieję, że pomyślnie załatwi pan swoje sprawy. - Bel wyciągnęła rękę.

I tak się skończyła jej przygoda, jej przelotne spotkanie ze światem uciech, skandali i swobodnego życia. Czowała w sobie dziwny niepokój i miała nadzieję, że minie bezpowrotnie, gdy tylko pewien wysoki jasnowłosy mężczyzna zniknie jej z oczu. Miała nadzieję, ale nie pewność. Ponieważ coś jej mówiło, że odtąd ilekroć przypomni sobie słowa lorda Byrona, będzie im towarzyszył bardzo wyraźny obraz jednej postaci.

- Lady Belindo. - Nie próbował przytrzymywać jej dłoni ani sekundy dłużej, niż pozwalały na to zasady uprzejmości. Bel poczuła się rozczarowana, choć nie mogła mu niczego zarzucić. Postąpił właściwie, zwłaszcza że tuż obok nich stał w wyczekującej pozie Hedges.

- Pański kapelusz i rękawiczki, milordzie. Znalazłem je na skrzyni w połowie schodów.

Bel przez chwilę stała bez ruchu, wpatrzona w drzwi, które zamknęły się za Reynardem. Ocknęła się gwałtownie, słysząc dyskretne chrząknięcie lokaja.

- Mam nadzieję, że jego lordowska mość nie zapomniał zwrócić pani klucza do tylnego wejścia. Dowiedziałem się od pani Hedges, że właśnie tamtędy udało mu się wejść w nocy.

- Klucza? Ach, tak. Oczywiście - powiedziała szybko Bel. - Powiedz, proszę, Jamesowi, że za kwadrans ma być gotowy towarzyszyć mi do Hatcharda, i przyślij zaraz Philpott do mojego pokoju.



Wchodząc po schodach na górę, Bel uświadomiła sobie, że właśnie bez najmniejszego wahania okłamała swojego lokaja. Ma się rozumieć, że lord De-reham nie oddał jej klucza do tylnych drzwi. Zapomniał o nim, podobnie jak ona, czy też umyślnie go zatrzymał? I czy naprawdę był niebezpiecznym rozpustnikiem, czy tylko się z nią droczył? Jakkolwiek było, wewnętrzne drżenie, które odczuwała w całym ciele, nie miało nic wspólnego ze strachem.

Ashe szybko oddalił się od domu lady Belindy, dotarł do Piccadily i uniósł rękę, żeby zatrzymać dorożkę, lecz natychmiast znów ją opuścił, zmieniając zdanie, przeciął zatłoczoną ulicę i skręcił do Green Park przy Reservoir Gate.

Doszedł do wniosku, że potrzebuje miejsca, gdzie mógłby spokojnie pomyśleć. Było to dla niego samego zaskoczeniem, ponieważ sądził, że ma dokładnie zaplanowane kilka następnych dni. Najpierw miał się udać do Gwardii Konnej, żeby złożyć swoją rezygnację, a potem wrócić do Albany i trochę się oswoić z nowym mieszkaniem. Następnie zamierzał sprawdzić, czy miejska siedziba rodziny jest przygotowana na przyjazd jego matki, dokonać stosownych zakupów, żeby znów wyglądać jak cywil i wreszcie napisać listy. Planował pozostać w Londynie co najmniej przez dwa tygodnie, nim wyruszy na zachód do Coppergate w Hertfordshire, swojego majątku ziemskiego.

Poprzednio był w domu na urlopie zaledwie przed sześcioma tygodniami, na krótko przed bitwą. Rodzina wiedziała, że jest cały i zdrowy i zatrzyma się w Londynie przez tydzień. W tym czasie Ashe miał się przyzwyczaić do swojej nowej sytuacji i przygotować historię na temat swoich przeżyć, która by się nadawała do opowiedzenia krewnym. Gdyby im powiedział prawdę o wielkiej bitwie, byliby wstrząśnięci; potrzebował chwili samotności, żeby nabrać dy-

stansu do przeszłości i wymyślić jakąś łagodną wersję wydarzeń, by nie trwożyć zbytnio swoich bliskich.

W Coppergate miał zamiar rozmówić się z zarządcą majątku, pozałatwiać sprawy wymagające jego uwagi, po czym wrócić do miasta najszybciej, jak to możliwe. Ashe kochał swoją rodzinę, tęsknił za nią, kiedy był daleko, ale siedząc na wsi, czuł się bezużyteczny, pusty i niespokojny. Dlaczego? Tego sam nie wiedział. Lubił wiejskie sporty, był głęboko przywiązany do swojej posiadłości i nieco dziwnego starego domu, będącego jej sercem. I z pewnością mógł tam znaleźć dla siebie wiele różnych zajęć, o czym taktownie przypominał mu jego kamerdyner.

Nagle nie wiedzieć czemu ogarnęło go podobne uczucie. Pewnie przez kaca. Spacerował wokół stawu pomiędzy grupkami plotkujących pań, otoczonych służbą i niańkami z rozwrzeszczanymi dziećmi. Spotkał też jednego starszego dżentelmena, kroczącego z opuszczoną głową, najwyraźniej pogrążonego w rozmyślaniach.

Świeże powietrze dopełniło kuracji rozpoczętej miksturą Hedgesa i pożywным lunchem, ale nie wystarczyło, by pozbył się wewnętrznego niepokoju. Ashe skierował się w stronę St. James Park, ostatecznie porzucając zamiar skorzystania z dorożki. Złapał się na tym, że unika myślenia o ostatniej nocy, o lady Belindzie i o tym, jakie na nim zrobiła wrażenie.

Ulgę przyniosło mu odkrycie, że zdołał zachować resztki opanowania, jakkolwiek trudno mu było sobie wyobrazić, co musiała czuć ta szacowna dama, kiedy pijany żołnierz wtargnął do jej sypialni, zwałił się na nią, lizał ją po uchu, a potem zasnął na kilka godzin, przygniatając ją sobą do podłogi. Ashe zaklął w duchu. Potraktował lady Belinę jak dziewczynę lekkich obyczajów i miał szczęście, że nie wezwała na odsiecz brata, żeby zażądał od niego satysfakcji.

Niebezpiecznego Jacka Rydera nie było w kraju, a najstarszy brat, książę, przebywał tam gdzie zawsze, zaszyty w swojej posiadłości na północy. Ashe przez chwilę zastanawiał się gorączkowo, czy powinien napisać do księcia, wytłumaczyć się przed nim i zapewnić go o swej dyskrecji, czy też poprzestać na przeprosinach złożonych lady Felsham. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie przesadzać ze szczerością wobec księcia. Ostatecznie nie zdarzyło się nic nieodwracalnego.

Wyglądało na to, że lady Belinda mu wybaczyła. Zmarły mąż raczej nie dał jej okazji, by przyzwyczaiła się do męskiej swobody w zachowaniu, należało więc przypuszczać, że po prostu jest z natury wyjątkowo wyrozumiałą kobietą.

Mimo to musiała być mocno zakłopotana. Nie należała przecież do gatunku tych niewyżytych wdów, które z entuzjazmem witały niespodziewane pojawienie się mężczyzny w ich sypialni. I dobrze, pomyślał, uśmiechając się ironicznie, bo był zbyt pijany, by zadowolić jakąkolwiek kobietę.

Lady Belinda była tolerancyjna, wrażliwa i praktyczna i potraktowała go lepiej, niż na to zasługiwał. Nagle aż się skrzywił, porażony myślą, że gdyby chciała, mogłaby bardzo łatwo wykorzystać sytuację, zmuszając go do małżeństwa. A małżeństwo zupełnie nie mieściło się w jego planach. Przynajmniej w tych obejmujących najbliższe pięć lat. Miał nadzieję, że przez ten czas łagodne nagabywania matki stopniowo ustaną i poprzestanie na przypominaniu mu, jak okropnym wicehrabią byłby kuzyn Adrian, i prośbach, by rozstrzygnął sprawę sukcesji, nim skończy trzydzieści sześć lat.

Przypomniawszy sobie, że prawie mu się udało wciągnąć lady Belindę we flirt, co od razu poprawiło mu nastrój. Flirtowanie z pięknymi kobietami było typową rozrywką powracających z wojny żołnierzy i stanowiło doskonały sposób na oderwanie myśli od krwi, śmierci i zniszczenia. Ashe odpowiedział na

salut strażnika i wbiegł po schodach do kwatery dowództwa Gwardii Konnej. Zakiełkowała w nim nadzieja, że może życie w Londynie, nawet poza sezonem, nie będzie takie złe.

## *Rozdział czwarty*

Bel także zaczęła nieco inaczej myśleć o swoim planowanym pobycie w stolicy. Przeprowadziła się, żeby upewnić samą siebie i swoich krewnych, że jest niezależną kobietą, gotową rozpocząć nowe życie. Cieszył ją nowy dom, śliczny, choć niewielki, lubiła spacerować i zakupy, a teraz zaczęła się nawet zastanawiać nad udziałem w londyńskim życiu towarzyskim.

Fakt, że niesamowicie przystojny lord Dereham był częścią tego życia, stanowił dodatkową zachętę. Bel powiodła niewidzącym wzrokiem po półce z najnowszymi powieściami sensacyjnymi, wyjęła przypadkowo wybrany egzemplarz i usiadła w jednym z aksamitnych foteli, które obsługa księgarni zapobiegliwie ustawiła dla swoich klientów.

Jej dość nieokreślone i naiwne marzenia o romansie i kochanku za sprawą nocnego gościa zmieniły się w całkiem żywą wizję męskiej doskonałości. Rozmyślenia o Ashe'u Reynardzie mąciły jej spokój, ale jednocześnie były... cudowne. Zaczęła przerzucać kartki, zatrzymując wzrok w przypadkowych miejscach.

„Alfonso, powiedz, że jestem twoja, nie zdradzaj mnie, poddając się niecnym planom mojego wuja! - błagała Amarantia. Oczy jej lśniły od łez. Kochanek przycisnął ją do piersi, tak że słyszała szaleńcze bicie jego serca...”

Bel poczuła, jak przebiega ją przyjemny dreszcz oczekiwania. Z trudem wróciła do rzeczywistości. Mogła znów spotkać Reynarda. Mógł z nią flirto-

wać. Ona też mogła się nauczyć flirtować. Na tym, oczywiście, wszystko powinno się zakończyć. Tak naprawdę myśl o wzięciu sobie kochanka była czystą fantazją, ponieważ nigdy nie ośmieliłaby się wychylić poza niewinny flirt, a też nic nie wskazywało na to, by on mógł pragnąć czegoś więcej. Bo i czemuż miałby pragnąć? W Londynie nie brakowało ponętnych i wyrafinowanych kobiet, a lord Dereham z pewnością wiedział, gdzie je znaleźć.

Nie, dla niej mogła to być jedynie fantazja, temat do przyjemnych rozmyślań podczas bezsennych nocy. Wiedziała, że lord Dereham nigdy nie przycisnie jej do swej piersi i nie będzie słyszała bicia jego serca, tak jak ostatniej nocy. Westchnęła ciężko.

- Belindo!

Bel wzdrygnęła się, upuszczając książkę. Pomyślała, że teraz będzie musiała ją kupić, bo okładka trochę się wygięła.

- Ciocia Louisa! - Lady James Ravenhurst przeszukiwała ją nieprzychylnym spojrzeniem znad lornetki trzymanej na wysokości nosa. - I kuzynka Elinor. Jak miło widzieć was obie.

Elinor podniosła książkę z podłogi.

- „Wenecka wieża” - odczytała na głos tytuł. - Czy to coś o architekturze, kuzynko Belindo?

- Hm... nie. - Bel miała ochotę wyrwać jej tomik z ręki. - To zwykła powieść. Właśnie się zastanawiałam, czy warto ją kupić. - Ciotka Louisa miała taką minę, jakby zamierzała wygłosić tyradę na temat szkodliwości czytania powieści. Chcąc temu zapobiec, Bel powiedziała szybko: - Nie wiedziałam, że obie jesteście w Londynie.

- Ten korsykański potwór uciekł z Elby akurat w momencie, gdy zamierałam wyjechać w podróż szlakiem francuskich katedr romańskich i tym sposobem moje plany na cały rok legły w gruzach - odparła z irytacją ciotka

Louisa. Można było odnieść wrażenie, że Bonaparte umyślnie zrobił jej na złość. - Planowałam napisać o tym książkę.

- Romańskich? Naprawdę? - Co, u licha, mogło znaczyć to słowo? Bo chyba nie miało nic wspólnego z Rzymianami? Oni przecież nie budowali katedr. A może budowali? Ciotka Louisa była postrachem rodziny, a jej zamiłowanie do poznawania świata przeszło w obsesję po śmierci lorda Jamesa przed dziesięciu laty. - Fascynujące - powiedziała nieszczercze Bel. - Przyjechałyście do miasta kupować suknie? - Wystarczyło jedno spojrzenie na workowaty szary strój kuzynki Elinor, by uznać, że to jedyny możliwy powód.

- Suknie? Oczywiście, że nie. - Lady James rozejrzała się po zawartości półek. - Przyjechałam kupować książki. Nasza wyprawa musi zostać odłożona na przyszły rok, więc tu będę kontynuować moje studia. Elinor, sprawdź, gdzie przenieśli pozycje na temat architektury. Nie rozumiem, dlaczego ciągle zmieniają rozmieszczenie poszczególnych działów. Masz listę?

- Tak, mam - odpowiedziała bezbarwnym tonem Elinor. - „Stare katedry w Anglii” Brittona w pięciu tomach i „Zachowane przykłady klasztorów i baronii” Parkynsa. Dwa tomy. - Odeszła, przyciskając do siebie kurczowo notatnik.

Bel odprowadziła ją wzrokiem pełnym zdziwienia. Nie potrafiła zrozumieć kuzynki. Elinor, nieciekawa z wyglądu, trzymająca się zawsze w pobliżu matki, gotowa na każde jej zawołanie, była zaledwie dwa lata młodsza od Belindy. W wieku dwudziestu czterech lat uchodziła za starą pannę i choć wszystko wskazywało na to, że nią pozostanie, nie sprawiała wrażenia przejętej swym losem. Bel zastanawiała się, co może się kryć pod zawsze lekko opuszczonymi powiekami i gorliwym posłuszeństwem Elinor.

- Belindo.

- Tak, ciociu Louiso? - Bel nagle sobie uświadomiła, że jest dorosłą kobietą, wdową niezależną od rodziny i nie musi zachowywać się wobec nielubianej krewnej tak ja wówczas, gdy była nieśmiałą debiutantką. Świadomość ta niewiele jednak pomagała, zwłaszcza kiedy miało się nieczyste sumienie.

- Słyszałam, że kupiłaś sobie własny dom w Londynie. Mogę spytać, co ci nie odpowiadało w Cambrone House?

Bel nie mogła powiedzieć ciotce, że to nie jej sprawa.

- Cóż, teraz należy do lorda Felshama - powiedziała, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu.

- Przypuszczam, że kuzyn twojego zmarłego męża nie zabrania ci w nim mieszkać! - Lady James groźnie zacisnęła dłoń na parasolce.

- Oczywiście, że nie, ciociu. Po prostu nie mam ochoty prosić go o zgodę.  
- Nowy lord Felsham był całkiem miłym safandulą, ale miał jędzowatą żonę o ostrym języku, dlatego im mniej Bel miała z nimi do czynienia, tym była szczęśliwsza.

- Rozumiem więc, że zatrudniłaś odpowiednią damę do towarzystwa?

- Mam dorosłą pokojówkę, a poza tym mój dom prowadzi godne zaufania małżeństwo w średnim wieku. - Ciekawe, co byś powiedziała, widząc mnie ostatniej nocy?

Myśl o przerażającej lady James walącej parasolką po głowie pijanego lorda Derehama, leżącego na jej prawie nagiej siostrzenicy, była tak zabawna, że Bel z trudem powstrzymała chichot. Miała ochotę podzielić się tą wizją z Reynardem, pewnie śmiałby się, mrużąc te swoje niebieskie oczy. A jego śmiech, po prostu to wiedziała, byłby głęboki i donośny i płynąłby prosto z serca.

- Jestem bardzo dobrze chroniona, ciociu, zapewniam.

Elinor wróciła w asyście starszawego sprzedawcy z naręczem książek.

- Mam wszystkie, mam. Podoba mi się ta suknia, kuzynko Belindo.

Śliczny kolor.

- Dziękuję. Muszę przyznać, że ja też ją lubię. Została uszyta w pracowni pani Bell na Charlotte Street. Byłyście już u niej?

Lady James obrzuciła krytycznym spojrzeniem żywo zieloną spódnicę oraz ciemnobrazową pelisę ze złocistymi pętelkami.

- Według mnie to bardzo niepraktyczny kolor. Niech pan się pośpieszy i każe to zapakować. Nie zamierzam marnować całego dnia! Chodź, Elinor. A ty, siostrzenico... lepiej znajdź sobie porządną przyzwoitkę i to szybko. Żeby tak młoda kobieta była taka niezależna! Nie wiem, dokąd zmierza ten świat.

- Do widzenia, ciociu - powiedziała Bel do pleców oddalającej się ciotki, wymieniając przy tym uśmiech z kuzynką. Wielkie nieba! Miała nadzieję, że ciotka Louisa, znana z niechęci do towarzyskich spotkań, nie uzna za swój obowiązek doglądania owdowiałej siostrzenicy podczas pobytu w Londynie.

W popołudniowej poczcie znajdowała się kolejna porcja wizytówek. Rozłożywszy je na biurku, Bel pomyślała, że jak widać nie jest jedyną osobą pozostającą w mieście mimo połowy lata. Być może obecność atrakcyjnych oficerów powracających z Kontynentu miała z tym coś wspólnego.

Bel wyjęła terminarz, w którym zapisywała planowane wizyty; strony, które przez osiemnaście miesięcy pozostawały niemal puste, nagle w ciągu ostatnich dni zaczęły się zapełniać zaproszeniami. Wzmianka o jej powrocie do miasta po ślubie jej brata w Maubourg ukazała się w kronikach towarzyskich kilku londyńskich gazet i wszystko wskazywało na to, że znajomi przypomnieli sobie o niej teraz, kiedy zakończyła żałobę.

Za dwa dni miało się odbyć wieczorne przyjęcie u lady Lacey. Niezłe miejsce, jak na początek. Żadnych tańców, znajome twarze, szansa zapoznania



się z najświeższymi plotkami. Bel wzięła do ręki pióro, zasiadła nad arkuszem wyjętym z nowej papeterii i zaczęła pisać.

- Belindo, moja droga! Witamy z powrotem w Londynie! - Lucinda Lacey wzięła Bel w objęcia, szeleszczące jedwabnymi falbankami i pachnące lawendowymi perfumami. - Tak za tobą tęskniliśmy.

- Ja też za wami tęskniłam. - Lucinda nie pisała, poza oficjalnymi kondolencjami tuż po śmierci Henry'ego, ale też Bel nie spodziewała się od niej listów. Lady Lacey uznawała jedynie osobiste kontakty, uwielbiała plotki, niekończące się przyjęcia i rozrywki. Nie zapomniała o Belindzie, lecz po prostu nie miała cierpliwości do regularnej korespondencji z kimś, kto nie dostarczał żadnych ekscytujących wieści.

- Są tu wszyscy twoi starzy znajomi. - Lucinda wskazała wachlarzem na drzwi do salonu. - Porozmawiamy później, mamy tyle do nadrobienia.

Po tych słowach gospodyni skupiła uwagę na kolejnych przybywających gościach, a Bel wzięła głęboki oddech i dołączyła do przyjęcia. Rozejrzawszy się wokół siebie, stwierdziła z zadowoleniem, że wybrała właściwy strój na tę okazję.

Jej jedwabna suknia w kolorze żonkili miała stanik wycięty z przodu i z tyłu w kształt litery V; brzeg dekoltu wykończony był dwoma rzędami białych falbanek połączonych z talią cieniutką złotą wstążeczką. Krój stanika i rękawów oraz długość spódnicy sięgająca kostek odpowiadały dokładnie wymogom mody. Bel trochę dziwnie się czuła, mogąc znów nosić jasne kolory po tak wielu miesiącach.

Opuściła wzrok na trzy żółte pączki róż przypięte do dekoltu. Pochodziły z bukietu, który otrzymała następnego dnia po spotkaniu z Ashe'em Reynardem, wraz z bilecikiem zawierającym podziękowania i przeprosiny. Bel wtknęła bilecik do terminarza, zaznaczając datę spotkania. Gest był niedorzecz-

nie romantyczny... podobnie jak to, że wciąż przerzucała strony, żeby popatrzeć na równe pismo Reynarda.

- Belindo! - Nadejście trzech starych znajomych kazało jej zapomnieć o lordzie Dereham. Miała przed sobą Theresę Roper, jej uroczo pulchną kuzynkę lady Bradford oraz Marię Wilson, złotowłosą wdowę o dziarskim sposobie bycia.

- Chodź, usiądź z nami - zarządziła Theresa, co oznaczało zaproszenie do kręgu pań, które z błyskiem w oczach plotkowały, podziwiając i krytykując innych gości. To właśnie to grono uświadomiło Bel, że dokonania Henry'ego w małżeńskiej sypialni dalece odbiegały od uciech, jakie bywały udziałem innych par. Bel zastanawiała się, co jej przyjaciółki by powiedziały o scenie, jaka rozegrała się na futrze Horacego, ale nie mogła żadnej z nich ufać na tyle, by się zwierzyć.

- Co za piękna suknia - pochwaliła Annabelle Bradford, kiedy już usadowiły się na zsuniętych razem krzesłach. - Słowo daję, zaraz zzielenieję z zadości! Natychmiast zdradź mi nazwisko modniarki!

Bel chętnie wyjawiała, gdzie kupiła suknię, dała się przepytać na okoliczność pobytu w wiejskim zaciszu, przyznała, że nowa fryzura lady Franleigh nie pasuje do jej wydatnego nosa i pisnęła z oburzenia na wiadomość, że mąż Theresy znalazł sobie kochankę miesiąc po tym, jak obiecał poniechać cudzołóstwa i zostać wzorowym domatorem.

- I co teraz zrobisz? - zapytała Bel ze współczuciem. Nie mieściło jej się w głowie, że Henry mógłby zrobić coś podobnego! Theresa sprawiała wrażenie raczej rozgniewanej niż zasmuconej stanem swego związku, ale w końcu miała sześć lat, żeby przywyknąć do nagannych zwyczajów pana Ropera.

- Na początek zrezygnuję z własnej wierności - odpowiedziała jej przyjaciółka konspiracyjnym szeptem. - Jeszcze nie zdecydowałam, kto będzie tym

szczęśliwcem, bo mam na oku dwóch dżentelmenów. Powiem ci tylko... Och...

- urwała, podnosząc do oka pozłacany monokl. - Moje drogie, już myślałam, że zrobiłam przegląd wszystkich wolnych panów, a tu pojawia się jeszcze jeden wspaniały okaz!

- Gdzie? - Jednocześnie odwróciły głowy, spoglądając w stronę wejścia.

- O, rzeczywiście! - wykrzyknęła pani Wilson. - Trzeba przyznać, że jest naprawdę przystojny. Istny Adonis. Ciekawe, skąd się wziął?

Lord Dereham, elegancki w niebieskim fraku, spod którego wystawał śnieżnobiały gors koszuli, i obcisłych czarnych spodniach, wszedł swobodnym krokiem do salonu, rozmawiając z jakimś mężczyzną w mundurze. Powitał go szmer zbiorowych westchnień ze strony wszystkich obecnych pań, nie wyłączając Bel.

Co innego marzyć o ponownym spotkaniu Ashe'a Reynarda, a co innego natknąć się na niego, będąc w towarzystwie trzech bystrookich przyjaciółek, gotowych z nim flirtować, uwieść go albo przynajmniej obserwować, której z nich się to uda.

- To Dereham - oznajmiła lady Bradford po wnikliwych oględzinach. - Już kiedy go widziałam poprzednio, uważałam, że jest przystojnym mężczyzną, ale kilka lat spędzonych w wojsku jeszcze mu dodało tego i owego.

Mięśnie jak u atlety, władcza postawa i spojrzenie, jakby rozglądał się po horyzoncie. Pewnie to ma na myśli, uznała Bel, zastanawiając się, czy nie byłoby lepiej zniknąć, nim Reynard ją zauważy.

Za późno. Oficer, z którym rozmawiał, klepnął go w ramię i odszedł, zostawiając Reynarda na środku salonu. Kiedy powoli się odwracał, Bel podjęła szybką decyzję.

- To właśnie dom lorda Derehama na Half Moon Street kupiłam - wyznała przyjaciółkom, obracając w palcach ozdobny sznur torebki. - Odwiedził mnie parę dni temu. Miły człowiek.

- Miły?! Tylko tyle masz o nim do powiedzenia? - Theresa wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. - Czyżby coś ci się stało z oczami, Belindo?

- Jasne włosy wydają mi się dość pospolite - dodała bez przekonania. Przyjaciółki popatrzyły na nią, jakby im oznajmiła, że zamierza wstąpić do klasztoru, a następnie powróciły wzrokiem do lorda Derehama, który najwyraźniej zmierzał w stronę Belindy.

- Lady Belindo, lady Bradford, pani Roper, pani Wilson. - Skłonił się ze swobodną elegancją. Witając się z nimi, zachował kolejność, odpowiadając statusowi każdej z pań.

Zaraz potem jego wzrok spoczął na różanych pączkach u dekoltu Bel. Była ciekawa, czy je rozpoznał. A może po prostu kazał swojemu kamerdynerowi wybrać bukiet i nawet nie wiedział, co jej dostarczono?

Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć.

- Muszę panu jeszcze raz podziękować za wizytę - odezwała się Belinda, niemal wchodząc w słowo pani Wilson, która zaczęła mówić o niespodziewanym tłoku panującym w Londynie. Reynard nieznacznie uniósł brwi, ale słuchał w milczeniu. - Byłam bardzo wdzięczna, że ktoś może mi wytłumaczyć zawilosci hydrauliki na piętrze. Pański agent niezbyt dobrze się w tym wszystkim orientował. - Wyczuła skrywane rozbawienie swoich towarzyszek. Pewnie myślały: Biedna Belinda, mieć w domu takiego wspaniałego mężczyznę i tracić czas na rozmowy o rurach.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Reynard, nieznacznie akcentując słowo „przyjemność”. W jego oczach zapłonęły przewrotne ogniki. - Ostatecznie wannę z prysznicem w garderobie zainstalowano na moje polece-

nie, ale obawiam się, że hydraulik nigdy wcześniej nie miał do czynienia z tego rodzaju urządzeniem i tak je zamontował, że działa tylko czasami. - Po tych słowach Reynard schylił się, by podnieść z ziemi koronkową chusteczkę, która wypadła z torebki Bel. Kiedy ją oddawał, Bel odniosła wrażenie, że leciutko uściskał jej palce. Zaraz potem zwrócił się do pani Wilson: - Mówiła pani, że mnóstwo ludzi z towarzystwa przebywa obecnie w Londynie?

- To zdumiewające jak na lipiec, nie sądzi pan? - Zatrzepotała rzęsami. - Pewnie dlatego, że to wy, dzielni oficerowie, wracacie do domu i wszyscy chcą was poznać.

Bel przypomniała sobie przeczytany w którejś z gazet artykuł o rannych ściągających z Belgii.

- Wracają też dzielni prości żołnierze, ale oni nie wzbudzają tyle uwagi, prawda? - powiedziała szybko. - Cóż, blizny i kikuty osłonięte zwykłą derką wyglądają znacznie gorzej niż pod kurtką galowego munduru.

Trzy kobiety jednocześnie głośno wciągnęły powietrze, natomiast Reynard odpowiedział spokojnie:

- Szczera prawda, lady Belindo. Damy z towarzystwa pewnie już zakładają organizacje charytatywne, żeby pomóc tym nieszczęśnikom i ich rodzinom i namawiają swoich mężów, żeby znaleźli posady tym z nich, którzy są w stanie pracować.

- Można mieć tylko taką nadzieję - odparła poważnie.

- Zechcą mi panie wybaczyć? Obiecałem lordowi Telfordowi partyjkę kart. - Reynard skłonił się i odszedł.

Przyjaciółki nie czekały, aż daleko odejdzie, by wyrazić swoje oburzenie.

- Jak mogłaś go tak odstraszyć? Słowo daję, Belindo, najprzystojniejszy mężczyzna w tym gronie podchodzi do nas, żeby porozmawiać, a ty zaczynasz rozprawiać o hydraulice i amputacjach! - irytowała się Annabelle Bradford.

- Przepraszam, nie pomyślałam - powiedziała Bel z udawaną skruchą. Wiedziała, że Reynard nie ma ochoty opowiadać o swoich przeżyciach, i nie mogła pozwolić, by go dręczyły. Umyślnie odwróciła głowę, żeby nie patrzeć w stronę drzwi do pokoju, w którym rozstawiono karciane stoliki. - Opowiedzcie mi o innych atrakcyjnych mężczyznach, których tu widzicie. - Nie mogła wybrać lepszego tematu, żeby je udobruchać.

- No dobrze - zaczęła Theresa. - Poznałaś już lorda Betteridge'a? Niedawno wrócił z kongresu i mogę przysiąc...

## *Rozdział piąty*

Nie poszło aż tak źle, myślała Bel, kiedy odwożono ją tego wieczoru do domu. Przetrwiała spotkanie z lordem Derehamem i to w obliczu najzagorzalszych plotkarek, z przyjemnością zobaczyła się ze starymi znajomymi, a także poznała wiele nowych, ciekawych osób. Odkryła przy tym, że w towarzystwie czuje się swobodniej niż kiedyś.

Przypuszczała, że jej nowo nabyta pewność siebie bierze się z wieku; człowiek w końcu uświadamia sobie, że niekoniecznie wszyscy na niego patrzą oraz że można popełniać drobne błędy i świat się od tego nie kończy. Nie bez znaczenia było również to, że nie towarzyszył jej surowy ojciec, ani krytyczny mąż, przypominający nieustannie, jak należy postępować.

Bel wspomniała z uśmiechem, jak w poprzednim miesiącu złamała ostatnie dni żałoby i sama wybrała się na przyjęcie wydane przez księcia regenta na cześć wielkiej księżnej Evy. Udała się tam po to, by udzielić Jej Wysokości reprimendy za złamanie serca Sebastiana.

Przedsięwzięcie kłóciło się z wszelkimi zasadami uprzejmości i na jakiś czas popsuło stosunki pomiędzy zakochanymi, ale za to zyskała w bratowej oddaną przyjaciółkę na całe życie.

Trochę im zazdrościła. Zastanawiała się, jak to jest mieć przy boku mężczyznę, który na ciebie patrzy tak, jak Sebastian patrzył na Evę.

- Milady? - Byli pod domem; stangret przytrzymał otwarte drzwi powozu i stał tak pewnie już od kilku minut.

- Dziękuję, James. - Uważała, że wieczór był w sumie udany i nabrała ochoty na kolejne wyjścia.

Nazajutrz miała się odbyć zabawa taneczna u Steppingleyów, zorganizowana po to, by dać okazję córce gospodarzy i jej przyjaciółkom do oswojenia się z tego rodzaju imprezami przed debiutem w następnym sezonie. Pani Steppingley zapewniała, że oprócz młodzieży zaprosiła wielu interesujących ludzi, a także przygotowała stoliki do kart dla tych, którzy nie lubią tańczyć.

Bel jak najbardziej lubiła tańczyć, ale postanowiła zrezygnować z walca. Miała nadzieję, że owi ciekawi ludzie pozwolą jej się uwolnić od rozmyślań o pewnym postawnym dżentelmenie.

Philpott przysłała do pokoju Bel, żeby rozpiąć jej włosy, schować biżuterię i wypchać papierem czubki wieczorowych pantofelków, a na koniec pomóc swojej pani w zdjęciu sukni.

Bel odpięła brylantową broszkę przytrzymującą różyczki przy dekolcie. Zaczynały więdnąć; delikatne płatki przypominały w dotyku miękką aksamit.

- Możesz mi przynieść pudełko soli? - poprosiła pokojówkę. - Mniej więcej takie. - Pokazała gestem oczekiwaną wielkość pudełka.

- Teraz, milady?

- Tak, proszę. Są takie śliczne, że chcę je zachować jako pamiątkę pierwszego wyjścia między ludźmi w moim nowym życiu.

- Dobrze, milady. - Philpott pomogła jej założyć szlafrok, podała szczotkę do włosów i wyszła. Czy domyślała się prawdziwego powodu, dla którego Bel chciała zachować kwiaty? Jeśli nawet, to była zbyt dobrze ułożona, by dać po sobie cokolwiek poznać.

Przeciągając szczotką po włosach, Bel myślała o żądaniu ciotki Louisy, żeby zatrudniła damę do towarzystwa. Pokręciła głową; ciężkie pukle zafalowały, ocierając się z szelestem o jedwabny materiał szlafroka. I tak już trudno było o prywatność w domu pełnym służby, a co dopiero przy obcej osobie przesadnie skupionej na przestrzeganiu konwenansów i przekonanej, że jej towarzystwo jest niezbędne o każdej porze.

Nie. Życie Bel było może trochę samotne, ale zdążyła się do tego przyzwyczaić jeszcze za życia Henry'ego. Prawdę mówiąc, samotność wcale jej nie przeszkadzała i nie widziała powodu, by na siłę spełniać cudze oczekiwania.

Goście na przyjęciu pani Steppingley okazali się rzeczywiście interesujący. Po godzinie Bel знаła pułkownika z regimentu stacjonującego w Brunswicku, dżentelmena badającego możliwość wykorzystania balonów na podgrzane powietrze jako środka transportu towarów, kilka uroczych młodych panien mocno przejętych pierwszym publicznym występem na tańcach, pewną poetkę oraz niepokojąco mało kobiecą sawantkę, która dowiedziawszy się, z kim ma do czynienia, z wielkim zaangażowaniem podważała opinie ciotki Louisy na temat ewolucji angielskiej architektury kościelnej.

Bel była już bliska zrozumienia różnicy pomiędzy sklepieniem żebrowym a kolebkowym, gdy z opresji wybawiła ją poetka, panna Layne, pod pretekstem, że były umówione na wspólne przejście do sali tanecznej.

Kiedy już zasiadły mniej więcej w połowie rzędu krzeseł pod ścianą, panna Layne obejrzała się na drzwi.



- Panna Barrington pogardza tańcem, więc nie będzie nas tu napastować - powiedziała do Bel, machając energicznie wachlarzem. - Cóż to za nudna osoba - westchnęła. Bel przyjrzała się jej dyskretnie. Panna Layne, wysoka i szczupła, miała około czterdziestu lat, ciemne włosy o mysim odcieniu i wesołe piwne oczy. Sprawiała wrażenie, że wszystko ją interesuje. Nagle wyjęła notatnik, szybko coś w nim zapisała i schowała z powrotem do torebki.

Bel zamrugła.

- Inspiracja? - spytała.

- Owszem! Widzi pani tamtą młodą parę? Udają, że na siebie nie patrzą. Są tacy słodcy i tacy niezręczni. To mi podsunęło pewien pomysł. Chcę napisać romantyczny poemat.

- Znajdę coś z pani twórczości u Hatcharda? - zainteresowała się Bel. - Obawiam się, że niewiele wiem o poezji. Mój mąż uważał ją za zbyt frywolny rodzaj literatury, więc jej nie kupowałam. Przyznam jednak, że ostatnio czytuję dzieła lorda Byrona.

- Owszem, znajdzie tam pani moją twórczość. Wydałam kilka tomików. Ale pozwoli pani, że przyślę jej jeden w prezencie. Niektóre rzeczywiście są frywolne, ale inne poważne. Zresztą nie widzę niczego złego w odrobinie frywolności... - Panna Layne urwała w pół zdania, spoglądając ponad ramieniem Bel. - A skoro już mowa o frywolności, cóż za wspaniały męski okaz. Lord Byron wiele by dał za takiego bohatera.

Bel nie musiała odwracać głowy, by wiedzieć, o kogo chodzi. Sama świadomość jego obecności wzbudziła w niej dreszcz tak silny, jakby Reynard wodził dłońmi po jej ciele.

- Naprawdę? - powiedziała z udawaną lekkością. - Mam nadzieję, że będzie nas mijał i go zobaczę, bo nie mogę przecież się odwrócić i gapić...

- Lady Belindo. Madame.

Tak, to był Reynard. Panna Layne patrzyła na niego z miną kolekcjonera owadów, który właśnie znalazł rzadki gatunek motyla i zastanawia się, gdzie się podziała jego siatka. Bel starała się opanować wewnętrzne drżenie.

- Lordzie Dereham, dobry wieczór. Panno Layne, pozwoli pani, że przedstawię lorda Derehama?

Podali sobie ręce.

- Panna Layne... autorka „Rozmyślań nad brzegiem angielskiej rzeki”?

- W rzeczy samej. Zostały wydane w zeszłym roku - wyjaśniła poetka, zwracając się do Bel. - Czytał pan, lordzie Dereham?

- W wieczór przed bitwą pod Quatre Bras, panno Layne. Muszę pani podziękować za te wiersze, bo stanowiły cudowny kontrast do tego, co mnie otaczało.

Poetka pokraśniała z zadowolenia.

- Cieszę się, że mogłam dostarczyć panu rozrywki w takich okolicznościach.

- Nie tylko rozrywki. Przypomniała mi pani, o co walczymy. Zechce pani zaszczyścić mnie tańcem, panno Layne?

- Ja nie tańczę, lordzie Dereham. Lady Belinda wybawiła mnie od nudnego towarzystwa i schroniłyśmy się tutaj.

- Lady Belinda znana jest z wybawiania swoich przyjaciół z opresji - stwierdził poważnie Reynard. - Skoro tylko się tu panie chowacie, a inni panowie jeszcze was nie znaleźli, to może w pani małym karneciku znajdzie się miejsce dla mnie, lady Belindo?

Bel ze śmiechem pokazała mu karnecik, zwisający ze sznureczka na nadgarstku.

- Jest całkiem pusty, lordzie Dereham. Chyba zbyt dużo czasu poświęcałam rozmowom, zamiast szukać partnerów. - Podobało się jej, że najpierw po-

prosił do tańca starszą z nich, a w jego geście nie było nawet cienia protekcjonalności.

- Mogę? - Wyciągnął rękę, żeby wziąć od niej karnet.

Mimo iż oboje byli w rękawiczkach, zdawało się jej, że czuje ciepło jego palców. Patrzyła na jego pochyloną głowę, kiedy przeglądał listę tańców. Znała dotyk tych gęstych jasnych włosów, wiedziała, jak wyglądają zmierzwiłone snem... i miała wielką ochotę je pogłodzić.

- Już. Mam nadzieję, że pani zaakceptuje mój wybór. - Zaznaczył walca i jeden z tańców ludowych.

Bel otwarła usta, by mu powiedzieć, że nie zamierza tańczyć walca, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. To był Reynard i chciała znaleźć się w jego ramionach. A w głębi duszy musiała też przyznać, że pragnęła, by inne kobiety jej zazdrościły.

- Może przyniosę paniom lemoniady? - Obie, dziękując, odmówiły. - W takim razie zobaczymy się przed drugim tańcem ludowym, lady Belindo.

- Ten człowiek ma doskonale manieri - stwierdziła panna Layne, kiedy Reynard się oddalił. - O, jest mój brat, nie byłam pewna, czy się zjawi. - Pomachała do szczupłego, ciemnowłosego mężczyzny, który ruszył w ich stronę.

- Kate, nie mogę uwierzyć, że zastaję cię w sali tanecznej! - Pan Layne był znacznie młodszy od siostry, ale mieli podobne włosy i oczy.

Uśmiechnąwszy się serdecznie do siostry, skłonił się przed Belindą.

- Madame.

- Lady Belindo, czy mogę przedstawić mojego brata, pana Layne? Patricku, to lady Belinda Felsham.

Bel wskazała mu wolne krzesło obok siebie.

- Dziękuję, lady Belindo, ale obiecano mi najbliższy taniec. Mogę prosić, by zarezerwowała pani dla mnie któryś z następnych? Jakkolwiek spodziewam się, że pani karnet jest już wypełniony.

- Wcale nie, chętnie z panem zatańczę. - Podsunęła mu karnecik i pokiwała głową, gdy wskazał pierwszego walca.

- Zuchwale sobie poczyna - stwierdziła panna Layne, gdy jej brat odszedł w poszukiwaniu umówionej partnerki. - Mam nadzieję, że wyuczył się kroków. - Obie z zaciekawieniem obserwowały, jak sobie radzi w pierwszym tańcu. A poradził sobie bezbłędnie. - Dzięki Bogu. Musiał widocznie brać lekcje. Przez ostatnie dwa lata był raczej zajęty, uczył się zarządzać majątkiem naszego wuja. Już się zaczynałam martwić, czy kiedykolwiek pokaże się na towarzyskich salonach.

- I pozna jakąś miłą młodą damę? - podsunęła żartobliwym tonem Bel.

- Właśnie. Nasz wuj jest lordem Hinckliffe, a Patrick po nim dziedziczy... i podchodzi do tego bardzo poważnie. Bałam się, że skończy jako stary kawaler jak wielu naszych krewnych.

Panu Layne bynajmniej nie groził starokawalerski stan, o czym Bel przekonała się niedługo potem, gdy porwał ją do walca. Ani razu nie pomylił kroku, a prowadził ją tak zręcznie, że swobodnie wirowała w obrotach, mimo iż od dawna nie miała okazji przećwiczyć tanecznych figur. Pan Layne próbował ją namówić na następny taniec, gdy dostrzegła Reynarda zmierzającego w jej kierunku.

Bel miała wrażenie, że zaraz zemdleje; głos Patricka Layne docierał do niej jakby przez mgłę, a tłum wypełniający salę stał się jedynie zamazanym barwnym tłem. Zamrugła gwałtownie, żeby oprzytomnieć. Zgodziła się później zatańczyć z panem Layne kotyliona, po czym z uśmiechem wsparła dłoń na wyciągniętym ramieniu Reynarda.

Kroki tańca ludowego były na tyle skomplikowane, że Bel musiała skupić na nich całą uwagę. Po pierwszym okrążeniu znalazła się znów u boku swego partnera. Słyszając tłumiony chichot, spojrzała na niego pytająco.

- O co chodzi?

- Marszczy pani brwi, lady Belindo. Gdybym był nerwowym człowiekiem, pomyślałbym, że czymś panią rozgniewałem. Mam nadzieję, że chodzi jedynie o pilnowanie rytmu.

- Bardzo przepraszam - powiedziała szybko. Dopiero wtedy zauważyła rozbawienie w jego oczach. - Och! Pan sobie ze mnie żartuje. Wcale nie marszczyłam brwi, prawda?

- Wcale - przyznał Ashe. - Ale była pani całkowicie skupiona na tańcu, a ja liczyłem na ciekawą rozmowę. Teraz promenada. - Poprowadził ją wzdłuż podwójnej linii stojących rzędem par. Służąc w wojsku, często miał okazję bywać na tańcach w różnych najdziwniejszych miejscach, co dało mu tyle doświadczenia, że nie musiał nawet myśleć o krokach.

- O ile nic się nie zmieniło przez czas mojej żałoby, to w tańcu rozmawia się głównie o muzyce, o gorącu panującym w sali i o tłumie gości. Wydaje się to panu interesujące?

- Zależy, z kim się o tym rozmawia. Spodziewałem się, że pani poglądy na to wydarzenie towarzyskie będą ciekawsze niż innych, lady Belindo. - W jego głosie zabrzmiała ledwie wyczuwalna nuta zazdrości. Przed chwilą tańczyła z jakimś młodzieńcem i wyraźnie dobrze się bawiła; śmiała się i miała zaróżowione policzki. Nie miał powodów... ani prawa do zazdrości. Byli przecież zwykłymi znajomymi.

Tylko... nie posiadał kluczy do domów innych znajomych kobiet. Kamerdyner znalazł ten klucz w jego kieszeni i bez słowa położył go na blacie toaletki. Ilekroć Ashe sięgał po wodę kolońską lub odkładał szczotkę, jego

wzrok padał na niepozorny metalowy przedmiot. Wiedział, że powinien był odesłać klucz wraz z kwiatami. Wolał się nie zastanawiać, dlaczego go zatrzymał.

Lady Belinda nie prosiła go o zwrot klucza. Najwidoczniej po prostu o nim zapomniała albo też kazała zmienić zamek. Wszedł do kręgu, ujął rękę damy stojącej naprzeciwko, okręcił ją i skierował na nowe miejsce w szeregu, dyskretnie szukając wzrokiem Belindy, wykonującej tę samą figurę z innym partnerem.

Próbował się jej przyjrzeć chłodnym okiem, choć z jakiegoś powodu wcale nie przychodziło mu to łatwo. Wyraziste szare oczy, błyszczące ciemne włosy, naprawdę piękne. Znawca kobiecej urody mógłby twierdzić, że ma nieco długi nos, zbyt mocno wysunięty podbródek i wydatne usta. Starła się uprzejmie uśmiechać do partnera, który wykonywał zbyt energiczne ruchy, zakłócające płynność tańca. Nagle przyłapała spojrzenie Reynarda i jej uśmiech stał się szeroki i swobodny, jakby wokół nie było tłumu uważnych obserwatorów. Zaraz potem opuściła wzrok i tylko zerknęła na niego ukradkiem spod rzęs. Ta sztuczka zawsze go bawiła u innych kobiet, ale tym razem miał ochotę ująć jej twarz w dłonie, zajrzeć głęboko w oczy i wyczytać w nich najskrytsze myśli. To odkrycie trochę go przestraszyło. Nie rozumiał własnych odczuć, próbował sobie tłumaczyć, że jeszcze nie doszedł do siebie po niedawnych przeżyciach w armii. Zapewne wszystko wróci do normy, kiedy pobędzie dłużej w domu.

Tancerze stali teraz twarzami do siebie, kobiety w jednym rzędzie, mężczyźni w drugim. Panie podeszły do partnerów tak blisko, że Reynard niemal poczuł dotyk piersi Belindy na swoim torsie. Spojrzała na niego, nie widząc czemu oblała się rumieńcem i znów się cofnęła. Kiedy przyszła jego kolej, by wykonać tę samą figurę, Belinda nie podniosła wzroku.

Bez wątpienia jej onieśmienie brało się stąd, że była żoną nudziarza, nieprzyzwyczajoną do męskich hołdów i flirtu. Rzadko się zdarzało, by mężatka łączyła w sobie dojrzałość z taką niewinnością. Może dlatego jednocześnie go podniecała i wzbudzała w nim odruchy opiekuńcze.

Melodia dobiegła końca z głośnym akordem i nagrodziwszy orkiestrę brawami, wszyscy zeszli z parkietu. Ashe odprowadził Belinę na miejsce i skłonił się chłodno młodzieńcowi, z którym wcześniej tańczyła, uderzająco podobnemu do panny Layne. Domyślił się, że ci dwoje są rodzeństwem. Następnie, tłumiąc w sobie niezrozumiałą irytację, Ashe udał się na poszukiwanie partnerki do następnego tańca.



## *Rozdział szósty*

- Hmm. Jego lordowska mość chyba mnie nie lubi. - Patrick przesunął krzesło Belindy tak, żeby mogła lepiej widzieć parkiet.

- Dlaczego pan tak twierdzi? - Panna Layne rozmawiała z siedzącą po drugiej stronie przyzwoitką, więc nikt nie słyszał ich prowadzonej ściszymi głosami wymiany zdań.

- Gdyby spojrzenia mogły zabijać, leżałbym martwy u pani stóp - powiedział Patrick z uśmiechem.

- Dlaczego lord Dereham miałby pana nie lubić? - Bel okazała szczere zdziwienie.

- Musi pani pytać? - Patrick schylił się po wachlarz, który wysliznął jej się z ręki. - Tańczyłem z panią walca, a teraz siedzimy obok siebie.

- Ale... to by znaczyło, że jest zazdrosny, a przecież nie ma ku temu najmniejszego powodu. Prawie go nie znam. Poza tym mam z nim później zatańczyć walca.

Patrick Layne przyjął jej protesty z uśmiechem. Czy możliwe, że próbował z nią flirtować? Bel zupełnie tego nie oczekiwała, kiedy myślała o powrocie do życia towarzyskiego. Zakładała, że jako wdowa nie będzie przyciągać męskiej uwagi. I najwyraźniej była w błędzie.

Sytuację rozładowała panna Layne, oświadczając, że umiera z głodu i muszą przejść do jadalni, gdzie podano kolację. Bel wprawdzie nie miała ochoty nic jeść, ale dołączając do rodzeństwa Layne, mogła przynajmniej uniknąć niepokojącego widoku lorda Derehama, wirującego na parkiecie z żywiołową rudowłosą damą.

Nim nadeszła pora drugiego walca, Belinda zupełnie straciła humor.

- Co się stało, lady Belindo? Jest pani na mnie zła?



- Zła? Nie, wielkie nieba, oczywiście, że nie. Po prostu dałam się namówić na zjedzenie kroieta nadziewanego krabami, na który wcale nie miałam ochoty, niezdarny młody człowiek podeptał mi stopy w ostatnim tańcu i w ogóle zaczynam się zastanawiać, czy przyjeżdżając do Londynu, nie popełniłam strasznej pomyłki. Może powinnam była zostać na wsi, gdzie przynajmniej wiem, co robię.

Reynard objął ją i poprowadził tak lekko, jakby wcześniej setki razy ze sobą tańczyli. Jak na tak wysokiego mężczyznę poruszał się z zadziwiającym wdziękiem.

- Chyba myśli pani o Londynie to samo co ja w tej chwili. - Przyciągnął ją do siebie mocniej, żeby uniknąć zderzenia z parą młodych ludzi, zaśmiewających się głośno z własnej niezdarności. - Oboje byliśmy daleko stąd, żyliśmy innym życiem. Może trzeba czasu, żeby wrócić w stare koleiny. - Nadal trzymał ją blisko, choć niebezpieczeństwo kolizji minęło.

- Tak, pewnie ma pan rację. - Zręcznie wykonali skomplikowany obrót. - Jest pan świetnym tancerzem, Ashe. - Imię wymknęło jej się z ust, nim zdążyła pomyśleć, co mówi. - Bardzo przepraszam, Reynardz...

- Przecież sam prosiłem, żeby pani tak się do mnie zwracała.

- To nie znaczy, że powinnam.

- Podoba mi się. Proszę tego nie zmieniać. - Niski, zmysłowy głos rozległ się tuż przy jej uchu.

- Tym bardziej nie powinnam! - Wyczuwając jego rozbawienie, zaprotestowała: - Proszę się ze mnie nie śmiać!

- Nie śmieję się - rzekł całkiem poważnie. - Doceniam pani starania, by sprostać konwenansom, ale pod tą nienaganną powierzchownością wyczuwam ducha przekory.

Bel nie bardzo wiedziała, jak potraktować tę niejednoznaczną uwagę. Zapewne chciał jej dać do zrozumienia, że nie miałby nic przeciwko temu, by zachowywała się swobodniej. Wobec niego. Poprzestała na karcącym prychnięciu, które zabrzmiało bardziej jak chichot.

Taniec się skończył. Kiedy Ashe wypuszczał ją z objęć, ich spojrzenia się spotkały i Bel dostrzegła w jego oczach pożądanie. Rozpoznała je, choć nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie patrzył na nią w taki sposób. W odpowiedzi całe jej ciało wypełniło się przyjemnym ciepłem. Opuściła wzrok... i szybko musiała odwrócić głowę. Jej odczucia znalazły namacalne potwierdzenie.

Księżna wdowa Malmsbury, stara złośliwa jędza, powiedziała kiedyś otwarcie w jej obecności, że moda na obcisłe wieczorowe bryczesy jest korzystna, ponieważ dokładnie wiadomo, co myśli noszący je mężczyzna. Bel splonęła wówczas rumieńcem i przez następne tygodnie nie ośmieliła się spojrzeć na żadnego mężczyznę poniżej pasa. Teraz dobrze wiedziała, co miała na myśli jej łaskawość, a jeszcze lepiej, o czym myślał Ashe, major, lord Dereham.

- Dziękuję... Cudowny taniec. - Dygnęła uprzejmie i zeszła z parkietu, na którym ustawiały się już pary do następnego tańca.

- Lady Belindo?

- Tak? - Nie miała odwagi się odwrócić. Fantazjowała na temat fizycznego pożądania, a teraz wyczuwała je, wiszące między nimi w powietrzu, i była przerażona.

- Mogę zamienić z panią słówko na osobności?

- Tak... oczywiście.

Ashe poprowadził ją w stronę loggii wychodzącej na rozległy trawnik. Otwarto ją, żeby tancerze mogli odetchnąć od gorąca panującego w sali. Bel powtarzała sobie w duchu, że nie ma się czego obawiać. Goszcząc u siebie tak

wiele młodych niedoświadczonych dziewcząt, pani Steppingley zadbała, by wszystkie zasłony były rozsunięte, a przejście pod arkadami dobrze oświetlone. Kilka par przechadzało się już po marmurowej posadzce między wielkimi palmami w donicach i koszami orchidei.

- Bardzo tu przyjemnie. - Bel rozsunęła wachlarz i zaczęła nim energicznie machać.

Ciekawe, o co chce mnie zapytać?

- Istotnie. - Ashe ujął jej wolną dłoń i położył na swoim przedramieniu. - Chciałem powiedzieć, że powinienem oddać pani klucz, ale nie mogłem o tym wspominać w sytuacji, gdy ktoś mógłby nas usłyszeć. Przepraszam, że nie zrobiłem tego wcześniej.

- Mój klucz. - Patrzyła na niego zaskoczona. Mimo iż w loggii panował względny chłód, miała wrażenie, że całe jej ciało wypełnia żar. Reynard pewnie czuł jej przyspieszony puls w miejscu, gdzie dotykała jego ręki nadgarstkiem. Oczywiście, klucz. Miała świadomość, że powinna odpowiedzieć coś sensownego, ale nic nie chciało jej przyjść do głowy. - To zrozumiałe, że zapomniał pan go zwrócić.

- Nie, nie zapomniałem. - Nie spodziewała się zaprzeczenia.

Całkowicie ją zaskoczył. Doszli do końca arkady i przystanęli. Reynard opar się o kolumnę, zasłaniając stojącą przed nim Bel przed resztą towarzystwa.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie - przyznał z westchnieniem. - Leżał na wierzchu od tamtego dnia. Nie mogę udawać, że o nim zapomniałem. - Odsunął się od niej, jakby ta rozmowa go krępowała, i stanął obok, wsparty na balustradzie.

Bel popatrzyła najpierw na jego dłonie, a następnie ostrożnie podniosła wzrok na urodziwy, klasyczny profil. Ashe patrzył prosto przed siebie, na roz-

pościerający się w dole ogród. Nagle dostrzegła na jego twarzy wyraz bezbronności. Zamrugła z niedowierzaniem i wrażenie znikło.

- Każę go pani jutro odesłać. - Znów odwrócił się do niej przodem. - Będzie zapakowany, żeby nie było widać, że to klucz.

Dziękuję, to bardzo uprzejmie z pana strony. Właściwe słowa uformowały się posłusznie w jej umyśle. Bel otworzyła usta, żeby je wypowiedzieć.

- Proszę go zatrzymać.

Co takiego? - Ashe omal nie wykrzyknął tych słów na cały głos. Musiał się przesłyszeć. Miał zatrzymać klucz do jej drzwi?

- Proszę mi wybaczyć, lady Belindo. Wydawało mi się, że pani powiedziała...

- Powiedziałam, żeby pan zatrzymał klucz. - Policzki miała zaróżowione, oczy szeroko otwarte, jakby z niedowierzaniem, ale jej głos brzmiał spokojnie, wręcz stanowczo. - Może któregoś wieczoru w drodze do domu zechce pan wstąpić. Na kieliszek przed snem. - Brzmiało to tak, jakby go zapraszała na popołudniową herbatkę.

- Na kieliszek?

- Czegoś do picia. Moja służba zawsze kładzie się przed pierwszą. Nie ma potrzeby pukać i... kogoś budzić. Proszę po prostu wejść, tak jak tamtej nocy.

To jednak nie było przywidzenie. Szacowna lady Belinda Felsham, wdowa po człowieku wręcz chorobliwie przyzwoitym, proponowała, żeby przyszedł do jej domu o pierwszej w nocy... na kieliszek czegoś do picia?

Bywało, że mężatki lub wdowy dawały jasno do zrozumienia, że nie miałyby nic przeciwko romansowi. Zdarzało mu się to w przeszłości i świetnie sobie radził z udawaniem, że nie dostrzega aluzji. Czasami korzystał z okazji, jeśli kobieta mu się podobała, a jej mąż nie był zbyt zaborczy.

Ale czy ta dama naprawdę proponowała to, co podejrzewał? Może Belinda w istocie spodziewała się, że wstąpi do niej na kieliszek brandy i pogawędkę, wracając z klubu. Najwyraźniej miała kłopoty z zaśnięciem, skoro o drugiej nad ranem czytała, leżąc na dywanie przed kominkiem. I z pewnością nie miała wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o mężczyzn. Widać żądza zmała mu umysł i dlatego uwierzył, że oferuje mu swoje ciało, a nie jedynie towarzystwo.

- Lady Belindo... - Zawiesił głos, żeby starannie dobrać słowa. - Muszę zwrócić pani uwagę, że choć kieliszek brandy wypity późną nocą przez dwoje przyjaciół może być całkiem niewinny, to jednak osoby postronne postrzegąby tę sytuację w zupełnie innym świetle. Postrzegąby ją w jak najgorszym świetle. Tego się po prostu nie robi.

- O mój Boże! - Bel spojrzała na niego wyraźnie zakłopotana. - Nie przemyślałam tego. Rozumie pan, że nie mam zwyczaju... to znaczy nie zapraszam dżentelmenów... mój Boże. Powinnam spytać Ther... to znaczy przyjaciółkę... jak to się robi.

- Jak co się robi? - Ashe zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie dodano czegoś do szampana. Miał wrażenie, że kręci mu się w głowie. Nigdy mu się to nie zdarzało po zaledwie trzech kieliszkach dobrego wina.

- Jak się prosi mężczyznę, żeby został kochankiem.

- Aha. - Ashe wziął głęboki oddech, żeby odzyskać jasność umysłu.

Uświadomił sobie, że poprzednim razem, kiedy to było konieczne, stał po kostki w błocie i ścisnął w dłoni szablę, a francuska kawaleria zbliżała się galopem. Nie potrafił ocenić, która z tych dwóch sytuacji była bardziej przerażająca. - Nie wiedziałem, że o to pani chodzi.

- Bo pana pytam, czy zostanie moim kochankiem? - Powtórzyła słowo „kochanek”, jakby się próbowała z nim oswoić. - Oczywiście, jeśli pan nie

chce, proszę mi to powiedzieć. - Tym samym tonem mogłaby mu proponować poczęstowanie się ciasteczkami. - Czułabym się okropnie, gdyby pan uznał, że musi się zgodzić z czystej uprzejmości.

- Z uprzejmości? Nie, uprzejmość nie ma tu nic do rzeczy, zapewniam panią. Nie chodzi też o pożądanie czy jego brak. Jest pani bardzo atrakcyjną kobietą. - Ashe wytężył słuch, czy przypadkiem ktoś nie nadchodzi. O takich sprawach rozmawiało się zwykle w najgłębszych zakątkach ogrodu, nie na gęsto uczęszczanej promenadzie.

- Dziękuję - szepnęła, nagle znów onieśmielona.

Ashe uśmiechnął się pod nosem. Belinda przyjęła za komplement coś, co było jedynie stwierdzeniem obiektywnego faktu. Miał żywo, aż za żywo w pamięci Belindę leżącą na tej przeklętej niedźwiedziej skórze. W cienkiej nocnej koszuli, z rozpuszczonymi luźno włosami. Nadal nie mógł uwierzyć, że skromna wdowa po najnudniejszym człowieku z całego towarzystwa chce go mieć w swoim łóżku.

- Ashe? - Widząc, jak zagryza pełną dolną wargę, poczuł mrowienie w lędźwiach. - Nie powinnam była zadawać tego pytania, prawda? Pewnie to mężczyźni wolą składać tego rodzaju propozycje. Pomyślałam tylko, że pan nigdy mi jej nie złoży, a ponieważ nie umiem flirtować, uznałam, że tak będzie lepiej.

Miał ochotę dotknąć jej policzka, ale wokół byli ludzie i musiał mieć na względzie jej reputację.

- Przejdźmy się trochę. Nie chcę, żeby zwracano na nas uwagę. - Odwrócił się, podając jej ramię, które przyjęła po momencie wahania. Jeszcze przed chwilą uważał ją za osobę wręcz nienaturalnie opanowaną, a teraz czuł, jak drży, przerażona sobą, tym, co właśnie zrobiła... i nim.

- Nie chodzi o to, kto składa propozycję - starał się wyjaśnić. - W przypadku pani mogłem sobie wyobrazić, że za taką propozycję dostanę jedynie po uszach. Jak dotąd nie udało mi się nawet z panią poflirtować.

Belinda zaśmiała się cicho, ale w jej głosie pozostał niepokój, kiedy znów się odezwała.

- Zatem wcześniej uważał pan, że jestem zbyt porządna na takie rzeczy, a teraz... co pan o mnie sądzi? Wszystko to brzmi okropnie. Rzeczywistość jest zupełnie inna od moich fantazji.

- Myślę, że nie musi się pani przed nikim tłumaczyć ze swojego zachowania, jedynie przed samą sobą. - Starał się powstrzymać przed snuciem domysłów na temat jej fantazji. - Nie łamie pani małżeńskiej przysięgi, nie ma pani dzieci, które trzeba by chronić, nie ryzykuje pani swym publicznym statusem. Jest pani dyskretna, zaszczyliła mnie pani swoim zaufaniem i proszę mi wierzyć, że go nie zawiodę. Ja nie jestem z nikim związany i nie mam żadnych zobowiązań. To oznacza, że jest pani wolną kobietą z pragnieniami, które ma prawo zaspokoić. Nic więcej.

Nigdy by mu się nawet nie śniło, że będzie odbywał tak poważną rozmowę z przyszłą kochanką, ale odnosił wrażenie, że Belinda tego potrzebuje. To, co zrobiła, nie było zwykłym kaprysem. Doszedł do wniosku, że powinien chyba zmienić opinię o lordzie Felsham. Czyżby zmarły był tak znakomitym kochankiem, że jego żona nie może wytrzymać sama w łóżku? Z drugiej strony, gdyby nie wiedział o jej wdowieństwie, uznałby ją za dziewicę, bo jej niewinność czasami graniczyła z naiwnością. Zapewne był to efekt tego, że poznała cieleśnie tylko jednego mężczyznę.

- Zatem zgodzi się pan? - spytała, patrząc mu w twarz. - Zostać moim kochankiem? - Wyraz jej oczu wstrząsnął nim do głębi. Nie, nie była taka jak jej

frywolne przyjaciółki, różniące się od kobiet lekkich obyczajów jedynie bogactwem i pochodzeniem.

- Będę zaszczycony - odparł z powagą. Patrick Layne zmierzał w ich stronę z młodziutką blondynką, mówiącą coś do niego z ożywieniem. Czas było kończyć tę rozmowę, zanim ktoś zwróci uwagę, że spędzają ze sobą nieprzyzwoicie dużo czasu. - Lady Belindo, czy mogę przyjść jutro? - Ściszył głos, żeby nie usłyszała go nadchodząca para. - Zaraz po pierwszej.

A więc nie dzisiaj, pomyślała rozczarowana. Czego właściwie chciała? Żeby Ashe porwał ją w ramiona i natychmiast zaniósł do łóżka? Albo żeby znalazł sypialnię tu, w tym domu i zamknął drzwi na klucz? Tak, oczywiście, tego właśnie chciała!

- Dobrze. - Bel uśmiechnęła się z przymusem. - Ta pora będzie odpowiednia. Dziękuję, milordzie.

Ashe skłonił się Patrickowi Layne i jego partnerce, po czym udał się w stronę wyjścia z loggii.

- Lady Felsham, czy mogę pani przedstawić pannę Steppingley? - Bel uśmiechnęła się do jasnowłosej dziewczyny, bardzo młodej, bardzo ładnej i bardzo przejętej tym, co się działo dookoła.

Panna Steppingley była zachwycona przyjęciem wydanym przez matkę i cieszyła się, że ona i jej kuzynki mogą brać w nim udział, mimo iż ich debiut przewidziany był dopiero na nadchodzący sezon. Bel niezbyt uważnie słuchała jej radosnej paplaniny, a w końcu, chcąc ją przerwać, powiedziała:

- Chyba powinniśmy wracać. Pani mama pewnie nie jest zadowolona, że spaceruje pani bez przyzwoitki. - Ruszając wolno w stronę sali tanecznej, Bel pomyślała, że gdyby lady Steppingley wiedziała, co Bel przed chwilą zrobiła, miałyby powód do oburzenia znacznie poważniejszy niż spacer córki sam na sam z pocziwym panem Layne.



Panna Steppingley wdała się w rozmowę z jedną z przyjaciółek, pozostawiając Patricka Layne w towarzystwie Bel.

- Miała pani rację - odezwał się, spoglądając pobłażliwie na rozchichotane dziewczęta. - Jest stanowczo za młoda i zbyt ufna. To niebezpieczne.

- Spacerowanie z panem miałyby być dla niej niebezpieczne? - zdziwiła się Bel. - Niemożliwe.

- Niebezpieczne dla mnie - wyjaśnił Patrick Layne z uśmiechem. - Dziewczęta w tym wieku niewinny flirt pod palmą biorą za wstęp do związku na całe życie. Nim się człowiek spostrzeże, stoi przed jej ojcem i tłumaczy się ze swoich zamiarów.

- Znalazł się pan kiedyś w takim położeniu? - Bel rozejrzała się dyskretnie.

Ashe zniknął.

- Nie, na szczęście nie. Wolę panie w wieku zbliżonym do mojego. - Domyśliła się, że musi mieć dwadzieścia sześć lat, tyle co ona. Czyżby tym stwierdzeniem chciał jej dać coś do zrozumienia? Postanowiła nie drażnić tematu. Nie miała nastroju na rozważanie słów pana Layne.

- O, jest pańska siostra. A ja muszę się już pożegnać.

- Proszę nas odwiedzić. - Poetka wsunęła Bel do ręki swoją wizytówkę. - Będę zachwycona, jeśli zgodzi się pani przyjść na herbatę.

- Dziękuję. - Bel schowała wizytówkę do torebki. Właśnie na to liczyła, przybywając do Londynu, że znajdzie nowych przyjaciół i stworzy sobie przyjemne życie towarzyskie. Mimo różnych fantazji nie śniło jej się, że weźmie sobie kochanka. Ale to zrobiła... prawie.

Gdyby Ashe Reynard nie wypił za dużo tamtego wieczoru, nic by się nie stało, myślała Bel, sadowiąc się w swoim powozie. Ale Ashe zawędrował do

swojego dawnego domu, poznali się i od tej pory nie mogła przestać za nim tęsknić.

Tańczyła tego wieczoru z wieloma atrakcyjnymi mężczyznami. Patrick Layne był przystojny, zabawny i z pewnością dyskretny. Jednakże ani przez moment nie brała pod uwagę, że to z nim mogłaby mieć romans.

Ashe był mężczyzną z jej fantazji, tylko takie wytłumaczenie przychodziło jej do głowy. A gdyby nie poddała się swoim pragnieniom teraz, już nigdy więcej nie miałyby takiej szansy... i odwagi.

## *Rozdział siódmy*

- Zdrzemnęła się pani trochę, milady? - Philpott postawiła przy łóżku filiżankę z herbatą i rozsunęła zasłony, wpuszczając do pokoju promienie popołudniowego słońca.

- Nie bardzo - westchnęła Bel, odgarniając włosy z czoła.

Pokojówka przyjrzała jej się z bliska.

- Będzie pani miała worki po oczami, milady, jeśli się pani trochę nie prześpi. Londyńskie życie pani nie służy. Jest pani blada, jakby tej nocy też nie zmrużyła oka. - Słuchając jej gderania, Bel pomyślała z lękiem, że Ashe przestraszy się jej wyglądu i zrejteruje. Philpott zaczęła sprzątać blat toaletki. - Kiedy kobieta osiąga pewien wiek, musi szczególnie o siebie dbać - ciągnęła zrzędnym tonem. - Na poprzedniej posadzie nie udało mi się przekonać mojej pani, choć bardzo się starałam, żeby używała Duńskiego Balsamu. I proszę, co się stało.

- Co się stało? - spytała Bel bez większego zainteresowania. Doszła do wniosku, że jeśli wyjdzie na spacer przed kolacją, to może potem zdoła zasnąć.

- Dostała kurzych łapek - wyjaśniła Philpott.

Bel usiadła na taborecie przed toaletką i spojrzała w lustro. Kurze łapki jeszcze się nie pojawiły, ale widać było, że jest niewyspana. Nie należało się pokazywać w takim stanie mężczyźnie, który musiał być przyzwyczajony do pięknych, olśniewających kochanek. W dodatku brakowało jej doświadczenia i nie miała pojęcia, jak zadowolić wymagającego mężczyznę w łóżku.

Próbując znaleźć jakieś pocieszenie, przyjrzała się swoim błyszczącym włosom, umyтым tego ranka. Philpott zabrała się za układanie fryzury swojej pani, a Bel zaczęła rozmyślać o stosownym ubraniu na przyjęcie Ashe'a. Czy będzie się spodziewał zastać ją w wieczorowym stroju? Czy najpierw zechce porozmawiać? A może powinna czekać na niego w łóżku? Albo nie w łóżku, ale rozebrana? Skąd miała to wiedzieć? Powinna być na ten temat jakaś książka. Może zresztą i była, tylko ona nie umiała jej znaleźć. Biedny lord Dereham...

Ashe wsunął klucz do zamka i ostrożnie otworzył tylne drzwi. Noc była spokojna, bezksiężycowa, a na tyłach domu panowały zupełne ciemności. Przechodząc od frontu, dostrzegł światło w sypialni Belindy. Nie spała, czekała na niego.

Uśmiechnął się pod nosem, pełen miłych przeczuć. Wieczorem wrócił do swojego mieszkania, żeby się ogolić i sprawdzić, czy schadzka w ostatniej chwili nie została odwołana, po czym stawił się pod domem Belindy, czując napięcie nerwów.

Doznawał tego stanu zwykle przed bitwą i trochę go bawiło, że ogarnął go teraz, przed rozpoczęciem nowego romansu. Wcześniej mu się to nie zdarzało, ale też Belinda różniła się od innych znanych mu kobiet. Wprawdzie zawsze starał się być oddanym kochankiem, lecz tym razem wyjątkowo mu zależało na sympatii Belindy.

Bezszelestnie, jakby się skradał za linią wroga, wszedł na górę, na podęście schodów skręcił w prawo i cichutko zapukał do drzwi.

Wpuściła go do pokoju oświetlonego dwoma kandelabrami; jeden stał na bocznym stoliku, drugi przy łóżku. Zamknęła za nim drzwi i bez słowa stanęła przy stole. Wyglądało na to, że czytała, czekając na niego.

Migotliwe światło odbijało się w jej błyszczących rozpuszczonych włosach, jakby były poprzetykane pasemkami bursztynu. Ashe miał ochotę wyciągnąć rękę i zanurzyć w nie palce. Wszystko w swoim czasie. Cierpliwości, jest tego warta.

- Lady Belindo.

- Przyjaciele nazywają mnie Bel - powiedziała napiętym, jakby lekko zdyszonym głosem.

- Bel - powtórzył, smakując brzmienie zdrobnienia. - Ślicznie. Pasuje do ciebie. - Miała na sobie długi jedwabny szlafrok w kolorze bursztynu, wiązany na wstążki. Spod spodu wystawała nocna koszula w nieco ciemniejszym odcieniu. Wyglądała tak, jak ją zapamiętał tamtej pierwszej nocy.

Tylko wtedy nie była taka blada i jej oczy nie wydawały mu się takie ogromne. Sprawiała wrażenie bardzo kruchej.

- Bel, wszystko w porządku? - Chciał do niej podejść, ale zaczepił o coś czubkiem buta. Z dołu, z wielkiej kudłatej głowy patrzyły na niego zielone paciorki oczu, a palce jego stopy tkwiły pomiędzy dwoma rzędami obnażonych kłów. - Dobry wieczór, Horacy - powiedział, omijając niedźwiedzią skórę.

Bel zaśmiała się cicho.

- Wszystko w porządku. Jestem tylko trochę... zdenerwowana.

- Ja też - przyznał Ashe, szybko pokonując dzielącą ich odległość.

Z bliska Bel wyglądała, jakby nie spała od dawna, a drżący rąbek koszuli zdradzał, że cała się trzęsie. Ashe'owi przyszło do głowy, że gdyby nagle kla-

snał w dłonie, mogłaby zemdleć z przestachu. Nie było sensu tracić czasu na rozmowy, należało zająć się nią jak najszybciej.

Położył jej dłonie na ramionach. Bel patrzyła na niego szarymi oczyma, tak wielkimi, że widział w nich swe odbicie.

Pochylił się do jej ust; kiedy ich wargi się zetknęły, przeszył go dreszcz. Miała usta miękkie i słodkie. Westchnęła cicho i położyła mu ręce na piersi takim ruchem, jakby nie wiedziała, czy ma go do siebie przyciągnąć, czy odepchnąć. Ashe zastanawiał się, jak smakuje głębiej i czy łatwo się przed nim otworzy. Zakładał, że Bel wie, czego od niej oczekuje. Jednak kiedy zaczął ssać jej lekko wypukłą dolną wargę, wzdrygnęła się zaskoczona.

Wyglądało na to, że jednak nie rozumie. Nie próbował niczego przyspieszać; lekkimi muśnięciami języka obwodził kontur jej ust. Zarzuciła mu ręce na ramiona i przysunęła się bliżej. Zachęcony tym dowodem ufności przygarznął ją do siebie, czując, że jest gotowa dać mu się poprowadzić, tak jak wówczas, gdy tańczyli walca.

Ani na moment nie odrywał się od jej ust, aż w końcu rozchyliła wargi i pozwoliła mu wsunąć język głębiej i zakosztować ciepłej, wilgotnej słodyczy. Kiedy ostrożnie, jakby z wahaniem zaczęła naśladować to, co robił, wydała mu się wzruszająca w swej nieśmiałości.

Jak to możliwe, że pozostała tak niewinna? Coś mu mówiło, że jej mąż nie był jednak dobrym kochankiem, skoro nie potrafił jej w pełni rozbudzić. Nie chciało mu się pomieścić w głowie, że mając za żonę kobietę taką jak Bel, można ją zaniedbywać.

Ścisnęła go mocno za ramiona, a Ashe czuł, że tylko dzięki temu trzyma się na nogach. Delikatnie przerwał pocałunek i spojrzał jej w twarz. Była zaróżowiona i uśmiechała się do niego niepewnie. Jej dolna warga wydawała się jeszcze pełniejsza, jakby nabrzmiała.

- Hello - wymruczał z uśmiechem, jakby dopiero teraz się z nią witał.

- Hello - odpowiedziała, zakrywając oczy rzęsami.

Wypuścił ją z objęć i zaczął powoli rozwiązywać wstążki szlafroka. W ciszy panującej w pokoju słychać było jedynie cichutki szelest jedwabiu. Ashe nie mógł się doczekać, by dotknąć jej nagiej skóry.

- Mogę sama to zrobić - odezwała się niepewnie.

- Pozwól mnie. Śliczny strój, kolor doskonale pasuje do twojej cery i odcienia włosów. - Po rozwiązaniu ostatniej wstążki ukazała się głęboko wycięta nocna koszula. Ashe widział już wcześniej krągłość jej piersi, jako że podobny dekolt miała wieczorowa suknia, w której Bel wystąpiła poprzedniego wieczoru, ale tym razem ten cudowny widok przeznaczony był wyłącznie dla jego oczu. Wstrzymując oddech, przesunął koniuszkami palców po odsłoniętej skórze nad krawędzią tkaniny.

Bel cofnęła się odruchowo, ale Ashe po prostu zrobił krok do przodu i zsunął z niej szlafrok. Ujrzał gołe ramiona, przecięte jedynie wąskimi ramiączkami koszuli, szczupłe i aksamitnie gładkie.

- *Belle* - wymruczał, dotykając pulsu bijącego na jej wysmukłej szyi, przypominającego maleńkie podskórne źródółko. - Bel. Jesteś taka piękna, taka piękna.

- Czy mam... czy powinnam się położyć do łóżka?

Miał zamiar pocałować ją jeszcze raz, mocno, do utraty tchu, a potem wziąć w ramiona, ułożyć na ciemnozielonej atłasowej narzucie i napawać się jej widokiem. Instykt podpowiadał mu, że nie należy się śpieszyć, że lepiej pozwolić jej, by sama decydowała, co woli.

- Jeśli chcesz.

Podeszła do łóżka i odgarnęła narzutę.

- Świece mają pozostać zapalone?

- Tak, chcę cię zobaczyć.

- Tak? - Wśliznęła się na łóżko i usiadła z kołdrą podciągniętą pod brodę.

- Absolutnie! - Ashe usiadł na skraju fotela, zdjął buty, rozpiął sprzączki bryczesów pod kolanami i zaczął zdejmować pończochy. Następnie, stojąc bosy, ściągnął surdut, rzucając go na fotel z niedbałością, która bez wątpienia przyprawiłaby o jęk kamerdynera.

- Co ty robisz? - wydukała Bel, kiedy zaczął rozpinąć guziki kamizelki.

- Rozbieram się. - Kamizelka dołączyła do surduta.

Ashe jednym szarpnięciem zerwał z szyi krawat.

- Ale... nie wolałbyś tego zrobić w garderobie?

Ashe spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Nie. Wolę się rozbierać tutaj, gdzie mogę na ciebie patrzeć.

- Och... - Bel zamknęła oczy. - O mój Boże.

- Bel. - Nie uniosła powiek. - Bel, wiem, że widziałas już nagiego mężczyznę...

- Nie, nie widziałam.

- Co? - Ashe usiadł, nie zważając na to, że gniecie swoje ubranie. Tylko mi nie mów, że jesteś dziewicą. Słyszało się o małżeństwach nieskonsumowanych z takiego czy innego powodu. Nigdy w życiu nie kochał się z dziewicą i wcale nie miał zamiaru tego zmieniać.

- Nigdy nie widziałam nagiego mężczyzny, ponieważ Henry zawsze przychodził do mojej sypialni w nocnej koszuli, a potem zdmuchiwał świece - wyjaśniła Bel, nadal nie otwierając oczu.

Ashe wypuścił powietrze, pot zaperlił mu się na czole.

- I dopiero potem ściągał koszulę?

- Nie. Wchodził do łóżka, całował mnie w policzek i... no wiesz...

- W nocnej koszuli?

- Oczywiście. - Bel ostrożnie otworzyła oczy, jakby spodziewała się go ujrzeć nieprzyzwoicie obnażonego i do tego w całej okazałości. Nie kryła ulgi, stwierdziwszy, że nadal ma na sobie spodnie i koszulę.

- Ty też byłaś w nocnej koszuli? - W odpowiedzi tylko pokiwała głową. - I kochał się z tobą? - Kolejne potaknięcie.

- A potem znów całował mnie w policzek, mówił „Dziękuję, kochanie. Dobrej nocy”. I dawał mi spokój do następnej środy. Lub soboty.

- Odwiedzał twoją sypialnię dwa razy w tygodniu w wyznaczone dni? - Ashe wpatrywał się w Bel z niedowierzaniem. Jej mąż musiał mieć w żyłach zimną wodę zamiast krwi albo był ślepy. Albo jedno i drugie.

Bel ziewnęła potężnie, zakrywając usta obiema rękami.

- Och, przepraszam, ale ostatnio niewiele spałam.

Ashe zignorował ziewnięcie.

- Wybacz, ale muszę spytać... czy twój mąż był namiętnym mężczyzną? Chodzi mi o to, czy kochając się z nim, czułaś...

- Nudę. To było bardzo, ale to bardzo nudne. Ale Henry chyba nie widział potrzeby, żebym czerpała z tego przyjemność. Zawsze zachowywał się tak, jakby czuł się winny, że to robi, więc zakładałam, że to musi być okropne.

- Ashe zamrugał z osłupieniem. Biedny Henry był idiotą. - Dlatego nie miałam pojęcia, że może być inaczej, że może mi to sprawiać przyjemność. W każdym razie tak było przez dłuższy czas. Bo potem, kiedy moje małżeństwo trwało już jakiś czas, usłyszałam pewne rzeczy... i przeczytałam. I domyśliłam się, że to nie musi być jedynie lepkie, nudne i krepujące. - Popatrzyła na niego z nadzieją. - Bo nie musi, prawda? Z czasem zaczęłam odczuwać, że czegoś mi brakuje, czegoś potrzebuję. - Zmarszczyła brwi, jakby szukała lepszego słowa, a potem, nie znalazłszy go, lekko potrząsnęła głową.



- Zapewniam cię, że może być inaczej. Zupełnie inaczej. Że ta potrzeba może być zaspokojona. - Siedziała na wielkim łóżku, krucha, pełna niepokoju i wyraźnie zmęczona. - Bel, nie myślałaś o tym, żeby powtórnie wyjść za mąż? Byłby to bardziej konwencjonalny sposób na zaspokojenie cielesnych pragnień. I chyba bezpieczniejszy.

- Na Boga, nie. Nie mam najmniejszego zamiaru ponownie wychodzić za mąż. Przecież nie wiadomo, jakim mężem będzie mężczyzna, którego poślubię. Henry był przyzwoitym, uczciwym, godnym szacunku człowiekiem. I był miły. Ale przy tym tak nudny, że i ja stawałam się nudna. A nie domyślałam się, że tak będzie, dopóki za niego nie wyszłam. Pomijając sprawę nudy, mąż panuje nad losem żony, a teraz, kiedy wiem, jak to jest myśleć samodzielnie, już bym tego nie zniosła. Jeśli nawet jakimś cudem nie próbowałby mną rządzić, wyobraź sobie, jakie to musi być okropne być żoną człowieka, którego nie obchodzi, co robisz, i zachęca cię do wzięcia sobie kochanka. Jak można szanować kogoś takiego?

- W przeciwieństwie do męża kochanka można wymienić, jeśli cię nie zadowala. Jak książkę w bibliotece. - Stwierdził Ashe, nie do końca żartując.

- Nie! Nie można traktować ludzi w taki sposób. - Bel uniosła się na poduszkach. - Dlatego sądziłam, że to musi pozostać w sferze fantazji. Że mogę tylko marzyć. Nigdy nie zamierzałam brać sobie kochanka. Nie miałam pojęcia, jak go znaleźć. Wtedy ty się pojawiłeś i pomyślałam, że jesteś atrakcyjny. Kiedy się obudziłeś, leżąc na mnie, miałam ochotę nic nie mówić, tylko cię pocałować i czekać, co się stanie. Ale tego nie zrobiłam, oczywiście. - Spłonęła rumieńcem. - Myślałam, że jesteś niegroźny.

- Niegroźny? - Jeszcze nikt nigdy w życiu tak go nie określił. Podczas ostatniego sezonu, jaki spędził w Londynie, matki ostrzegały przed nim córki, nazywając go „niebezpiecznym flirciarzem”. Wiele pań z towarzystwa opisy-

wało go jako „diabelnie zmysłowego”, uśmiechając się przy tym znacząco. Ale mówić, że jest „niegroźny”? Poczul się obrażony. - Byłem pijany, na litość boską!

- Według mnie w tym stanie widać prawdziwą naturę. Tyrani stają się jeszcze bardziej despotyczni, a okrutnicy używają przemocy. Ty byłeś łagodny, zabawny i uprzejmy. I odniosłam wrażenie, że mnie pragniesz, ale nie próbowałeś mnie wykorzystać.

- Rzeczywiście cię pragnąłem. I pragnę. - Mówiąc te słowa, poczuł, że jeśli nie zaspokoi tego pragnienia, to chyba umrze. Nie mógł się doczekać, by pokazać Bel, jak cudowna może być fizyczna miłość. Mieli przed sobą tak wiele do odkrycia.

- Sam więc widzisz. - Uśmiechnęła się do niego. - Jesteś niegroźny i mówiłeś, że uchodzisz za rozpustnika, więc powinieneś rozumieć moją niechęć do wikłania się w niepewne małżeństwo. Nie będę się musiała martwić tym, że ranię twoje uczucia czy łamię ci serce. Masz ochotę się ze mną kochać, tyle nawet ja jestem w stanie rozpoznać. Zrozumiem, jeśli skończy się na pierwszym razie... bo nie spodziewam się, żebym była w tym dobra. Ale przynajmniej będę wiedzieć, czego mi brakowało.

- Zamknij oczy - poprosił Ashe, również się uśmiechając. - Mogę obiecać, że będę niegroźny. I łagodny. I że pokażę ci, czego ci brakowało. Ale chyba nie mogę obiecać, że będę zabawny, w każdym razie nie przez cały czas.

- W porządku. - Uspokojona Bel zamknęła oczy i czekała, próbując się domyślić, co Ashe robi. Usłyszała szelest, potem odgłos kroków okrążających łóżko.

- Ty też zamknij oczy, Horacy. - Surowe polecenie skierowane do niedźwiedzia przyprawiło ją o nerwowy chichot. Pod uniesioną kołdrę wpadł powiew chłodniejszego powietrza, a potem materac ugiął się pod ciężarem As-

he'a. - Teraz możesz patrzeć - oznajmił, wsuwając jej rękę pod głowę i przyciągając ją do siebie.

- O... - Była przygotowana na dotyk jego gołej skóry, tymczasem wciąż miał na sobie koszulę. - Myślałam...

- A ja pomyślałem, że może na razie będziesz tak wołała. Odpreż się, przytul i po prostu poleż w moich objęciach. Nie musimy się śpieszyć.

Wcale nie było tak, jak się spodziewała, ale zrobiła, co kazał, trochę niezdarnie przełożyła lewą rękę przez jego pierś i pozwoliła się przytulić.

Był duży i ciepły, jego pierś unosiła się lekko w rytm spokojnego, równego oddechu. Wyczuła znajomy zapach, ten sam, co owej pamiętnej nocy, tylko że teraz nie mącił go odór brandy. Cytrusowa nuta pochodząca prawdopodobnie od mydła, którego używał, czysta, świeżo wyprasowana bielizna i pod tym wszystkim zapach mężczyzny. Osobisty, niepowtarzalny zapach Ashe'a.

Bel otarła się policzkiem o jego wykrochmaloną koszulę, tęskniąc za dotykiem gołej skóry. Kiedy ich nagie stopy się zetknęły, Ashe uniósł nogę i położył w poprzek jej nóg, jakby ją przed czymś osłaniał. Ogarnęło ją miłe ciepło; zamknęła oczy. Ashe zaczął ją gładzić po włosach. Miał duże dłonie o długich palcach; zapewne z łatwością dzierżył w nich broń, poskramiał konia, a mimo to jego dotyk był delikatny i miękki. Bel westchnęła, poddając się stanowi błogości. Pomyślała, że Ashe już spędził w jej łóżku więcej czasu niż Henry podczas każdej ze swych wizyt.

Spodziewała się najróżniejszych odczuć i doznań poza tym spokojnym kołysaniem w rytm jego oddechu. Tak spokojnym, tak bezpiecznym...

## *Rozdział ósmy*

- Dzień dobry, milady. Cieszę się, że nareszcie się pani porządnie wyspała.

Bel otworzyła oczy. Z okna padało jasne światło, a z sąsiedniego pomieszczenia dobiegał rażny głos Philpott, szykującej strój dla swojej pani.

Bel usiadła na łóżku i nerwowo rozejrzała się po pokoju. Gdzie się podział Ashe? Obok niej pościel była schludnie zaścielona, nawet brzeg kołdry podwinięty pod materac. Żadnych porozrzucanych części męskiej garderoby na podłodze. Tomik poezji spoczywał na stoliku, tam gdzie go odłożyła wieczorem. Spojrzała na świece; zostały starannie zgaszone, na podstawkach nie widać było śladów wosku.

Czyżby wszystko było tylko snem? Najwidoczniej. Żaden mężczyzna nie przyjąłby zaproszenia do kobiecego łóżka tylko po to, by trochę się poprzytulać, a potem zaścielić posłanie i zniknąć podczas jej snu. To oznaczało, że wszystko pozostało bezpiecznie w sferze jej fantazji. Czy to, że poprosiła Ashe'a, by został jej kochankiem, także jej się przyśniło?

Oszołomiona Bel odwróciła się, żeby dotknąć poduszki leżącej po drugiej stronie łóżka, i nagle dostrzegła na haftowanym atłasie pojedynczy jasny włos. Podniosła go i zacisnęła w palcach; natychmiast stanęła jej przed oczyma gęsta blond czupryna.

A więc jednak Ashe był tu w nocy, pomyślała z radością. To nie był tylko sen. Położył się w koszuli, mając wzgląd na jej skrepowanie, pozwolił jej zasnąć w swych ramionach, bo była zmęczona, a potem zaścielił łóżko, cicho, żeby jej nie obudzić i nie zdradzić przed służbą, że tu był. Bel poczuła szczypanie pod powiekami. Szybko otarła oczy wierzchem dłoni, bo do pokoju weszła Philpott z naręczem halek.

- Dobrze się pani czuje, milady? - Zmarszczyła czoło. - Bo wygląda pani na trochę zdenerwowaną.

- Nie, czuję się świetnie. Tylko oczy mi łzawią, pewnie dlatego, że tak długo spałam. - Ashe był łagodny, miły i wyrozumiały. Ale z pewnością nie zamierzał więcej jej odwiedzać. Z obserwacji znajomych panów wiedziała, że męska duma niełatwo znosi odrzucenie, a jak inaczej oceniać fakt, że kobieta zasypia w ramionach mężczyzny, który ma zamiar się z nią kochać?

Poczuła się nieswojo, rozczarowana i smutna. Przyszło jej do głowy, że będzie musiała wysłać mu przeprosiny. Tylko czym miała wytłumaczyć swoje zachowanie? Cóż, może później uda jej się coś wymyślić. Na pociechę zostało jej, na zawsze, wspomnienie pocałunku.

Odrzuciwszy kołdrę, podeszła do biurka.

- Wybiorę się dziś na przejażdżkę po parku, Philpott. Proszę, każ jak najszybciej dostarczyć tę wiadomość do rezydencji lady James Ravenhurst. Powiedz lokajowi, żeby zaczekał na odpowiedź.

W Londynie była tylko jedna osoba, z którą w tym momencie mogła się bezpiecznie spotkać, nie zdradzając wewnętrznego zamętu, jaki w niej panował. Tą osobą była kuzynka Elinor. Bel była pewna, że Elinor niczego nie zauważy. Jej uwagę mogłyby zwrócić co najwyżej grecki rydwan przejeżdżający przez Hyde Park albo minarety wyrastające z katedry St Paul.

Bilecik od panny Ravenhurst potwierdzający przyjęcie zaproszenia na przejażdżkę i wspólny lunch szybko dotarł z powrotem do Bel. Równie szybko Elinor ukazała się w progu, kiedy bryczka zajechała przed jej dom. Gdy Bel dziękowała jej za to, że nie kazała na siebie czekać, Elinor tylko machnęła swoim niezbyt szykownym słomkowym kapeluszem.

- Nie chciałam zwlekać, wierz mi! Mama z pewnością kazałaby mi coś przepisywać, a poranek jest zbyt piękny, żeby siedzieć w domu.

- Zatem dużo pomagasz ciotce w jej studiach? To musi być fascynujące - powiedziała Bel bez przekonania. Jednocześnie pomyślała, że o ile Elinor nie interesuje się architekturą tak bardzo jak jej matka, to musi cierpieć przy tego rodzaju zajęciach.

- Jest dość ciekawe. Każde zagadnienie jest ciekawe, jeśli się je wystarczająco zgłębi. - Elinor złożyła ręce na kolanach; jej rękawiczki miały odcień fatalnie dobrany do mysiego brązu spódnicy. Albo dziewczyna była ślepa na kolory, albo jej matka kazała jej nosić stroje odstrasżające mężczyzn. Znając ciotkę Louise, Bel stawiała raczej na tę drugą ewentualność. - Poza tym muszę coś robić z czasem - dodała Elinor rzeczowym tonem. - Na szczęście w rodzinie nie ma sędziwych ciotek, którym musiałabym służyć za towarzystwo, a Simon i Anne nie angażują mnie do zabawiania swojego potomstwa. Nie najlepiej dogaduję się z dziećmi i jestem okropną ciotką.

Bycie starą panną ma przynajmniej tę dobrą stronę, że można się rozwijać intelektualnie.

To była najdłuższa wypowiedź, jaką Bel kiedykolwiek usłyszała z ust Elinor. Również po raz pierwszy kuzynka z własnej woli wypowiedziała się na temat swojej sytuacji.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabyś pozostać na zawsze panną - zaczęła Bel, ostrożnie dobierając słowa. - Jesteś bardzo ładna, dobrze urodzona...

- Jestem za wysoka i mam rude włosy - przerwała jej Elinor. - Masz szczęście, kuzynko Belindo, że należysz do tej części rodziny Ravenhurstów, która ma ciemne włosy. Ja należę do rudzielców.

- Twoje włosy mają raczej złotawy odcień - sprostowała uprzejmie Bel. Serce jej się ścisnęło współczuciem. Sama miała różne inne problemy, ale przynajmniej nigdy nie czuła się brzydka. - Kuzyn Teorii ma znacznie bardziej rude włosy od ciebie.

Elinor uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Jesteś bardzo miła, ale ja wiem, że nie mam wdzięku, a on jest najważniejszy, żeby się podobać mężczyznom. Chyba jestem zbyt praktyczna. A kuzyna Teofila nie widziałam od lat. Mama mówi, że z niego kawał nicponia. Dokąd jedziemy? - Rozejrzała się, nieelegancko przyciskając do głowy swój okropny kapelusz. - Do Hyde Parku?

- Pomyślałam, że to najlepsze miejsce. A potem możemy się wybrać do Huntera na lody. - Jedzenie lodów przed południem oznaczało folgowanie zachciankom, ale Bel czuła, że tego potrzebuje.

Bryczka wykonała kilka skrętów. W pewnym momencie Bel wskazała na damę prowadzącą na smyczy parę pięknych długowłosych psów. Elinor obejrzała się z zainteresowaniem, nie dbając o to, że gniecie sobie suknię.

- Wydaje mi się, że to charty saluki, z Arabii. Kuzynko Belindo... - Odwróciła się z wyrazem niepokoju na twarzy. - Jakiś mężczyzna jedzie za nami karyklem, jakby nas śledził.

- Skąd wiesz? Ulice są zatłoczone.

- Widziałam ten pojazd, kiedy po mnie przyjechałaś, potem kiedy się rozglądałam i teraz też jest za nami. Zaprzężony jest w parę wyjątkowo pięknych siwków, więc nie mogę się mylić.

- Pewnie tak jak my jedzie do parku i nasze trasy przypadkiem się zbiegły. - Elinor nie wyglądała na przekonaną, ale Bel nie miała zamiaru wykręcać szyi, żeby sprawdzić zasadność jej podejrzeń. - Dlaczego ktoś miałby nas śledzić? Coś mi mówi, że potajemnie czytasz powieści, kuzynko! Zapewniam cię, że nie ściga mnie żaden niegodziwy książę o złych intencjach. Może chodzi mu o ciebie?

Na wzmiankę o czytaniu powieści Elinor zarumieniła się tak gwałtownie, że Bel nabrała pewności, iż kuzynka nie tylko z wypiekami na twarzy pochła-

nia wszystkie nowości Minerva Press, ale też że ciotka Louisa nic o tym nie wie, bo z pewnością by tego nie pochwaliła.

- Właśnie wypożyczyłam z biblioteki „Przełożoną starego opactwa”.

Gdybyś chciała, mogę ci pożyczyć, jak skończę - zaproponowała. - Krew ścina się w żyłach.

- Byłoby miło - skwitowała uprzejmie Bel.

Wjechały na teren parku.

- O, spójrz, jakiś dżentelmen do ciebie macha. Widzisz? Na koniu, pod tamtą kępą kasztanów - powiedziała z ożywieniem Elinor.

Ashe. Bel spojrzała w kierunku wskazywanym przez kuzynkę i ujrzała Patricka Layne zbliżającego się do nich na dorodnym gniadym wierzchowcu.

- Zatrzymaj się - poleciła stangretowi, kiedy już ochłoneła. - Dzień dobry, panie Layne. Kuzynko Elinor, czy mogę ci przedstawić pana Layne, brata znanej poetki? Panie Layne, moja kuzynka, panna Ravenhurst.

Patrick Layne podjechał do bryczki, żeby dopełnić ceremonii powitania.

- Cudowny ranek na przejażdżkę, prawda?

- Wspaniały - przyznała Elinor. - Pan także jest poetą, panie Layne?

- Niestety nie. Trudno mi sklecić najprostszy rym - zaśmiał się, potrząsając głową. - Wszystkie talenty przypadły mojej siostrze. Ja zarządzam posiadłością mojego wuja.

- To także wymaga talentu - stwierdziła Elinor.

Doskonale by do niej pasował, pomyślała Bel, przysłuchując się swobodnej pogawędce tych dwojga. Pan Layne nie zdradzał najmniejszych oznak przestרחu ani płomiennym kolorem włosów Elinor, ani jej zupełnym brakiem gustu. Ten młody mężczyzna wiedział, czego chce od życia, a ona, ze swoimi koneksjami i zdrowym rozsądkiem, była dla niego wręcz wymarzoną kandydatką do...



- Och, spójrz, kuzynko Belindo, właśnie przejechał ten człowiek, który nas śledził - oznajmiła nagle Elinor.

- Co takiego? - Patrick Layne aż się uniósł w siodle, żeby obejrzeć tył karykła, oddalającego się aleją. - Ktoś panie niepokoił? Mam go dogonić i zażądać wyjaśnień?

- Nie! Jestem pewna, że jechał za nami zupełnie przypadkowo. Proszę, żeby pan niczego nie robił. Zresztą proszę zobaczyć, już odjechał.

- W takim razie pozwolą panie, że będę je eskortował na wypadek, gdyby wrócił. - Dopasował krok konia do tempa bryczki, trzymając się jednakowoż w pewnej odległości, by nie wyglądało, że są razem.

- Bardzo dobrze wychowany młody człowiek - stwierdziła Bel niewinnym tonem.

- W istocie - przyznała Elinor, zerkając ukradkiem na towarzyszącego im jeźdźca. - Masz szczęście do wielbicieli, kuzynko.

- Ależ skąd, on nie jest moim wielbicielem. Muszę ci wyznać, Elinor, że postanowiłam nigdy nie wychodzić ponownie za mąż, więc robienie jakiegokolwiek mężczyźnie nadziei... a jestem pewna, że pan Layne nie ma wobec mnie żadnych... byłoby nie w porządku. - Żadnych mężów więcej. I żadnych kochanków. Bel z trudem powstrzymała pełne żalu westchnienie. Nie było sensu użalać się nad sobą. Dała sobie szansę i skończyło się tak, jak się skończyło. Lord Dereham nie mógł okazać więcej rycerskości. Nieszczęsny.

Wreszcie dotarli do Knightsbridge Gate. Przy bramie Patrick Layne zbliżył się do bryczki.

- Wygląda na to, że ten tajemniczy osobnik, który panie śledził, zniknął na dobre.

- Jestem pewna, że to był przypadek, ale dziękuję za eskortę. Wybieramy się do Huntera na małe co nieco... może by się pan do nas przyłączył? - Bel

miała nadzieję, że spędzając ranek z Elinor, uspokoi napięte nerwy, ale nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby spróbować wyswatać tych dwoje. Ostatecznie nigdy wcześniej nie słyszała, by jej kuzynka powiedziała choćby słowo na temat jakiegokolwiek mężczyzny.

- Dziękuję, ale niestety za niedługo mam spotkanie. Życzę paniom dobrej zabawy przy lodach.

Elinor odprowadziła go wzrokiem, zachowując przy tym nieprzenikniony wyraz twarzy. Bel pomyślała, że być może Patrick Layne nie zrobił jednak na niej większego wrażenia.

- Teraz do Huntera - rzuciła do stangreta, rozsiadając się wygodnie na miękkiej kanapie bryczki. Czuła, że wyrwanie Elinor spod skrzydeł ciotki Louisy było dobrym pomysłem. Nie wiedziała jednak, jak namówić kuzynkę na zmianę garderoby. W obecnym stroju nie miała szans spodobać się żadnemu mężczyźnie, nawet poczciwemu Patrickowi Layne. Należało obmyślić jakiś plan. - Tak się cieszę, że mogłaś ze mną pojechać - powiedziała, kiedy skręcili w Charles Street. - Myślisz, że ciocia Louisa pozwoli ci się znów ze mną spotkać?

- Sądzę, że tak. - W zielonych oczach Elinor pojawił się niespodziewany błysk wesołości. - Jestem pewna, że uzna to za słuszne poświęcenie, bo będę ci służyć za przyzwoitkę.

Uśmiechnięte i ożywione planami dalszych wypraw weszły do cukierni, zajmując miejsce w rogu, z dobrym widokiem na całą salę. Elinor zamówiła lody waniliowe z czekoladą; Bel, mimo wcześniejszego postanowienia, że poprzestanie na filiżance herbaty i małej porcji lodów cytrynowych, uległa pokusie i wybrała to samo co kuzynka.

- Pysznie jest popijać każdą łyżeczkę lodów łykiem czekolady - mówiła Bel, gdy Elinor nagle się wyprostowała i oznajmiła głosem uderzająco podobnym do głosu jej matki:

- To znowu ten człowiek!

- Jaki człowiek? - Bel siedziała tyłem do wejścia.

- Ten, który jechał za nami do parku. Podchodzi tu, ten arogancki łobuz. O Boże, a ja nie mam nawet szpilki do kapelusza!

- Jesteśmy w cukierni Huntera, Elinor, nic nam tu nie grozi. Nie musisz od razu przesywać go...

- Lady Felsham, dzień dobry.

Bel z brzękiem upuściła łyżeczkę na talerzyk.

- Lord Dereham! - To był Ashe, stał przed nią i uśmiechał się niewinnie, jakby się nie widzieli od czasu wieczorku tanecznego. Dopiero kiedy Elinor chrząknęła znacząco, Bel uprzytomniła sobie, że wpatruje się w niego jak w obraz. Boże, żeby się tylko nie zarumieniła jak piwonია, modliła się w duchu.

- Dzień dobry. Czy mogę przedstawić moją kuzynkę, pannę Ravenhurst? Elinor, poznaj lorda Derehama. Przyłączy się pan do nas? - On tu jest, uśmiecha się, wybaczył mi.

Elinor ściągnęła brwi, kiedy Ashe zajął krzesło przy ich stoliku i pstryknął palcami na kelnera.

- Milordzie, jestem pewna, że widziałam już pana dzisiaj i to kilka razy. Co więcej, mogłabym przysiąc, że pan nas śledził.

Bel próbowała ją kopnąć pod stołem, jednak źle wymierzyła i natrafiła stopą na kostkę Ashe'a.

- A, tak - przyznał Ashe, krzywiąc się lekko. - Jechałem za paniami do Hyde Parku. To zdumiewające, jak łatwo natknąć się na znajomych, nawet o tej porze roku. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Chciałem nawet przystanąć na

pogawędkę, ale rozmawialiście panie z panem Layne i nie chciałem przeszkadzać.

- Na szczęście udało się panu znaleźć nas tutaj - stwierdziła Elinor z nutą uszczypliwości w głosie, najwyraźniej nie dając wiary ani jednemu jego słowu. Bel próbowała dać jej znak ruchem głowy. To nie był najlepszy moment, żeby kuzynka z takim zaangażowaniem wcielała się w rolę przyzwoitki.

- Nieprawdaż? - Ashe uśmiechnął się do niej promiennie. Kelner postawił przed nim filiżankę kawy. - Mogłem rzecz jasna przysłać wiadomość, ale chciałem się upewnić osobiście, czy problem, jaki lady Felsham miała z kanalizacją, został ostatecznie rozwiązany. Jeśli nie, jestem gotowy przysłać odpowiedniego fachowca. - Widząc niepewną minę Elinor, wyjaśnił: - Lady Felsham kupiła ode mnie dom, więc czuję się odpowiedzialny za kłopoty z nim związane.

- Och, rozumiem. - Elinor skupiła uwagę na swojej czekoladzie, wyraźnie rozczarowana, że nie chodzi ani o mrozącą krew w żyłach historię kryminalną, ani o natrętnego wielbiciela.

- Mogłem wstąpić nieco później, ale zamierzam dziś wieczorem odwiedzić starego pana Horacego. Zna go pani? - powiedział lekkim tonem Ashe, zwracając się do Bel.

- Starego pana Horacego? - Czy naprawdę myślał to, co podejrzewała? Rozpaczliwie starała się zapanować nad zamętem w głowie. - Tego dżentelmena z... północy? Tego, który ma włosy białe jak śnieg i problemy z zębami? - Ashe w odpowiedzi tylko pokiwał głową. - Zamierza pan znów go odwiedzić? - Kolejne skinienie. - To bardzo miło z pana strony, lordzie Dereham. Wydawało mi się, że pańskie wcześniejsze doświadczenia z tym sędziwym dżentelmenem nie były specjalnie zachęcające.

- Jest trochę ekscentryczny - przyznał Ashe. - I ciężko się z nim rozmawia. Ale ta znajomość daje mi wiele... satysfakcji. I mam nadzieję, że da jeszcze więcej.

W tym momencie nie mogła się nie zarumienić. Jak mógł być aż tak zułchwały? Dobrze przynajmniej, że wybaczył jej zaśnięcie. Miała nadzieję, że tej nocy nie dozna rozczarowania. Bo że ona nie dozna, tego była pewna.

- Cnota jest nagrodą samą w sobie - odezwała się poważnym głosem Elinor. Sprawiała wrażenie zbitej z pantofelku, kiedy oboje jej rozmówcy parsknęli śmiechem.

Bel siedziała przed lustrem, szczotkując włosy. Gęste pukle lśniły w blasku świec, przybierając kasztanowy odcień typowy dla wszystkich Ravenhurstów, z wyjątkiem tych, którzy byli rudzielcami jak Elinor i Teofil.

Tego wieczoru była zadowolona ze swojego wyglądu. To, że się w końcu wyspała, oraz poranny pobyt na świeżym powietrzu przywróciły kolor jej policzkom i zlikwidowały ciemne smugi pod oczami. Wokół jej stóp ścieliły się fałdy nowego szlafroka w kolorze akwamaryny, z kokardami na ramionach i przy głęboko wyciętym dekolcie. Miała nadzieję, że Ashe'owi spodoba się ten strój.

Czy nie za bardzo się starała? Czego Ashe mógł oczekiwać? Po krótkim namyśle umieściła odrobinę jaśminowego zapachu w miejscu, gdzie stykały się jej piersi.

Wystarczy. Kiedy lepiej pozna upodobania Ashe'a, będzie mogła poczynić sobie śmieiej. Na myśl o tym, co ją czeka, odczuła przyjemne mrowienie w całym ciele. Zegar wybił kolejny kwadrans; Ashe wkrótce miał się pojawić.

Minuty ciągnęły się bezlitośnie, kiedy tak siedziała, wdzięcznie upozowana w fotelu, z otwartym tomikiem poezji Byrona na kolanach. Kiedy wreszcie rozległo się ciche pukanie do drzwi, miała tak napięte nerwy, że aż podsko-

czyła, a książka upadła na podłogę. Schyliła się po nią odruchowo, gdy drzwi się otwały i Ashe wszedł do środka.

- Cześć, Horacy, stary przyjacielu. Gdzie się podziała Bel?

- Tutaj. - Wyłoniła się zza łóżka. Na nic się zdało wcześniejsze dobieranie uwodzicielskiej pozy. - Upuściłam książkę.

- Aha, czyli nie bawisz się ze mną w chowanego? - powiedział z udawanym żalem. - Szkoda, bo przychodzi mi do głowy kilka zabawnych sztuczek.

Bel poczuła się nieswojo. Wyglądało na to, że ich cielesne obcowanie, do którego ona podchodziła bardzo poważnie, Ashe traktował jak coś w rodzaju gry, jak zabawę.

- Przepraszam za wczorajszą noc - powiedziała, chcąc mieć to już za sobą. - Byłam tak zdenerwowana, że poprzedniej nocy nie zmrużyłam oka, a ty zachowywałeś się tak delikatnie i kojąco, że sama nie wiem, kiedy zasnęłam. Pewnie byłeś na mnie zły. Miło, że postanowiłeś jednak wrócić.

- Nie przepraszaj mnie, Bel - rzucił Ashe. Zdawało jej się, że dostrzegła w jego oczach błysk gniewu. - Nie rób tego. Myślisz, że mógłbym wymagać, byś się ze mną kochała, kiedy byłaś taka zmęczona i przestraszona? Nie jestem twoim mężem i nie mam prawa niczego od ciebie oczekiwać. Dajemy sobie nawzajem tylko to, co możemy, co chcemy. Rozumiesz?

- Tak - skłamała Bel, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

Według jej wiedzy mężczyźni stawiali w łóżku żądania, a kobiety je spełniały. Jedyna różnica polegała na tym, że niektórzy starali się być przy tym miłsi niż reszta i zadawali sobie trud, by kobiecie było przy tym przyjemnie.

Uśmiechnął się ciepło i wrażenie zagniewania natychmiast uleciało.

- Powiedz mi, na co masz ochotę. Może poczytamy razem wiersze?

- Chciałabym, żebyś mnie pocałował - wyznała szczerze, nie mogąc dłużej znieść oczekiwania. Podejrzewała, że propozycja wspólnego czytania poezji była jedynie żartem.

- Doskonale, milady. Ale mam na sobie trochę za dużo ubrania. - Tej nocy przyszedł w pantalonach i fraku. Szybko zdjął buty, potem frak i kamizelkę i wyciągnął do niej ramiona.

Bel przytuliła się do niego, kładąc mu dłonie na piersi. Przez cienką tkaninę koszuli czuła twardość napiętych mięśni. Nieśmiało uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Ashe przez chwilę patrzył na nią spod na wpół opuszczonych powiek, a potem objął ją czułym uściskiem.

## *Rozdział dziewiąty*

Pieszczota jego warg była tak samo delikatna jak przy ich pierwszym pocałunku, tyle że tym razem Ashe muskał jej usta, nie wykazując cienia natarczywości. W końcu Bel zaczęła się niecierpliwić; pragnęła poczuć jego smak, napór jego języka. Chciała, żeby znów ogarnął ją żar, tak jak wtedy, za pierwszym razem.

Wreszcie sama rozchyliła wargi, natychmiast uzyskując pożądany odzew. Domyśliła się, że jego początkowa opieszałość była celowa, chciał ją zachęcić do przejęcia inicjatywy, ale nie potrafiła mieć mu za złe tej podstępnej taktyki.

Ashe opuścił ręce, objął ją za pośladki i przyciągnął do siebie tak, że poczuła twardą wypukłość napierającą na jej łono. Była zszokowana, nie tyle zachowaniem Ashe'a, co odpowiedzią własnego ciała na tę otwartą demonstrację pożądania.

Poczuła słodki ciężar w dole brzucha, narastający aż do bólu. Przywarła do Ashe'a mocniej, instynktownie szukając ukojenia. Ashe wydał z siebie gardłowy pomruk. Jeszcze niedawno ten odgłos by ją przestraszył, lecz teraz obudził w niej nową, nieznaną wcześniej moc i dumę, że mimo swej nieporadności i braku doświadczenia potrafiła wzbudzić jego pożądanie. Zaczęła rozpinać perłowe guziki jego koszuli, jeden po drugim, coraz bardziej niecierpliwie, aż w końcu natrafiła palcami na gołą skórę i jej ręka zastygła w bezruchu.

- Nie przestawaj - poprosił cichym, jakby stłumionym głosem. - Dotykaj mnie, Bel. Chcę czuć na sobie twoje dłonie.

- Ale nie wiem, co mam robić - szepnęła bezradnie.

Niepotrzebnie się obawiała, że nie podoła zadaniu, bo jej palce same wśliznęły się pod koszulę. Poczuła łaskotanie sprężystego zarostu, a potem gładką, napiętą skórę niżej, na żebrach.

Ashe poruszył lekko biodrami; odniosła wrażenie, że jego męskość stała się jeszcze większa i twardsza. Wiedziała, że jest gotowy ją osiąść i powstrzymywanie się musi mu przychodzić z najwyższym trudem, a mimo to pozwalał, by ona dyktowała tempo.

Powoli opuścił głowę i przesunął koniuszkiem języka po jej szyi, zatrzymując się na płatkach ucha. Pieszczota przypominała jej ich pierwsze spotkanie, kiedy leżał na niej półprzytomny, przygniatając ją swym ciężarem do podłogi.

Bel opuściła dłoń, próbując ją wsunąć za pasek jego spodni. Wciągnął oddech, żeby jej ułatwić uporanie się z zapięciem. Nie myśląc o tym, co robi, objęła dłonią jego gorący, nabrzmiały członek. Zaraz potem leżała wyciągnięta na plecach na łóżku, a Ashe pośpiesznie zrzucił z siebie resztki ubrania. Szeroko otwartymi oczyma po raz pierwszy w życiu patrzyła na nagiego mężczyznę.



Miał wspaniałe, atletycznie zbudowane ciało, szerokie ramiona, płaski brzuch i... Zacisnęła mocno powieki.

- Spokojnie, Bel, nie ma się czego bać. - Poczwała, jak materac ugina się pod jego ciężarem. Leżąc obok niej, zaczął ją gładzić delikatnym, uspokajającym ruchem. - Nie zrobię nic, dopóki sama nie zechcesz, obiecuję - szepnął jej do ucha.

- Ale ja chcę, żebyś robił wszystko. Wszystko. Tylko nie wiem, na czym to polega. - Otworzyła oczy i uśmiechnęła się przeproszająco. - I dlatego się boję.

- W takim razie, Bel, razem odkrywajmy, na czym to polega. - Pochylił głowę, żeby ucałować jej pierś w miejscu, gdzie zaczynała się skrywać pod wycięciem nocnej koszuli. - *Belle, bella, bellissima*. - Objął ustami brodawkę i zaczął ssać przez cieniutką warstwę batystu. Bel wstrzymała oddech i chwyciła go za głowę, niepewna, czy chce, by przestał natychmiast, czy żeby nigdy nie przestawał. Ashe najwyraźniej nie miał zamiaru przestawać. Przenikana falami przyjemnych doznań Bel miała wrażenie, że ogarnia ją gorączka, od której w końcu spłonie.

Zdawało się jej, że nie zniesie tej słodkiej tortury ani chwili dłużej, gdy poczuła, jak dłoń Ashe'a podciąga jej koszulę, wsuwa się między uda i sięga do wilgotnych miejsc, kryjących istotę kobiecości. Odnalazł miejsce, gdzie skupiła się największa intensywność jej doznań, zaczął ją pieścić, wtedy wygięła ciało w łuk, bezwiednie zaciskając mięśnie wokół jego palców, a Ashe przywarł do jej ust, by pocałunkiem stłumić krzyk rozkoszy, którego nie zdołała powstrzymać.

Najwidoczniej musiała stracić przytomność, bo kiedy się ocknęła, nie miała już na sobie nocnej koszuli. Ashe leżał na niej, ciężki i gorący.

- *Belle* - wyszeptał jej do ucha i wtargnął w nią jednym zdecydowanym ruchem.

Poczuła, jak ją wypełnia, i w tej samej chwili stała się gotowa na przyjęcie jego namiętności. Dotychczas znalazłszy się w takiej sytuacji, leżała sztywno wyprostowana, cierpliwie znosząc wyteżone... i miłosiernie krótkie wysiłki Henry'ego. Z Ashe'em było zupełnie inaczej, nie śpieszył się, skupiony także na jej doznaniach, dokładał starań, by oboje w tym samym momencie zaznali przyjemności. Bel z jednej strony pragnęła, by trwało to bez końca, ponieważ było cudowne, z drugiej nie mogła się doczekać, by razem z nim przeżyć ekstazę spełnienia.

Czuła napięcie narastające w jego ciele, słyszała chrapliwy oddech; resztką sił uniosła nogi i otoczyła nimi jego biodra, przyciągając go do siebie kurczowo. Rękami obejmowała jego barki.

- Ashe! Ashe, jest tak cudownie...

Brał ją w posiadanie, ona poddawała się coraz goręcej jego rytmowi i jego namiętności, aż wreszcie fale rozkoszy ogarnęły ich całych. Zadrzała, poczuła, że i Ashe drży. Wysunął się z niej i spleceni ze sobą, zapadli w słodki niebyt.

Ashe przetoczył się na plecy, nie wypuszczając Bel z objęć. Po omacku sięgnął po kołdrę i naciągnął na ich rozgrzane ciała. Bel leżała przytulona policzkiem do jego piersi. Na wspomnienie tego, co przed chwilą między nimi zaszło, znowu przebiegł go dreszcz. To, co przeżył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania i nie mógł zrozumieć, dlaczego wcześniejsze doświadczenia Bel, takiej ślicznej, słodkiej i chętnej, zaowocowały jedynie lękiem i niepewnością. Sypiała z mężczyzną, który nie zdołał rozbudzić jej zmysłów. Nawet jej się nie śniło o sztuczkach, jakimi dawne kochanki potrafiły sprawić mu przyjemność, ale nieśmiały dotyk jej dłoni, szczere, nieskrywane pożądanie w jej oczach i

całkowita ufność, z jaką mu się oddała, podziały na niego z niewyobrażalną siłą.

- Bel?

- Mmm...? - Przyłgnęła do niego mocniej i leniwym ruchem przesunęła ustami po jego skórze. - Mmm.

- Przestań, moja szalona kobieto. Daj człowiekowi odsapnąć.

Natychmiast przerwała pieszczotę; kątem oka dostrzegł, że się rumieni. Najwidoczniej doszła do wniosku, że ją skarcił, bo uznał jej zachowanie za niestosowne.

- To bardzo, aż za bardzo przyjemne - pośpieszył z wyjaśnieniem. - A ty... dobrze się czujesz?

Spodziewał się, że pytanie wprawi ją w zakłopotanie i nie będzie wiedziała, co odpowiedzieć. Tymczasem Bel uniosła się na łokciu i patrząc mu w twarz, uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Oczy jej promieniały, włosy opadały swobodnie na gołe ramiona.

- Czy dobrze? - Pokręciła głową; lśniące pukle zafalowały miękko w świetle świec. - To nieodpowiednie określenie. Nie miałam pojęcia, że można się tak czuć. Zawsze tak jest?

Wyglądało na to, że jej nie rozczarował. Kamień spadł mu z serca. Dopiero teraz zrozumiał, jak wielką odpowiedzialność wziął na swoje barki. Bel mogła trafić na mężczyznę niezdolnego docenić jej ufność. I mogła zostać zraniona.

- Trudno mi uwierzyć, że jeszcze kiedyś będzie tak wspaniale - rzekł poważnie. - Może być dobrze... będzie dobrze... ale ten raz był wyjątkowy.

- Och... - Bel przybrała równie poważną minę. - Ale ja tak naprawdę nie wiedziałam, co robię.

- Nie potrzebowałaś wiedzieć. Robiłaś to, co przychodziło naturalnie, i było... cudowne.

- Och... - powtórzyła, opuszczając skromnie powieki. - Możemy to zrobić jeszcze raz? Wkrótce? To znaczy, oczywiście, kiedy będzie ci odpowiadało.

- Teraz mi bardzo odpowiada - powiedział z uśmiechem.

- Ale... - Unosząc się, ściągnęła kołdrę z jego bioder i aż otworzyła usta, widząc, jaki efekt wywarła jej propozycja.

- Sama widzisz, jak na mnie działasz, jedynie patrząc. A gdybyś zechciała dotknąć... - Ujął jej dłoń i ułożył sobie na brzuchu.

Bel obudziła się, czując usta Ashe'a na skroni.

- Skarbie, muszę już iść. Co mam zrobić z łóżkiem?

Powoli dochodziła do siebie; miała wrażenie, że przedziera się przez warstwy różanych płatków, łabędziego puchu i miękkich różowych chmur. Gdy wreszcie otworzyła oczy, ujrzała Ashe'a. Siedział na brzegu łóżka, ubrany, uśmiechał się do niej czule.

- Która godzina?

- Czwarta. - Zatem tym razem to także nie był sen. Był u niej, kochał się z nią... trzy razy i chyba mu się to podobało. Trzy razy, za każdym razem inaczej i za każdym razem cudownie... - Co z łóżkiem? - powtórzył cierpliwie, rozbawiony jej rozmarzeniem.

Bel odgarnęła włosy i spojrzała na skłębioną pościel.

- Nie uda nam się go porządnie zaścielić. Spróbuj ułożyć kołdrę tak, żeby sprawić wrażenie, że niespokojnie spałam, i podaj mi, proszę, ten tomik Byrona. - Przyjęła pozycję półsiedzącą, opierając się na poduszkach. Nagle przypomniała sobie o nocnej koszuli, odnalazła ją na podłodze i szybko wciągnęła na siebie. - Teraz dobrze. Nie mogłam spać, więc czytałam przez pół nocy i w końcu zasnęłam z książką.

Ashe skończył wygładzanie prześcieradła i popatrzył na Bel z uśmiechem.

- Bardzo przekonujące. Ale następnym razem powinienem się obudzić wcześniej, żeby uporządkować posłanie... albo w ogóle je ściągniemy.

Obszedł łóżko dookoła, żeby ją pocałować. Bel wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku; świeży zarost przyjemnie łaskotał ją w opuszki palców.

- Dziękuję - wyszeptała.

Następnym razem. A więc będzie następny raz.

- Nie, *ma belle*, to ja ci dziękuję. - Po tych słowach, trzymając buty w ręce, wymknął się z pokoju.

Została sama. Odrzuciła książkę na kołdrę, by wyglądało, że sama wypadła jej z ręki, dogasiła ostatni ogarek świecy i z powrotem wtuliła głowę w poduszki.

Czuła się jednocześnie lekka jak piórko i przyjemnie ocieżała. Wiedziała, że rano odezwą się nadwreżone mięśnie, ale ta świadomość wcale jej nie przeszkadzała. Było cudownie. Ashe był cudowny, pomyślała, zapadając znowu w sen.

Obudziła się w nastroju radosnego uniesienia. Nadal otaczały ją puszyste różowe chmury, słońce świeciło jakby specjalnie dla niej, ptaki śpiewały. W porze lunchu otrzymała bukiet żółtych róż z bilecikiem, na którym było napisane tylko: „Pierwsza? A”. Natychmiast po posiłku wybrała się na zakupy. Nabyła dwie nowe nocne koszule, parę zalotnych pantofelków bez pięt, kryształowy wazon na kwiaty i różowe jedwabne pończochy. Następnie udała się do Ackermanna, żeby obejrzeć najświeższe żurnale poświęcone modzie i zabawiła tam tak długo, że służąca zaczęła okazywać znudzenie. Wychodząc wcisnęła odźwiernemu do ręki liścik i monetę.

- Proszę dopilnować, żeby to dostarczono - powiedziała szybko, nawet nie próbując zachowywać tajemnicy. - Powinnam była polecić to mojemu lokajowi, ale całkiem zapomniałam.

Odźwierny z szacunkiem uniósł dłoń do kapelusza i pstryknął palcami na posłańca. Treść liściku, który chłopiec pośpiesznie zabrał do adresata, brzmiała: „Tak. B”..

Belinda Cambourn miała romans. Miała kochanka. Wcieliła w życie swoje fantazje i bardzo jej się to podobało. Udając, że ogląda mapy, zastanawiała się, czy przez cały czas trwania romansu będzie żyła w stanie takiego słodkiego oszołomienia, czy też wkrótce to się zmieni i nowe doznania jej spowszednieją. Wiedziała, że czekają na nią rozmaite obowiązki, powinna odbyć parę wizyt, dopilnować kilku spraw, ale nie potrafiła się skupić na żadnej prozaicznej czynności, bo głowę wypełniał jej bez reszty obraz Ashe'a, wspaniałego w swej męskiej nagości...

- Ach!

Głos wydał jej się znajomy. Omal nie wpadła na kuzynkę Elinor, przeglądającą klasyczne grafiki. Bel przeprosiła za swoje roztargnienie.

- Postanowiłam urządzić ekspozycję grafik w naszym domu - wyjaśniła Elinor, kiedy już się przywitały. - Chyba wybrałam dosyć, jak sądzisz? - Spojrzała niepewnie na całkiem spory stos.

- Ile miejsca zamierzasz poświęcić na tę wystawę? Powinnaś wziąć jeszcze parę. I będziesz potrzebowała ramek - dodała Bel, starając się otrząsnąć z erotycznego zamętu w głowie. - Zrobiłam coś podobnego w Felsham Hall i też tu wszystko kupowałam. Można u nich zamówić oprawę. - Podniosła arkusz leżący na wierzchu i odkryła, że przedstawia skąpo odzianego rzymskiego atletę. Natychmiast stanął jej przed oczami Ashe, równie pięknie zbudowany... tyle że bez figowego listka. Pośpiesznie odłożyła grafikę na miejsce.

Elinor wezwała sprzedawcę, który zaprezentował im wzory ram i poprosił o dokonanie wyboru.

- Dobrze wyglądasz, kuzynko - rzuciła Elinor, przymierzając czarno-białe *passe partout* do wizerunku Forum. - Kwitniesz - dodała, sięgając po następny wzór.

- Doprawdy? Och... - Bel przygryzła wargę; nie przypuszczała, że jej wewnętrzny stan będzie się aż tak mocno uzewnętrzniał. - Dlaczego tak uważasz?

- Nabrałaś kolorów i... nie wiem, jak to określić... jakbyś promieniała od środka. - Elinor przyjrzała jej się uważnie, przechylając głowę na bok.

- To ta piękna pogoda tak mnie usposabia... no i cieszę się, że znów jestem w Londynie. Dziś rano byłam na zakupach. - Za późno sobie uświadomiła, że ten argument raczej nie przekona Elinor.

- Żałuję, że nie mogłam pójść z tobą. - Nieświadoma zdumienia, w jakie wprawiła kuzynkę, Elinor podjęła decyzję co do oprawy grafik i przedstawiła ją sprzedawcy.

- Naprawdę? - Bel szczerze się ucieszyła, że Elinor w końcu zaczęła przejawiać zainteresowanie strojami.

- Owszem, potrzebuję porządnych, mocnych butów do spacerowania, dużych chusteczek do nosa i proszku do zębów - wyjaśniła rzeczowo Elinor, gasząc w Bel świeżo rozbłysłą nadzieję. - Mama przyjedzie tu po mnie powozem... chciałabyś, żeby cię podwieźć do domu?

Bel usiadła na jednym z taboretów przy ladzie.

- Nie, dziękuję, pójdę pieszo. Potrzebuję ruchu. - Tak naprawdę była obojętna po nocnych wyczynach i chętnie by skorzystała, ale bała się przenikliwego spojrzenia ciotki Louisy. Skoro nawet Elinor zauważyła zmianę, jaka w niej zaszła, ciotka Louisa bez wątpienia także by ją odkryła.

Razem opuściły księgarnię, odprowadzane przez portiera niosącego zapakowane grafiki. Na ulicy, na wprost wejścia do księgarni, stał powóz ciotki Louisy z opuszczonym dachem. A chodnikiem w ich stronę, prowadząc jakąś szczupłą kobietę uczepioną jego ramienia, szedł... Ashe.

- Belinda! - wykrzyknęła ciotka Louisa.

- Lady Belindo - powiedział Ashe. - Panno Ravenhurst.

- Lordzie Dereham - powiedziała Elinor.

Jej matka, niepomierne zaskoczona, że córka odzywa się do jakiegoś mężczyzny na ulicy, odwróciła się z majestatyczną powolnością i podniosła do oczu monokl.

Ashe skłonił się z galanterią.

- Lady James, lady Belindo, panno Ravenhurst. - Uchylił kapelusza. -

Czy znają panie lady Pamelę Darlington?

- Nie, ja nie znam. Dzień dobry, lady Pamelu. - Bel przywitała się z wymuszoną uprzejmością. Miała ochotę wepchnąć lady Pamelę do usytuowanego nieopodal koryta z wodą dla koni. Różowe chmury szczęścia się rozwiały.

- Ha! A ja panią pamiętam - oznajmiła ciotka Louisa, mierząc młodą kobietę świdrującym spojrzeniem.

Bel nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Lady Pamela była śliczna, elegancko ubrana, pewna siebie. Podała rękę lady James zupełnie niezrażona jej groźną miną, uśmiechnęła się do Bel i Elinor, po czym wdała się w pogawędkę, ani na chwilę nie puszczając ramienia Ashe'a. Co jakiś czas spoglądała mu w twarz z uśmiechem, który on skwapliwie odwzajemniał. Zachowywał się tak, jak każdy mężczyzna zaszczycony uwagą pięknej kobiety. Bel nic nie mówiła, tylko się uśmiechała, aż zaczęły jej drętwieć policzki.

Za lady Pamelą stała służąca i lokaj, oboje obładowani pakunkami. Bel nie wiedziała, gdzie podziąć wzrok. Nie miała odwagi patrzeć na Ashe'a, bo



bała się, że ciotka zauważy targające nią uczucia, pośród których dominowała gwałtowna zazdrość. Dlatego na lady Pamelę także nie chciała patrzeć.

Wiedziała jednak, że stojąc bez słowa, również może wzbudzić w ciotce jakieś podejrzenia.

- Kupowałyśmy grafiki na ekspozycję - odezwała się szybko, kiedy rozmowa pozostałych na chwilę się urwała.

Lady Pamela strzepnęła niewidoczny pyłek z ramienia Ashe'a, wydymając przy tym kształtne usta.

Bel zacisnęła zęby w bezsilnej złości.

- To by znaczyło, że interesuje się pani sztuką, lady Belindo. - Ashe po raz pierwszy od chwili powitania zwrócił się bezpośrednio do niej.

- To panna Ravenhurst ma artystyczne zainteresowania, milordzie, ja tylko jej pomagałam dokonać wyboru - odparła sztywno Bel.

W końcu zmusiła się do spojrzenia mu w oczy. Na twarzy Ashe'a malowało się jedynie uprzejme zainteresowanie tym, co mówiła, nic więcej. Jak to możliwe? Bel była przekonana, że wszyscy natychmiast się domyślą, że łączy ich romans, jakby to mieli wypisane na czołach. Tymczasem nikt nie okazywał śladu podejrzliwości, a cała uwaga ciotki Louisy skupiona była na osobach lady Pamel i Ashe'a.

Co właściwie mogło go łączyć ze śliczną lady Pamelą? Dlaczego tak się do siebie uśmiechali? Wyglądało na to, że dobrze się znają. Bardzo dobrze...

- Belindo!

Bel aż podskoczyła. Lady James wskazywała na otwarte drzwi swego powozu.

- Nie, dziękuję, ciociu. Pójdę pieszo. Jest ze mną pokojówka.

- Proszę dołączyć do nas, lady Belindo - zaproponował Ashe, podsuwając jej wolne ramię. Usta lady Pameli ściągnęły się w wąską linię. - Idziemy do księgarni Hatcharda, więc pewnie jest nam po drodze.

- Dziękuję, ale nie, milordzie - odparła chłodno.

„Wystarczy mi jednego głupiego romansu, który przeżywam, nie muszę już czytać o innych”.

Skinąwszy głową Pameli, pożegnała uśmiechem swoje krewne i szybko ruszyła przed siebie.

- Milady? - Millie z trudem dotrzymywała jej kroku. - Dobrze się pani czuje, milady?

- Pewnie, że dobrze. - Bel wydmuchała nos w chusteczkę i zwolniła kroku, litując się nad służącą, która miała krótsze nogi. Widocznie kurz musiał jej wpaść do oczu, bo zaczęły dziwnie łzawić.

Jak Ashe mógł być taki... Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa. Nie-szczery. Powiedział jej, że nie jest z nikim związany, nie ma żadnych zobowiązań, a prosi, paradował z jedną z najlepszych partii na wydaniu i nie krył, że są w najlepszej komitywie. Mężczyźni zwykle tego nie robili, jeśli nie mieli poważnych zamiarów, ponieważ w najlepszym razie mogli się narazić na plotki, a w najgorszym na reprimendę od rozwścieczonego ojca panny.

Gdyby wiedziała, że ma zamiar się żenić, nigdy by mu nie złożyła tej szalonej propozycji. Zresztą wystarczyło, by udał, że źle ją zrozumiał, i sprawa byłaby zakończona. Z początku czułaby zakłopotanie, ale potem ulgę, po przemyśleniu wszystkiego na spokojnie. Mógł bardzo łatwo uniknąć niechcianych schadzek, co pewnie robił wiele razy w życiu.

Ale nie unikał. Kochali się i choć dla niego zapewne nic to nie znaczyło, jej odmieniło życie.

Zaledwie przed godziną uważała, że jej życie jest doskonałe, pomyślała z goryczą. Doskonale.

## *Rozdział dziesiąty*

- Bardzo ładny, milady. Wejdzie pani do środka spytać, czy mają też w innym kolorze?

- Tak? - Bel ocknęła się z zamyślenia. Stała przed pracownią modystki i patrzyła na wystawę, a Millie cierpliwie czekała u jej boku.

- Powiedziała pani, że jest doskonały, milady. Ale raczej nie nosi pani kapeluszy w tym odcieniu niebieskiego.

Zatem doszło do tego, że mówiła do siebie. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Była w końcu dorosłą kobietą, a nie naiwnym podlotkiem. Teraz, kiedy poznała lady Pamełę, Ashe już do niej nie przyjdzie. Nie po tym, jak publicznie znalazł się pomiędzy swoją kochanką i kobietą, wobec której miał poważniejsze zamiary. Należało się pogodzić z tym, co nieuchronne. Cóż, przynajmniej wiedziała, dlaczego ta dziedzina życia, dotycząca bliskich stosunków między kobietą a mężczyzną, wzbudza tyle emocji.

Pozostawało jej jedno; wyzwolić się z tęsknoty za Ashe'em. Zresztą pewnie sama w naturalny sposób wygaśnie po kilku dniach. Przecież nie można żyć stale w takim stanie, w jakim znajdowała się obecnie, bo człowiek mógłby popaść w szaleństwo.

Weszła do sklepu. Wiedziała, że zakupy to mało skuteczna metoda pocieszenia, ale nic jej to nie obchodziło. Jutro mogła się zająć czymś pożytecznym. A dzisiaj zamierzała kupić sobie kapelusz.

Radość z nowego kapelusza, nawet tak ekstrawaganckiego, że niezamężna dziewczyna w rodzaju lady Pameli nie mogłaby go założyć, okazała się krótkotrwała. Bel dobrze wiedziała, że choćby oddawała się zakupom do upadłego, wytańczyła dziury w pantofelkach, zaczytywała się w najbardziej wyuzdanych powieściach i plotkowała do utraty tchu, ból pustki nie minie bez śladu. Nie pomagało wmawianie sobie, że sama natura ich związku nie przewiduje zaangażowania uczuciowego. Ze strony Ashe'a istotnie go nie było. Natomiast zważywszy na to, co ona czuła, chyba było lepiej... i bezpieczniej, że nie-szczęśny romans dobiegał końca.

O wpół do pierwszej w nocy nadal nie mogła zasnąć. Siedziała na posłaniu oparta o poduszki, z kolanami podciągniętymi pod brodę i rozmyślała.

Miała dwadzieścia sześć lat. Nie planowała powtórnego zameścia i wiedziała, że nigdy więcej nie wda się w romans z żadnym mężczyzną. Miała więc przed sobą wiele samotnych lat, które należało czymś wypełnić. Nie brakowało jej inteligencji, ale różniła się usposobieniem od kuzynki Elinor, tak że ucieczka w aktywność intelektualną raczej nie wchodziła w rachubę. Życie towarzyskie i zakupy dawały sporo radości, ale nie mogły stanowić treści życia.

Pozostawało więc niesienie pomocy słabszym i potrzebującym. Jako mężatka prowadziła działalność charytatywną na terenie posiadłości męża i w okolicznych parafiach, lecz jej obecna sytuacja stawiała przed nią inne wyzwania. Nie mogła nauczać teraz ubogich dzieci, wspierać kalek i starców czy choćby znajdować pracy ojcom wielodzietnych rodzin. Nie знаła nikogo w Londynie, kto mógłby jej pomóc w dotarciu do tych ludzi. Musiała sobie postawić jakieś inne zadanie.

Odrzuciwszy kołdrę, zsunęła się łóżka i podeszła do stołu. Fałdy obszernej bawełnianej koszuli oplatały się wokół jej kostek przy każdym kroku. Wyjęła papier i atrament, by sporządzić listę ewentualnych możliwości. Traktowa-

ła swoją misję bardzo poważnie, w przeciwieństwie do niektórych pań z towarzystwa, dlatego musiało to być coś naprawdę wartego zachodu.

*Dzieci, wdowy, zwierzęta, starcy*, zapisała, skubiąc zębami koniec pióra.

*Edukacja? Zatrudni...*

Odwróciła się gwałtownie, słysząc odgłos otwieranych drzwi.

- Ashe?

- Oczekiwałaś kogoś innego, Bel, moja słodka? - Wszedł do środka, rzucając kapelusz i rękawiczki na krzesło. Miał na sobie elegancki strój wieczorowy. - Boże, przyjęcia mojej ciotecznej babki są piekielnie nudne. Kocham staruszkę, ale jej wiekowe towarzystwo to już inna sprawa. Musiałem wysłuchać co najmniej sześciu sędziwych dżentelmenów prawiących o tym, jak Wellington powinien był rozmieścić swoje oddziały pod Waterloo. Jeden z nich miał do tego stopnia pomieszane w głowie, że zdawało mu się, iż sam był pod Quatre Brass.

- Nie spodziewałam się ciebie. - Pióro wypadło jej z ręki, znacząc kartkę plamami atramentu.

- Dlaczego? - Ashe zdjął frak i kamizelkę i próbował się uporać z misternie zawiązaną muszką. - Przysłałaś mi odpowiedź na mój liścik. - Podszedł do niej z zatroskaną miną. - Źle się czujesz, skarbie? Boli cię głowa? W takim razie oczywiście sobie pójdę.

- Nie, nie boli mnie głowa i czuję się całkiem dobrze. Nie nazywaj mnie skarbem. - Podniosła się zza stołu.

Widok jej skromnej nocnej koszuli i ostry ton głosu sprawiły, że zrzędała mu mina.

- A na twój liścik odpowiedziałam, zanim zobaczyłam cię z lady Pamelą. Gdybym wiedziała, że jesteś związany z kimś innym, nigdy bym nie rozpoczęła tego... romansu.

Ashe patrzył na nią swymi pięknymi niebieskimi oczyma. Włosy miał lekko zmierzwiłone, koszulę rozpiętą pod szyją, tak że widać było kawałek ciała... wartego grzechu. Tak, Ashe był ponętym, doświadczonym, pozbawionym wszelkich zasad grzesznikiem.

- Lady Pamela? Myślisz, że mam jakieś zobowiązania wobec lady Pamelii Darlington?

- Owszem, lady Pamela. Czyżby był jeszcze ktoś, o kim nie wiem? Na razie tylko ją widziałam uwieszoną u twojego ramienia. Zachowywała się tak, jakby miała do ciebie jakieś prawa, a ty skwapliwie odwzajemniałeś jej uśmiechy. A ponieważ lady Pamela jest dobrze urodzoną panną i uchodzi za najlepszą partię do wzięcia, można wyciągnąć tylko jeden wniosek.

- Jesteś zazdrosna - stwierdził Ashe, unosząc kąciki ust. Bel zgromiła go wzrokiem i uśmiech zgasł, nim jeszcze na dobre się pojawił. - To śmieszne, Bel.

Bel podeszła do niego i pchnęła go w pierś wyprostowanym palcem. Ashe nawet nie drgnął.

- Owszem, jestem zazdrosna. I nie mów mi, że nie mam prawa do zazdrości, bo sama dobrze o tym wiem. Ale nie mów mi też, że jestem śmieszna, bo zapewniałeś mnie, że nie masz żadnych zobowiązań, bo nigdy bym się nie zdecydowała na... na... - Machnęła ręką w stronę łóżka. - ...na to, gdybym wiedziała.

Ashe wcale nie wyglądał na skruszonego.

- Znam lady Pamelę od czasu, gdy miała sześć lat - zaczął. - Jak na pannę z dobrego domu jest wyjątkowo uparta i zuchwała. Mimo bezwzględного sprzeciwu ojca zakochała się na zabój w jednym z moich bliskich przyjaciół.

- To jeszcze pogarsza sprawę!

- Na zabój - powtórzył z naciskiem Ashe, cofając się w stronę kominka. - Namawia mnie, żebym zaprosił jego i ją na przyjęcie zorganizowane w moim domu.

- Jakie przyjęcie?

- Takie, które pozwoli jej i George'owi gruchać w krzakach, poza zasięgiem wzroku przyzwoitki.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to dlaczego kleiła się do ciebie jak masło? - spytała Bel, tonem i doborem słów wzbudzając w Ashe'u rozbawienie.

- Ponieważ jest jedną z najładniejszych dziewcząt w Londynie i przywykła do tego, że świeci jak gwiazda na każdym firmamencie. Kiedy spotka się oko w oko z jakąkolwiek inną piękną kobietą, instynkt każe jej kokietować każdego mężczyznę w wieku od szesnastu do siedemdziesięciu lat znajdującego się w pobliżu. A ja akurat znalazłem się pod ręką.

- Och... - Bel zacisnęła dłonie. Nazwał mnie piękną kobietą. - Chyba się wygłupiłam.

- Trochę - przyznał Ashe z uśmiechem. - A ja chyba się do tego przyczyniłem. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że spotkanie odbyło się pod czujnym okiem twojej ciotki, lady Ravenhurst, uznałem, że bezpieczniej będzie podjąć grę Pameli i traktować cię z uprzejmą obojętnością. Naprawdę byłaś zazdrosna? To mi pochlebia.

- Pochlebia ci? To było okropne. Czułam się podle i miałam do ciebie żal.

- Po chwili wahania dodała szczerze: - Ale to bolało i nie chcę, byś mówił, że jestem śmieszna.

- Przepraszam. - Podeszedł do niej, omijając łeb Horacego, i wziął ją w ramiona. Bel z westchnieniem przywarła do jego piersi. - Zapomniałem, że odwykłaś od londyńskich intryg. Udawanie jest obce twojej naturze, ale wiesz

przecież, że nie możemy sobie pozwolić na to, by okazywać sobie bliskość w obecności innych ludzi.

- Wiem. - Pokiwała głową, ocierając się policzkiem o gors jego koszuli. - Już w porządku. - Przez cały czas trwania małżeństwa z Henrym musiała udawać zainteresowanie i uległość, tylko że było to coś zupełnie innego niż ukrywanie pożądania do Ashe'a.

- Nie jestem pewien, czy w porządku - mruknął Ashe, gładząc ją po plecach. - Co ty masz na sobie, Bel? Mam wrażenie, że zbłądziłem do klasztoru.

- Nie sądziłam, że przyjdiesz, więc założyłam najbardziej siermiężną koszulę, jaką posiadam. To mi miało pomóc nie myśleć o tobie.

Parsknął śmiechem, po czym odsunął się i zmierzył ją pełnym troski spojrzeniem.

- Chyba mamy problem. Jak rozumiem, chcesz się kochać, tymczasem ten strój całkowicie zabił we mnie ochotę na igraszki. Ma się rozumieć, właśnie taka była intencja tego, kto go wymyślił. Istnieje tylko jedno rozwiązanie... chyba że wolisz, bym sobie poszedł albo przez całą noc czytał z tobą wiersze.

- Co takiego? - Ashe po prostu się z nią droczył.

Mężczyzna noszący obcisłe spodnie nie był w stanie udawać, że nie jest podniecony.

- Będziesz musiała mnie uwieść - oznajmił.

- Uwieść cię? - Głos Bel zabrzmiał nienaturalnie.

- Tak, uwieść. Najlepiej na tej niedźwiedziej skórze. Takie urozmaicenie z pewnością pomoże rozpaścić moje wygasłe pragnienia. - Oparł się o słupek łóżka, czekając na odpowiedź.

Wygasłe pragnienia, dobre sobie! To była jakaś gra. W pierwszym odruchu Bel chciała wydukać, że nie ma pojęcia o uwodzeniu. Pewnie tego właśnie



się po niej spodziewał. Stał przed nią, elegancki, pewny siebie i... podniecony, widziała to. Zapragnęła się z nim kochać i była gotowa zrobić wszystko, żeby go zadowolić.

- Dobrze, ale musisz obiecać, że będziesz mi posłuszny - powiedziała wyzywającym tonem.

Ashe bez słowa pokiwał głową. Puls na jego szyi stał się wyraźniejszy, oczy mu pociemniały.

Bel rozpięła dwa górne guziki swojej nocnej koszuli, odsłaniając nieco piersi. Jeśli Ashe sobie wyobrażał, że będzie się do niego łąsić jak kot złąknioty pieszczot, to grubo się mylił.

- Ściągnij koszulę - rozkazała.

Zrobił, co mu kazała, odsłaniając wspaniałą muskulaturę klatki piersiowej. Bel, stojąc bez ruchu, patrzyła na mocne barki, wyraźne pasma mięśni na żebrach, sprężysty zarost biegnący aż do pępka

- Teraz reszta ubrania. - Starła się utrzymać obojętny ton. Przez cały czas patrzyli sobie w oczy, żadne z nich ani na moment nie spuściło wzroku. Bel powoli rozpięła następny guzik koszuli. Miała wrażenie, że jej piersi zrobiły się nagle dziwnie ciężkie, a całe ciało wypełniło ciepłem łagodnie promieniującym z dołu brzucha.

- Połóż się. - Wskazała na niedźwiedzią skórę na podłodze. Mam go uwieść? Jakby tego potrzebował! Nie wierzę, że można być jeszcze bardziej podnieconym...

Ashe wyciągnął się na gęstym białym filtrze; wyglądał jak piękny barbarzyńca w swej bezwstydney nagości. Przeciągnął się zmysłowo, poruszając przy tym leniwie biodrami.

- Wzbudziłam już twoje... zainteresowanie? - spytała Bel lekko przytłumionym głosem.

- Mmm... Bardzo tu wygodnie, chyba się prześpię. - Patrzył na nią wzrokiem drapieżnika; spojrzenie całkowicie zaprzeczało jego słowom.

Bel stanęła u jego stóp i przyglądając mu się spod na wpół opuszczonych powiek, przesunęła końcem języka po dolnej wardze. Następnie przemieściła się tak, że jej stopy znalazły się po obu stronach jego kolan i zaczęła rozpinać resztę guzików swojej koszuli. Robiła to bardzo powoli, z trudem opanowując niecierpliwość. Zsuwając koszulę z jednego ramienia, zobaczyła, jak Ashe zaciska palce na niedźwiedzim futrze. Bez pośpiechu wyswobodziła drugie ramię, gdy koszula spłynęła na ziemię, Ashe uniósł się na łokciach.

- Nie, milordzie. Przykro mi, jeśli się nudzisz, ale nalegam, żebyś się położył. Spróbuj zasnąć, jeśli chcesz.

Wydając z siebie gardłowy jęk, położył się z powrotem na plecach, a Bel zrobiła jeszcze jeden krok naprzód i uknęła, dotykając kolanami jego bioder. Ogarnęło ją poczucie niewiarygodnej mocy, miała wrażenie, że dosiada konia pełnej krwi, ale panuje nad nim nie siłą czy zręcznością, lecz tylko dlatego, że to on z własnej woli jej się poddaje.

Ujęła w dłoń jego nabrzmiąłą męskość i przybrała odpowiednią pozycję. Czując, jak przyjmuje go w swe gorące, wilgotne wnętrze, jęknął, wyciągając do niej ręce, a wtedy Bel chwyciła go za nadgarstki i przycisnęła je do ziemi po obu stronach jego głowy.

- Nie śpisz jeszcze? - spytała szeptem, z ustami tuż przy jego ustach. Stwardniałe brodawki jej piersi muskały mu tors.

- Kochajmy się, jedź, moja amazonko - poprosił chrapliwie, unosząc ku niej biodra. To, co nastąpiło potem, działo się jakby w gorącej, pulsującej mgłę, nasyconej zapachem cielesnej bliskości.

W pewnym momencie ich role się odwróciły. Ashe przytulił ją do siebie i przeturlał się na bok, potem, wykorzystując jej zaskoczenie, znalazł się nad

nią, przyciskał ją swym ciałem, leżał na niej, obejmując ją swymi muskularnymi nogami, i przytrzymał jej rękę nad głową. Nie od razu poddała się jego dominacji, próbowała się wyswobodzić, ale zamknął jej usta pocałunkiem i jeszcze mocniej przywarł do niej. Ich miłosne pragnienia zdawały się nie mieć końca, siła doznań zwiększała się z każdym drgnieniem ich ciał, napiętność ogarniała ich całych, aż zatarcili się oboje w rozkoszy. Wszystko wokół zawirowało i poczuli, jak ogarnia ich niewysłowiona czułość. I błogość.

Jakiś czas później Bel zdała sobie sprawę, że Ashe odsuwa się od niej i wstaje. Wrócił prawie natychmiast, niosąc poduszki i kołdrę.

- Podoba mi się na tej skórze. Proszę, będzie nam wygodniej, a łóżko pozostanie w nieskazitelnym stanie.

Bel poczekała, aż ułoży poduszki, po czym znów się do niego przytuliła. Pod plecami miała miękkie, ciepłe futro Horacego, a obok gorące, gładkie ciało Ashe'a.

- Przyjemnie - wymruczała z rozmarzeniem. Tak musi być w niebie.

- Słodko - potwierdził Ashe. Inne kobiety tak samo się do niego przytulały, ale z żadną z nich nie było mu aż tak dobrze. - Bel, kochanie, będę musiał cię opuścić na kilka dni - powiedział z żalem.

- Opuścić? Dlaczego? - Bel zawstydzona się, usłyszawszy nutę pretensji w swoim głosie. - Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Długo cię nie będzie?

- Jakies dziesięć dni. - Pogładził ją po policzku. Natychmiast przechyliła głowę, jakby dopominała się przedłużenia pieszczoty. Była taka miła, kiedy nie dawała się ponosić emocjom. Nawet jej zazdrość miała uprzejmą formę. Ashe pamiętał kochanki, które robiły mu wściekłe awantury z bardziej błahych powodów. - Jadę do domu. Powinienem był pojechać od razu, ale jakoś... - Jak miał jej to wytłumaczyć?

- To, czego doświadczyłeś za granicą, było zbyt świeże? - podsunęła.

- Właśnie. - Rozumiała to, czego czasami sam nie potrafił wyrazić. Ujął jej dłoń, ucałował, a potem przyłożył sobie do policzka. - Gdybym dłużej zwlekał, zaczęliby się martwić, i podejrzewać, że coś przed nimi ukrywam.

- Będziesz też mógł przygotować to przyjęcie, które masz wydać - przypomniała mu Bel.

- Nie miałem takiego zamiaru, ale gdybyś zgodziła się przyjechać, mógłbym zmienić zdanie.

Propozycja wprowadziła Bel w zakłopotanie, z którym było jej bardzo do twarzy.

- Chyba byłoby mi ciężko być tak blisko ciebie i przez cały czas zachowywać się nienagannie.

- A kto mówi o nienagannym zachowaniu? Przecież takie przyjęcia wydaje się właśnie po to, żeby móc się zachowywać nagannie. Zachowując pozory, oczywiście.

- Zaskoczyłeś mnie. Chyba jestem hipokrytką.

- To, że masz kochanka, wcale nie świadczy, że jesteś wyjątkowo rozwiązła, *ma belle*, inni ludzie też miewają romanse. - Mówiąc to, Ashe uświadomił sobie, że jednak pod pewnym względem Bel jest wyjątkowa. Był pewien, że po nim nie związałyby się z innym mężczyzną. Ich romans wziął się stąd, że rozpaczliwie chciała zrozumieć, na czym polega fizyczna miłość, której nie było jej dane zaznać w małżeństwie.

- O czym myślisz? - spytała cicho, delikatnie rozmasowując zmarszczkę, która znieczeka pojawiła się na jego czole.

- Sam nie wiem - skłamał, uśmiechając się do niej przepraszająco.

Nie chciał sobie nawet wyobrazić życia bez Bel i nie chciał sobie wyobrazić Bel samotnej, pozbawionej pocałunków i pieszczot. Co więcej, nie po-

trafił sobie wyobrazić żadnej innej kobiety na jej miejscu, w swoich ramionach. Lecz romanse rządziły się swoimi prawami i nigdy nie trwały wiecznie.

- Opowiedz mi o swoim domu - poprosiła. Opierając głowę w zagłębieniu jego ramienia, zaczęła wodzić dłonią po jego żebrach. Mógł się spodziewać, że rozmowa nie potrwa długo.

- O Coppergate? Cóż, leży w Hertfordshire, na wzgórzach za St Albans. Posiadłość została zbudowana w siedemnastym wieku przez niejakiego pana Coppera, kupca, który dorobił się fortuny. Kiedy pana Coppera opuściło szczęście, mój przodek odkupił ją i od tamtej pory jest w rękach rodziny. Jest tam jezioro...

## *Rozdział jedenasty*

Gładka powierzchnia jeziora pod sierpniowym niebem przypominała wielkie lustro, kiedy Ashe minął bramę posiadłości i wjechał na kręty podjazd prowadzący do starego domu.

Dom. Jakimś cudem wracał do niego cały i zdrowy, nie miał nawet blizny, nad którą jego siostry mogłyby się rozczulać. Na zewnątrz pozostał niezmieniony, ale wojna odcisnęła piętno na jego duszy. Jednakże koszmarne sny nawiedzały go coraz rzadziej i nie budził się już z lękiem, że zasnął na posterunku. Wiedział, że Bel miała w tym swoją zasługę. Nie musiał jej opowiadać o swych przeżyciach na froncie, ale ilekroć ten temat się pojawiał, jej współczucie go uspokajało.

Ashe rozprostował zeszywniałe ramiona; na samą myśl o Bel humor mu się poprawiał. Wiedział, że będzie mu jej brakowało z wielu powodów. Karykiel okrążył kępę wiekowych buków i oczom pasażera ukazał się budynek, ni-

ski i rozłożysty dzięki oryginalnemu projektowi pana Coppera i licznym późniejszym przebudowom dokonany przez przodków Ashe'a. Nie był on może dobrym przykładem architektonicznego kunsztu i gustu właścicieli, ale Ashe go kochał, choć trudno mu było spędzać w Coppergate wiele czasu.

Drzwi się otwały, gdy tylko koła pojazdu zazgrzytały, hamując na zwi-rze. W progu ukazała się postać w białym stroju; przez moment Ashe miał złu-dzenie, że to Bel tam stoi i wyciąga do niego ręce. To była Katy, jego młodsza siostra; przytrzymując brzeg spódnicy, zbiegła po schodach, powiewając ja-snymi lokami.

- Ashe! Wróciłeś!

- Jak widać. - Z uśmiechem wyskoczył z karykła, żeby ją uściskać. Wciąż jeszcze trzymał siostrę w ramionach, gdy dołączyła do nich matka, Frederica i Anna. - Przecież wiecie, że nic mi nie jest - usiłował protestować, kiedy zaczę-ły go głaskać i poklepywać, jakby się chciały upewnić, że jest z nimi cały i zdrowy. - Dostałyście wszystkie moje listy, wiem o tym, bo na wszystkie otrzymałem odpowiedź.

- Tak, mój drogi - potwierdziła lady Dereham z radosnym uśmiechem. - Dobrze się spisałeś, wiedziałyśmy, że jesteś bezpieczny zaraz po tym, jak gaze-ty pisały o bitwie. Dzięki temu zaznałyśmy spokoju znacznie wcześniej niż in-ne rodziny. Jesteśmy też wdzięczne za listy, w których donosiłeś nam, gdzie jesteś i kiedy wrócisz.

- Czemu nie wróciłeś od razu? - spytała Katy, kiedy gromadą, wszyscy razem wchodzili na schody.

- Ashe miał swoje sprawy do załatwienia, przecież nam to wyjaśniał - skarciła ją Frederica. - I musiał odpocząć, wiedząc, że będziesz go bombardo-wać pytaniami. Pomyśl tylko o biednym Philipie Carr z Longmere Hall, nie-

szczeńnik musiał uciec z powrotem do miasta pod pretekstem wizyty u lekarza, bo rodzina nie dawała mu spokoju, tylko cały czas zameczała go rozmowami.

- Carr został ranny? - Ashe zatrzymał się raptownie na ostatnim stopniu. Tylko nie to, kolejny przyjaciel miałby zostać okaleczony przez wojnę? - Nic o tym nie słyszałem.

- Odniósł niegroźną ranę w udo - uspokoiła go lady Dereham, wchodząc do holu. - Powinien był zostać jakiś czas w Londynie, ale jego matka pojechała po niego i ściągnęła go do domu, a potem się dziwiła, dlaczego jest taki mało-mówny. Rana ładnie się zagoiła, ale nadal mocno kuleje.

- Milordzie, czy mogę wyrazić w imieniu całej służby, jak bardzo się cieszymy, że wrócił pan do nas bezpiecznie? - odezwał się ochmistrz Brighton, biorąc od Ashe'a kapelusz i rękawiczki. - To dla nas niemały honor służyć bohaterowi spod Waterloo, milordzie - dodał z rzadkim u niego uśmiechem.

Ashe pomyślał, że nie jest żadnym bohaterem, tylko po prostu miał szczęście i przeżył, w przeciwieństwie do wielu innych, którzy bardziej zasługiwali na ten tytuł. Nic jednak nie powiedział, nie chcąc poruszać bolesnego tematu. Miał nadzieję, że zachowując powściągliwość w kwestii wojennych wspomnień, da wszystkim do zrozumienia, że nie życzy sobie uwag na temat swego rzekomego bohaterstwa.

- Dziękuję, Brighton. Cieszę się, że wróciłem.

Przybycie Race'a w drugim powozie zawierającym bagaże zajęło uwagę służby na tyle, że Ashe mógł uciec do salonu. Przekraczając próg, usłyszał, jak matka nakazuje podać herbatę i „te cytrynowe rożki, które jego lordowska mość tak lubi”.

- Natychmiast nabiorę wagi - mruknął z rozczeniem, kiedy siostry usadziły go w jego ulubionym fotelu, nadskakując mu, jakby to on był ranny, a nie biedny Philip Carr.

- Chcemy się o ciebie troszczyć - oznajmiła Anna, najstarsza z sióstr i uchodząca za najbardziej roztrofną. - I musisz nam na to pozwolić. W zamian nie będziemy cię nękać pytaniami o pobyt w armii.

- Świetnie, w takim razie zgadzam się, byście mnie rozpieszczały. - Uświadomił sobie, że ostatnio spędza mnóstwo czasu w damskim otoczeniu. Najpierw on i inni powracający z wojny oficerowie spotkali się z żywym zainteresowaniem pań z towarzystwa, potem zaczął się umawiać z Bel, a teraz trafił w sam środek świata opanowanego przez cztery bliskie mu kobiety. - Będziecie mnie musiały od nowa ucywilizować, bo chyba zbyt długo przebywałem wśród nieokrzesanych mężczyzn.

Rozsiadły się przed nim półkolem, ciekawe, co ma im do powiedzenia. Ashe jednak najpierw chciał się dowiedzieć, co słyhać u jego sióstr.

- Opowiedzcie mi o sobie - poprosił.

- Ja mam nową guwernantkę - Katy odezwała się pierwsza, co było do przewidzenia. Choć miała dopiero dwanaście lat, czasami zachowywała się jak dwudziestolatka, ku zniecierpliwieniu swoich starszych sióstr. Była pewna siebie aż do granic zarozumiałości i chyba najładniejsza z całej trójki, z jasnymi włosami i oczyma w tym samym odcieniu niebieskiego, co oczy brata. Ashe aż zadrżał na myśl o jej przyszłym debiucie w towarzystwie, którego sam miał dopilnować. - Nazywa się panna Lucas i jest bardzo miła. - To prawdopodobnie oznaczało, że pozwala Katy na wszystko. - Potrzebuję też nowego kucyka, bo całkiem już wyrosłam z kochanego Buntinga, więc mama zaprzęga go do dwukółki.

- A ja pobieram lekcje tańca u córek proboszcza - powiedziała Frederica, siedemnastolatka o twarzy, którą wszyscy określali jako „słodką” i ciemnych włosach. - Pomagam też panu Barringtonowi w prowadzeniu księgowości. To



bardzo ciekawe, a pan Barrington twierdzi, że jestem wyjątkowo biegła w arytmetyce i rachunkach.

Barrington był nowym zarządcą posiadłości, zatrudnionym przez Ashe'a podczas ostatniego urlopu. Ten zdolny i pracowity młody człowiek, syn szanowanego właściciela ziemskiego, wydał mu się odpowiednią osobą do przejęcia pieczy nad rodzinnym majątkiem. Słuchając wynurzeń Frederiki, Ashe dostrzegł cień przebiegający przez twarz matki. Czyżby Barrington okazał się zbyt młody i zbyt przystojny, by go umieszczać w domu pełnym młodych dziewcząt?

- A ja będę miała debiut w przyszłym sezonie - oznajmiła Anna. - Sam o tym wiesz.

Najstarsza z siostr Ashe'a miała spokojne usposobienie, włosy w kolorze miodu i niebieskie oczy. Była zawsze elegancka i wszyscy wyrażali się o niej z uznaniem. Uśmiechając się konspiracyjnie do matki, dodała:

- Obawiam się, że mocno uszczupłę twoją kiesę, drogi Ashe, bo przygotowaliśmy z mamą długą listę zakupów.

- To chyba oznacza, że będziemy musieli doprowadzić do porządku nasz dom w Londynie - powiedział z udawaną troską. Od dawna dobrze wiedział, że to będzie konieczne, chciał się tylko z nią trochę podroczyć. - Mówiłem wam, że sprzedałem nieruchomość na Half Moon Street? - Mówiąc to, poczuł się, jakby dotykał językiem bolącego zęba. Chciał, żeby zadawały pytania o kupca, bo wówczas mógłby wymienić imię Bel.

- Owszem, mój drogi, wspominałeś nam o tym. Wygodnie ci się mieszka w Albany? - Matka nie była jednak ciekawa szczegółów transakcji i nie dała mu okazji do sprawienia sobie tej drobnej przyjemności.

- Doskonale, dziękuję. Na kiedy dom ma być gotowy?

- Nie musisz niczego robić, drogi chłopcze. - Lady Dereham uniosła do ust filiżankę z herbatą. Wyjedziemy w styczniu i dopiero wtedy zaczniemy zamawiać stroje i planować przyjęcia. Zabiorę większość służby stąd, jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu.

- Zrobisz, co zechcesz, mamó. - Nie zamierzał siedzieć na wsi dłużej, niż to było konieczne, więc nie potrzebował służących. - Jednak nasza miejska siedziba wymaga odnowienia i sądzę, że nie powinniśmy tego odkładać do waszego przyjazdu po Bożym Narodzeniu. Napiszę do Grimballa i każę mu dopilnować niezbędnych napraw, a ty, mamó, mogłabyś przyjechać do miasta pod koniec tego miesiąca, przed wyjazdem do Brighton, i zdecydować, jakich zmian sobie życzysz, żeby można je było przeprowadzić podczas zimy.

- Zmiany? Jesteś pewien? Czy to nie zbytek?

- Mam przed sobą debiuty trzech sióstr - przypomniał jej Ashe z uśmiechem. - Uważam to raczej za inwestycję.

Został nagrodzony trzema promiennymi uśmiechami. Nawet Anna kłasnęła w dłonie z radości.

- Mamy pierwszy tydzień sierpnia - oznajmiła rzeczowo Frederica. - Już za dwa lub trzy tygodnie będziemy w Londynie! - Ashe widział, jak twarz siostry gwałtownie poważnieje, staje się wręcz smutna. Do licha, z pewnością pomyślała, że to ją rozdzieli z Barringtonem. Jak daleko mogła zajść ta sprawa?

- Pomyślcie tylko, że salę balową można by obić niebieskim jedwabiem w odcieniu pasującym do moich oczu - westchnęła Katy z rozmarzeniem. Jej starsze siostry jednocześnie wzniosły wzrok do nieba. - No i konieczne są nowe zasłony do mojej sypialni.

- Dosyć! - skarciła ją Frederica. - Przestań męczyć Ashe'a takimi bzdurami. Niebieski jedwab zdążyłby wypłowieć na długo przed twoim debiutem.

Katy zamilkła, przybierając obrażoną minę. Lady Dereham w ogóle nie zwracała uwagi na kłótnię córek.

- Zastanawiam się tylko... - zaczęła jakby do siebie, nie przerywając krojenia migdałowej tarty.

- Tak, mamó? - Ashe, uświadomiwszy sobie, że zjadł już trzy cytrynowe rożki, stanowczym ruchem odłożył talerz.

- Pomyślałam, że trzeba by coś postanowić w związku z domem po babci.

- Dlaczego akurat teraz? Czyżby któraś ze starszych ciotek go potrzebowała? - Matka miała rację, dom stał pusty i zaniedbany od czasu śmierci babci, czyli już ponad trzy lata. - Moglibyśmy doprowadzić to miejsce do porządku i zaproponować im, by tam zamieszkały.

- Nie, nie chodzi o ciotki. Dobrze im się mieszka tam, gdzie dotychczas. Myślałam raczej... że skoro wróciłeś i zrezygnowałeś z wojska... że w przyszłym sezonie rozejrzysz się za żoną.

- Za żoną? - Ashe spojrzał na matkę ze zdumieniem. Przez całe dzieciństwo miał wrażenie, że matka potrafi zaglądać mu w sumienie i wie o każdym jego grzechu. Wyglądało na to, że nie wyzbyła się tych magicznych zdolności.

- Skąd wiedziałaś... to znaczy, czemu, u licha, miałbym się żenić?

Rozległ się zbiorowy śmiech, nawet zawsze opanowana Anna zachichotała.

- Z tych samych powodów, co wszyscy, Dereham - odparła sucho matka. Ilekroć zwracała się do niego w taki sposób, należało się mieć na baczności.

O mało się nie wygadałem...

Zamknął oczy i natychmiast stanął mu pod powiekami obraz Bel siedzącej przy kominku, dokładnie na miejscu matki. Uśmiechając się, wzięła do ręki dzbanek i naląła mu herbaty. Gwałtownie otworzył oczy. Nie! Nie chcę się żenić. Zresztą Bel też nie chce wychodzić za męża, ani za mnie, ani za nikogo in-

nego. Przecież jej nie kocham. Jest moją kochanką, a mężczyźni się nie żenią ze swoimi kochankami.

- Mam na myśli to - zaczął, uważnie dobierając słowa - że na razie niepotrzebna mi żona. - Do licha, potrafił dowodzić oddziałem żołnierzy w bitwie, walczyć z Francuzami, zarządzać wielkim majątkiem. Dlaczego więc czuł się zupełnie bezradny w obliczu kobiet z własnej rodziny, patrzących na niego z niemym pytaniem w oczach?

- Potrzebujesz dziedzica, chyba że chcesz, by kuzyn Adrian, ten mięczak o inteligencji komara, został twoim następcą - powiedziała lady Dereham. - Stoi przede mną zadanie wprowadzenia w świat twoich trzech sióstr i przydałaby mi się w tym pomoc jakiejś dojrzałej kobiety. Poza tym już chyba czas, byś zainteresował się losem tego domu i odcisnął na nim swoje piętno. A żona ci w tym pomoże. - Podsunęła mu talerzyk z kawałkiem ciasta. - Nie stajesz się coraz młodszy, synu.

- Mam trzydzieści lat - odparł Ashe z nutą urazy w głosie.

- No właśnie...

Słowa, które złożyły się na odpowiedź, wyszły z jego ust, jakby omijając rozum.

- Ożenię się dopiero wtedy, jak się zakocham, nie wcześniej.

- Zakochasz? - Lady Dereham popatrzyła na syna z przerażeniem. - Zakochasz? To nie jest warunek dobrego małżeństwa. Bóg jeden wie, w kim możesz się zakochać! Mężczyźni zakochują się w mleczarkach, ale się z nimi nie żenią... Przynajmniej nie panowie z twoją pozycją.

- Dla mnie to jest całkiem rozsądny warunek - oznajmił z naciskiem Ashe. Uznał, że nie ma sensu wyjaśniać matce, że akurat mleczarki nigdy go nie interesowały i to pod żadnym względem. Myśl o małżeństwie z miłości

przyszła mu do głowy zaledwie przed minutą, wcześniej był skłonny całkowicie zgodzić się z matką.

Małżeństwo w jego sferze zawierało się z młodą kobietą pochodzącą z odpowiednio zamożnej i szanowanej rodziny, obdarzoną inteligencją i dobrym zdrowiem. Musiała przy tym mieć nieposzlakowaną reputację i dobre maniery. Badało się, które z panien na wydaniu spełniają te kryteria, wybierało spośród nich tę najatrakcyjniejszą i prosiło o jej rękę. Ashe miał świadomość, że poza kobietami z królewskiego rodu większość pozostałych uważała go za doskonałą partię.

- Co byś powiedział, gdyby twoje siostry przyprowadziły do ciebie nieodpowiednich kandydatów i chciały za nich wyjść z miłości, mogę spytać? - Matka patrzyła na niego surowym wzrokiem, czekając na odpowiedź.

- Zaufałbym ich odczuciom.

Katy, Frederica i Anna wpatrywały się w brata z osłupieniem.

- Och... - wydukała w końcu Frederica. - Och, Ashe... No tak... Jest zakochana w Barringtonie... Ależ palnąłem głupstwo!

- O ile będą miały ukończone dwadzieścia jeden lat - dodał szybko. - I człowiek, w którym się zakochają, będzie spełniał określone kryteria.

- Och... - powtórzyła Frederica, tym razem z wyraźnym rozczarowaniem.

- I bardzo dobrze - włączyła się do rozmowy Katy. - Ja mam zamiar zakochać się w księciu. Będziesz musiał go zaakceptować, prawda, Ashe?

- W którym księciu? - spytał Ashe, przebiegając w myślach znanych sobie mężczyznom dysponujących wymienionym tytułem. - Wydaje mi się, że żaden nie jest do wzięcia.

- Mam sześć lat na poszukiwania - oznajmiła rezolutnie Katy. - Przez ten czas na pewno któryś umrze i zostawi tytuł młodemu dziedzicowi albo owdowieje czy coś w tym rodzaju.

- Dlaczego zależy ci na księciu?

Katy uniosła rękę i zaczęła odliczać na palcach.

- Wszyscy są bogaci. Chciałabym, żeby zwracano się do mnie Wasza Wysokość, no i byłabym lepsza od Lucy Thorage.

- Ona też może wyjść za księcia - stwierdził Ashe, jednocześnie zafascynowany i przerażony rozumowaniem swej dwunastoletniej siostry.

- Ja jestem ładniejsza.

- Katherine Henrietto Reynard, zamilknij i zachowuj się jak dama, jeśli nie chcesz natychmiast iść do łóżka i to bez kolacji - ostrzegła ją matka surowym tonem.

- Tak, mam. - Kate posłusznie ucichła, przez co Ashe, ku swemu zakłopotaniu, znów znalazł się w centrum uwagi.

- A jak zamierzasz znaleźć ten swój obiekt miłości? - spytała lady Dereham. - Będziesz czekał, aż objawi ci się niczym księżniczka z bajki?

Księżniczka na białym niedźwiedziu, na którym zmierzam wprost do raju... Ale to była Bel. Drugi raz nie spotka mnie takie szczęście.

- Spełnię swój obowiązek, towarzysząc tobie i Annie w przyszłym sezonie. Może wtedy ją spotkam.

- Mam taką nadzieję. - Matka przyjrzała mu się ze szczerą troską. - Martwię się o ciebie. Wydajesz mi się jakiś odmieniony, synu.

- Biedny Ashe ma za sobą ciężkie przeżycia - pośpieszyła mu na ratunek Anna. - To oczywiste, że się zmienił. Ale wystarczy kilka tygodni spędzonych z nami w Coppergate, by znowu był dawnym sobą.

Kilka tygodni na wsi? Nie, najwyżej dziesięć dni i wracam do Londynu, do Bel. Do swego szczęścia.

Następny dzień Ashe spędził w towarzystwie Barringtona; objeżdżali konno posiadłość, a Ashe starał się wykorzystać okazję, by lepiej poznać tego

młodego człowieka. Jako zarządcę majątku już go ocenił i to pomyślnie, teraz patrzył na niego jako na ewentualnego kandydata do ręki swojej siostry. I musiał przyznać, że nie byłby taki zły. Wprawdzie nie stanowił wymarzonej partii, ale dla wrażliwej Frederiki dobry, kochający mąż byłby lepszy niż jakiś chłodny dżentelmen z wyższych sfer.

Mogła liczyć na znaczny posag, a inteligentny, pracowity człowiek, jakim był Barrington, z pewnością umiałby zapewnić na tej podstawie dostatnie życie swej rodzinie. Na razie Ashe nie musiał się zbytnio martwić, bo zostało mu jeszcze kilka lat, by się przekonać, czy uczucie siostry jest trwałe i odwzajemnione.

- Co sądzisz o posiadłości Wilstone? - spytał zarządcę, kiedy jechali sprawdzić efekty wapnowania gleby na jałowym polu. Pytanie wzięło się stąd, że nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- To był dobry zakup, milordzie - odrzekł z przekonaniem Barrington. - Oczywiście trzeba tam włożyć dużo pracy, bo ziemia jest zaniedbana, ale z czasem to się sowicie opłaci. Są tam duże zasoby drewna, a posiadłość graniczy z tym nowym kanałem, więc pomyślałem, że można by zbudować przystań i skład drewna. W Londynie dużo się buduje, więc inwestycja by się szybko zwróciła. Ale sądziłem, że ma pan zamiar sprzedać to miejsce.

- Nie. Myślę, że je zatrzymamy. - Z każdym słowem zarządcy pomysł Ashe'a nabierał bardziej konkretnych kształtów. - Potraktujmy to jak specjalne przedsięwzięcie, Barrington. Daję ci, powiedzmy, trzy lata, żeby się przekonać, co zdołasz osiągnąć.

- A co z domem? - Barrington nie krył zainteresowania. - Sprzedać, zatrzymując tylko ziemię? Poprzedni właściciel nieźle go zapuścił, pewnie przez to, że miał długi. Jest całkiem solidny, tylko kiepsko wygląda.

- Nie sprzedawaj. Doprowadź do porządku. Dam ci wolną rękę. Wyprowadź dom tak, jakby należał do ciebie, ale nie wydawaj więcej, niż uzyskasz z ziemi. - Ruszyli dalej, zadowoleni ze stanu oglądanego pola. Mina zarządcy wskazywała niezbitcie, że już zaczął obmyślać plan doprowadzenia do rozkwitu zaniedbanej posiadłości, którą Ashe kupił rok wcześniej ze względu na okazyjną cenę. Ashe odczekał kilka minut, po czym dodał obojętnym tonem: - Może moja siostra zechciałaby pomóc przy restauracji domu?

- Panna Frederica?

- Tak, Frederica - potwierdził Ashe.

Gdyby wszystko ułożyło się pomyślnie, mógłby dać tę posiadłość Frederice jako część posagu. A gdyby Barrington nie zdołał rozwinąć przedsięwzięcia i zbić na nim fortuny, toby oznaczało, że błędnie ocenił jego zdolności.

- Dziękuję, milordzie, niezwłocznie się za to zabiorę.

- Reynard, możesz tak się do mnie zwracać - powiedział Ashe. Z zadowoleniem pomyślał o możliwych konsekwencjach swojej decyzji. Chyba stawał się sentymentalny. - Ale nie zaniedbuj przy tym innych obowiązków - dodał surowo na widok radosnego uśmiechu na twarzy Barringtona.

- Nie, oczywiście, że nie, mil... panie Reynard.

Miał nadzieję, że w ten sposób zadbał o los Frederiki. Co do Anny, był przekonany, że wkrótce poczuje się jak ryba w wodzie w londyńskim towarzystwie i sama znajdzie sobie odpowiedniego kawalera. A Katy... miał jeszcze co najmniej cztery lata, nim przyjdzie mu się zmierzyć z problemem wydania najmłodszej z siostr. Nie wykluczał, że będzie zmuszony zatrudnić policjantów w charakterze przyzwoitek.

Bel mogłaby mu służyć radą, chętnie by z nią porozmawiał o swoich siostrach. Na pewno słuchałaby go z zainteresowaniem. Wyobraził sobie jej wiel-



kie szare oczy, rozpromienione perspektywą wspólnych zakupów i plotek z jego siostrami. Co się z nim, u licha, działo?

- ...przetrzebić?

- Hmmm? - mruknął półprzytomnie Ashe. Stali na skraju zachwaszczonego zagajnika. Barrington przyglądał się Ashe'owi, najwyraźniej od dłuższej chwili czekając na odpowiedź.

- Koniecznie - rzekł Ashe zdecydowanym tonem. - Zgadzam się, że to najlepsze wyjście.

- Ale które? Mam kazać wszystko wyciąć i ponownie zalesić czy tylko przetrzebić?

- Przetrzebić - odparł bez zastanowienia, byle tylko wybrnąć z sytuacji. Złapał się na tym, że patrzy na gęste zarośla, oceniając je pod kątem możliwości rozmieszczenia żołnierzy. Działo polowe ustawione w najwyższym punkcie dałoby im dodatkową osłonę.

Wzdrygnął się gwałtownie. Nie. Dość wojaczki, dość przemocy, dość czekania w okopie na śmierć. Czas na pokój, uprawę ziemi, miłość.

## *Rozdział dwunasty*

- Dokąd teraz? - Ashe przeciągnął się, stając w strzemionach. Nagle poczuł ciepło słońca na plecach, zapach polnych kwiatów i siana, uroki lata na angielskiej prowincji. Po raz pierwszy od bardzo dawna, nie licząc chwil, kiedy kochał się z Bel, miał świadomość własnego ciała i sprawiało mu to przyjemność.

- Na główną farmę? - zaproponował Barrington. - Muszę z panem porozmawiać o naprawieniu dachu na największej stodole.

- Ścigamy się? - Nie czekając na odpowiedź, Ashe skierował konia w stronę domu, czując, jak potężne zwierzę pod nim spina mięśnie do galopu. Kopyta zadudniły głucho na gruntowym trakcie. Pędząc przed siebie, zastanawiał się, czy Bel spodobałaby się taka przejażdżka, czy w ogóle lubi wieś i wreszcie czy mógłby jednak zorganizować to przyjęcie i ją zaprosić.

Wpadł na plac przed stajnią jako pierwszy, wyprzedzając zarządcę o długość konia, i ze śmiechem zeskoczył z siodła.

- Zastanawiam się nad wydaniem przyjęcia, Barrington. Jak sądzisz, to dobry pomysł? - zagadnął.

Młody człowiek starannie przywiązał swojego wierzchowca do uchwytu wystającego ze ściany.

- Lady Dereham byłaby pewnie zachwycona.

No tak, matka. Zaproszenie Bel byłoby czystym szaleństwem. Nie byłyby w stanie ukryć przed rodziną tego, co ich łączy, zwłaszcza że matka prawdopodobnie uznałaby Bel za najodpowiedniejszą kandydatkę do jego ręki. Poza tym panie wkrótce wybierały się do Brighton i gdyby pokrzyżował im plany, domysłem nie byłoby końca.

Zadzierając wysoko głowę, przyjrzał się zapadniętej kalenicy stodoły.

- Może przed Bożym Narodzeniem - mruknął, zamykając temat przyjęcia. - A ten dach jest naprawdę w kiepskim stanie. Trzeba go naprawić od razu i to szybko, zanim zwieziemy plony, albo będzie musiał poczekać do końca zimy.

Bel byłaby zdziwiona, widząc go teraz stojącego na placu przed stodołą i rozprawiającego o sprawach gospodarstwa. Był ciekaw, co ona teraz robi...

Bel wyjątkowo nie myślała o Ashe'u. Stała pośrodku eleganckiego sklepu madame Laureat i ciężko wzdychała.

- Nie chcesz nowej sukni wieczorowej, Elinor?

- Nie potrzebuję nowej sukni wieczorowej. - Elinor zacisnęła usta. - Przyszliśmy tu z twojego powodu, nie mojego. Po co mi taki wytworny strój, skoro nie mam okazji go nosić?

- To kup sobie chociaż ładną dzienną sukienkę! Coś, co nie jest w kolorze szarym lub beżowym.

- To bardzo praktyczne kolory - stwierdziła spokojnie Elinor.

- Nie na wieczór.

- Już mówiłam, że nie potrzebuję stroju wieczorowego.

W kółko to samo, pomyślała Bel z rezygnacją. Madame Laureat taktownie odesłała swą asystentkę na zaplecze, kiedy tylko stało się jasne, że jej ulubiona nowa klientka będzie musiała namawiać swą towarzyszkę.

- Jak masz zamiar poznać mężczyzn, skoro nie chcesz brać udziału w życiu towarzyskim? - spytała Bel szeptem, czując, że zaczyna jej brakować mniej osobistych argumentów.

- Spotykam mężczyzn na wykładach i przy załatwianiu różnych spraw. Spotykam ich wystarczająco dużo jak na moje potrzeby, które nie obejmują małżeństwa!

- Nie chcesz wyjść za mąż? - Bel z trudem się opanowała, żeby nie podnieść głosu.

- Nie, nie chcę. Ty też nie, jak twierdzisz, więc dlaczego próbujesz mnie namawiać?

- Bo nie wydaje mi się, żebyś była szczęśliwa, żyjąc tak jak teraz, gotowa służyć matce na każde zawołanie. To, że moje małżeństwo zniechęciło mnie do powtórnego związku, wcale nie oznacza, że ty nie miałabyś znaleźć męża, którego będziesz szczerze lubić.

Co się z nią działo? Chciała odgrywać rolę swatki, łączyć ludzi w pary. Elinor miała rację, sama nie pragnęła ponownego zamęścia. No cóż, miała przecież od życia to, co najlepsze: wdowią wolność i względy kochanka.

- Przepraszam - powiedziała ugodowym tonem. - Trochę mnie ponosi. Może posunęłam się za daleko, mówiąc o mężu, ale bardzo cię lubię i żal mi, że ukrywasz swoją urodę. Dlaczego nie miałabyś nosić kolorów, w których jest ci do twarzy? Czysta zieleń, bursztyn, mocne, bogate brązy. Nawet czerwień. - Bel nie mogła znieść, że Elinor, posiadając tak wspaniałe płomienne włosy, wygląda szaro i pospolicie. - Madame?

- Słucham, milady? - Modniarka pośpiesznie wyłoniła się z zaplecza.

- Czy macie coś, co by podkreśliło urodę mojej kuzynki i jednocześnie mogło służyć jako wygodna suknia spacerowa?

- Mam coś odpowiedniego, milady. Całkiem nowe fasony. Paulette - zwróciła się do asystentki - podaj tę rubinową z twillu i szmaragdową z popeliny.

Elinor wywróciła oczami.

- Mogę wydać swoje oszczędności na lepsze cele.

- Chcesz mi sprawić przyjemność? - Bel postanowiła nie tracić nadziei, a tym bardziej się nie poddawać. Chciała, żeby Elinor spodobała się Patrickowi

Layne. Był inteligentnym i pracowitym młodym człowiekiem o miłym usposobieniu. Gdyby nie Ashe, sama mogłaby się nim bliżej zainteresować. Ponieważ jednak to nie wchodziło w rachubę, doszła do wniosku, że może spróbować swych sił jako swatka.

Udało jej się namówić Elinor na suknię spacerową i drugą do podróży powozem, a nawet na nową pelisę, pasującą do obu odcieniem. Obie suknie były niezwykle skromne w kroju, ale przynajmniej żadna nie miała burego koloru.

- Dokąd teraz? - spytała Elinor tonem, który wskazywał, że jest gotowa na dalsze zakupy.

- Do biblioteki Hookhama. - Bel dała znak stangretowi, po czym rozsiały się wygodnie na miękkich kanapach powozu. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? - Elinor tylko pokiwała głową, nie kryjąc ulgi, że znów znalazła się na bezpiecznym dla siebie gruncie. - Chcę wypożyczyć kilka nowych powieści, ale przede wszystkim znaleźć jakieś wskazówki dotyczące instytucji dobroczynnych.

- Chcesz je wspomóc?

- Owszem, jeśli masz na myśli pieniądze. Ale chcę też zrobić coś więcej, chcę pomagać w jakiś praktyczny sposób. Mam poczucie, że prowadzę ostatnio wyjątkowo beztroskie życie, nie mam żadnych obowiązków. Problem w tym, że nie bardzo wiem, jaki szczytny cel należałoby wesprzeć, nie mówiąc już o konkretnej instytucji. Mogłoby się zdawać, że wybór jest prosty, ale jest ich tak wiele i pewnie wszystkie zasługują na wsparcie.

Porównywały akurat różne formy działalności charytatywnej, kiedy powóz skręcił w Bond Street i zbliżył się do biblioteki. Tłum na chodniku wydał się Bel nienaturalnie ożywiony, a zaraz potem dostrzegła, że portierzy stojący zwykle przy drzwiach próbują przepędzić dwóch mężczyzn w brudnych mun-

durach. Obaj wspierali się na kulach; jeden miał pustą nogawkę spodni podpiętą pod kolanem, drugi ciągnął za sobą sztywną nogę.

- Zabierajcie się stąd - powiedział jeden z portierów. - To porządne miejsce. Nie chcemy, żeby tacy jak wy tu żebrali.

- Oburzające! - Bel wyskoczyła z powozu, nie czekając na rozwinięcie schodków, i podeszła do grupki gapiów zebranej wokół wejścia do biblioteki.

- Właśnie mówiłem to samo, madame. - Portier odwrócił ku niej poczerwieniałą twarz, wdzięczny za niespodziewane wsparcie. - Proszę wejść do środka i nie bać się, zaraz ich stąd usuniemy.

- Nie! To, co wy robicie, jest oburzające! - krzyknęła Bel ze złością. - Co znaczy „tacy jak wy”? Ci ludzie zostali ranni, służąc swojemu krajowi. Jak śmiecie ich obrażać!

Portier przez chwilę gapił się na nią z niedowierzaniem, a potem wydukał:

- Madame, to jest Bond Street.

- Zgadza się. A nie mówi się na niej po francusku ani nie wylądowaliśmy pod gilotyną dzięki takim właśnie dzielnym ludziom, jak ci tutaj, ty brutalny ignorancie.

- Powinniście się wstydzić - zawtórowała jej Elinor, unosząc groźnie parasolkę.

Bel, pokazując portierowi plecy, odwróciła się z uśmiechem do weteranów.

- Proszę to wziąć. - Wyjęła z torebki zwinięty banknot pięciofuntowy i wcisnęła do ręki temu z pustą nogawką. - Gdzie sypiacie?

Człowiek ze sztywną nogą wydał z siebie dziwny odgłos, jakby się dławiał. Dopiero wtedy Bel zauważyła, że ma na szyi źle zrośniętą bliznę, która z pewnością upośledzała mu mowę.

- Nie, proszę się nie odzywać. Elinor, masz jakieś pieniądze? Muszą natychmiast znaleźć lekarza.

Elinor już podawała banknot pierwszemu z żołnierzy.

- Niech was Bóg błogosławi, panie.

- Gdzie sypiacie? - Elinor powtórzyła pytanie zadane przez Bel.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Gdzie się da, madame. Głównie w Seven Dials, można tam dostać pryczę za parę miedziaków.

Bel nie miała pojęcia, co to jest prycza, ale jeśli mieszkali w Seven Dials, jednym z najgorszych slumsów Londynu, było to fatalne miejsce dla ludzi w tym stanie zdrowia.

- Wsiadajcie do powozu - poleciła Bel, błyskawicznie podjąwszy decyzję.

- Bel! - wykrzyknęła Elinor, patrząc na kuzynkę z niedowierzaniem.

- No tak, przepraszam, powinnam była wziąć pod uwagę, co powie ciocia Louisa. Weź powóz i mojego stangreta jako eskortę, a ja zabiorę tych ludzi do rożką.

- Mniejsza o mamę! Co zamierzasz z nimi zrobić?

- Zaopiekować się nimi, oczywiście. - Odwróciła się z powrotem do żołnierzy, którzy patrzyli na nią, jakby postradała zmysły. - Mam wolne pomieszczenie na strychu nad stajniami. Jest suche i czyste. Będziecie się też mogli wykapać i najeść, a potem obejrzy was mój lekarz. Pojedziecie ze mną?

- Bel, nie możesz! Nic o nich nie wiesz...

- Mam Jamesa. - Wskazała na przestraszonego obrotem wydarzeń stangreta, który próbował protestować.

- Pan Hedges urwie mi głowę, milady...

Żadna z nich nie miała ochoty go słuchać.

- Nie będziesz miała Jamesa, jeśli pošiesz go ze mną powozem - przypomniała rzeczowo Elinor. - No dobrze, pojedę z tobą. Przyznaję, że coś trzeba zrobić, nie możemy ich zostawić na łasce tych bigotów. - Rzuciwszy portierom wyniosłe spojrzenie, Elinor wsiadła do powozu, dając żołnierzom znak, by poszli w jej ślady.

- Chodźcie - ponagliła ich Bel. - Skoro stawialiście czoło Francuzom, to nie powinniście się bać dwóch angielskich kobiet.

- Tak, madame. - Jeden z żołnierzy zasalutował, a drugi się uśmiechnął.

- James, pomóż panom wsiąść - rozkazała Bel stangretowi.

W drodze dowiedziały się, że ich podopieczni to Jem Brown i Charlie Lewin z 14. Batalionu. Lewin dostał w szyję pod Quatre Brass, na dzień przed Waterloo, ale rana z początku nie wydawała się groźna, dopóki powtórnie nie oberwał pod Waterloo.

- Leżenie w błocie z poszarpaną nogą przez całą dobę nie pomaga, madame. Mnie było łatwiej, kula obcięła mi łydkę równo jak nożem.

Bel z trudem przełknęła ślinę, zastanawiając się, co powie ciotka Louisa, kiedy Elinor wróci do domu bliska omdlenia, ale kuzynka okazała się silniejsza, niż Bel przypuszczała.

- Najważniejszy jest lekarz - oznajmiła stanowczo. - No i trzeba posłać po zapasy bandaży, gazy i maści.

Podjechali pod zabudowania stajni i Bel posłała Jamesa, by biegiem sprowadził Hedgesa, a stajenni pomogli żołnierzom wsiąść. Bel spodziewała się protestów ze strony Hedgesa, który zjawił się ze srogą miną i przez chwilę przyglądał się jej podopiecznym zmrużonymi oczyma. Obaj przyjęli oględziny z całkowitym spokojem.

- Dobrze, milady - odezwał się w końcu Hedges. - Chłopcy, pomóżcie im się wspiąć na górę - polecił stajennym. Następnie znów zwrócił się do Bel. -



Miałem siostrzeńca, który odniósł ciężkie rany pod Salamanką. Później umarł, po powrocie do domu, ale przynajmniej skonał w ramionach matki, w ciepłe i wygodzie, otoczony najbliższymi. Gdyby nie miał rodziny, skończyłby jak ci dwaj... - Poruszył ustami, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale zaraz jego twarz znów przyjęła nieprzenikniony wyraz.

Bel wycofała się, pozostawiając mu opiekę nad rannymi. Niebawem usłyszała, jak wysłała służbę po gorącą wodę i balie.

- Na początek musicie się umyć - dobiegło ze strychu. - Nie pozwolę, byście w takim stanie przebywali na terenie posesji naszej pani, nawet jeśli to jest tylko strych nad stajnią. Potem obejrzy was lekarz. A na koniec dostaniecie jeść.

Dopatrzwszy wszystkiego, zszedł na dół z zasepioną miną.

- To narodowa hańba, żeby tak traktować weteranów wojennych. W marynarce wygląda to znacznie lepiej. - Uniósł głowę, patrząc na strych, a potem znów spojrzał na Bel. - Ilu jeszcze ich jest, milady?

- Tylko ci dwaj - zapewniła słabym głosem Elinor, widząc nadciągającą panią Hedges w asyście podkuchennej.

- A ilu jeszcze moglibyśmy przyjąć? - spytała Bel.

- Tam na górę, milady? Jakies pół tuzina.

- No cóż, Elinor... - Bel uśmiechnęła się do kuzynki. - Wygląda na to, że nie muszę daleko szukać, bo mój cel dobroczynny sam mnie znalazł.

Ashe pozostał w Hertfordshire dziesięć dni i z zadowoleniem odkrył, że w tym czasie dowiedział się o pracy w majątku znacznie więcej, niż za życia ojca czy w okresie, gdy gospodarstwem zajmował się poprzedni zarządca, Simmons.

John Barrington był człowiekiem, z którym dobrze się pracowało, rodzina po paru dniach przestała go nękać nadmierną uwagą, pogoda była wyśmiej-

nita. Gdyby nie tęsknota za Bel, mógłby siedzieć na wsi aż do sezonu łowieckiego.

Tęsknił za Bel dotkliwie i to, ku swemu zaskoczeniu, nie tylko za tym, co ich łączyło w łóżku. Za tym także, ma się rozumieć; kilka razy nie mógł zasnąć, rozmyślając o niej, i szedł nocą nad jezioro popływać. Pomagało do czasu, aż sobie wyobraził, że Bel mu towarzyszy, razem nurkują w chłodnej wodzie, a światło księżyca rozświetla perłowym blaskiem jej skórę.

Brakowało mu rozmów z Bel. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wiele czasu spędzali, rozmawiając ze sobą, wymieniając opinie na różne tematy i zwierając się sobie nawzajem. Bel nie znosiła pasiastych materiałów, przedmiotów z mosiądzu i mody w stylu egipskim, a on całkowicie się z nią zgadzał w tym względzie. Wiedział, że woli operę od dramatów, muzykę kameralną od symfonicznej i tu się różnili. Wiedział, że chciałaby mieć psa, ale nie przepada za kotami i że woli jeździć konno, niż powozić. Sam lubił jedno i drugie, a do kotów miał słabość i lubił mieć je w domu.

Bel deklarowała się jako zwolenniczka wigów, nie torysów, ale wyrażała brak zaufania do większości polityków, a ponadto nie lubiła długich niedzielnych kazań, co oznaczało, że byłoby jej nie po drodze z kilkoma sąsiadami, a proboszcz by ją nudził. W tym momencie uświadomił sobie, że znów wyobraża sobie Bel mieszkającą z nim w Coppergate, więc szybko przywołał się do porządku i poszedł omówić budowę nowych chlewów z pracownikiem dogłębającym inwentarza.

Przeglądając stertę korespondencji przyniesionej przez Race'a, Ashe czuł przyspieszone bicie serca. Trzy dni wcześniej napisał do Albany, żeby nie przesyłali niczego więcej do Hertfordshire, więc zbierał mu się spory stos listów, rachunków i bilecików do sprawdzenia.

Nie było między nimi jednak wiadomości podpisanej literą B., wyznaczającej porę ewentualnego spotkania, mimo iż wysłał Bel Ust, w którym pytał ją, czy ma jakieś dalsze problemy z domem, bo mógłby przyjść pomóc je rozwiązać. Rozczarowany nalał sobie kieliszek madery i zaczął uważnie sortować pocztę, odrzucając na bok rachunki, żeby później się nimi zająć.

Zaproszenia, reklamy, nagabywania od kupców, kolejne zaproszenia... Otworzył jedną z kopert zaadresowaną czarnym atramentem, ponieważ pismo wydało mu się znajome. To była wiadomość od Bel, nie pośpiesznie napisany, sekretny liścik, lecz oficjalne zaproszenie na herbatę następnego dnia o trzeciej po południu.

Ashe złożył zaproszenie i obracając je w palcach, próbował odgadnąć, czego się powinien spodziewać. Czyżby Bel planowała go odprawić? A może nabrała śmiałości i miała zamiar przyjmować go otwarcie, w obecności służby? Albo...

Przeczytał list jeszcze raz. Nie, z pewnością nie chodziło o odprawę, ton listu, choć nie mógł wzbudzić podejrzeń przypadkowego czytelnika, był zdecydowanie ciepły.

Na myśl o Bel poczuł znajome mrowienie w łędźwiach, ale także pragnienie, by ją zobaczyć i usłyszeć jej głos. Co robiła podczas jego nieobecności w Londynie? Jak oceni to, czym się zajmował przez ostatnie dziesięć dni? Był ciekaw jej opinii na temat działań, jakie podjął w sprawie przyszłości Frederiki i pomysłów na urządzenie rodzinnej siedziby w mieście.

- Milordzie?

- Tak? - Race stał obok niego z miną męczennika. Prawdopodobnie od dłuższego czasu czekał na odpowiedź. - Przepraszam, Race, mówiłeś coś?

- Pytałem, jaki strój mam panu przyszykować na dzisiejszy wieczór, milordzie.

- Idę do White'a, więc założę to, co zwykle. A na jutrzejsze popołudnie przygotuj mi te nowe spodnie i ciemnoniebieski frak.

- Oczywiście, milordzie. Doskonały wybór na taką okazję, jeśli mogę wyrazić swoje zdanie. - Uśmiechnąwszy się półgębkiem, Race zniknął, nim Ashe zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Przed osobistym kamerdynerem dosłownie niczego nie dało się ukryć.

## ***Rozdział trzynasty***

We wtorek o trzeciej po południu Ashe wszedł na schody domu, w którym mieszkała Bel, zapukał i został wpuszczony przez Hedgesa. Lokaj powitał go życzliwiej, niż Ashe mógł się spodziewać, zważywszy na okoliczności ich ostatniego spotkania na Half Moon Street, kiedy to Ashe miał straszliwego kaca i wylądował w niewłaściwym łóżku.

- Witam, milordzie. Lady Belinda jest w salonie.

Ashe oddał kapelusz i rękawiczki, po czym Hedges zaanonsował go, wprowadził do salonu i cicho zamknął drzwi.

Bel wyszła mu naprzeciw z wyciągniętą ręką, z ustami lekko rozchyłonymi, jakby chciała coś powiedzieć. Nie dał jej na to szansy. Zrzuciwszy z siebie frak, przypadł do niej, porwał ją w ramiona i zgniótł jej wargi namiętym pocałunkiem. Przyciskając ją do siebie mocno, napawał się jej smakiem i zapachem.

Bel wiła się w jego objęciach, co tylko wzmagало jego podniecenie, uderzała go w pierś zaciśniętymi w pięści dłońmi, równie rozgorączkowana jak on. Miał ochotę posiąść ją natychmiast, na podłodze, ale w ostatniej chwili zoba-

czył sofę za ustawionymi w krąg fotelami. Opuścił jedną rękę, chwytając Bel za cudownie krągły pośladek, ani na moment nie odrywając się od jej ust.

Bel drżała w jego ramionach, rozpalona i napięta. Byli już prawie przy sofie, gdy Ashe kątem oka dostrzegł na niskim stoliku tacę pełną filiżanek, talerzyków i ciasta, w ilościach, które dwu osobom wystarczyłyby co najmniej na tydzień. Skamieniał. W tym samym momencie Bel boleśnie ugryzła go w brodę, a za nimi rozległ się głos podobny do grzmotu:

- Puść ją, ty libertynie!

Gwałtownie uwolniona z uścisku Bel aż się zachwiała. Ashe stał jak słup soli, a lady James poderwała się z fotela gotowa ratować swą krewną przed męską brutalnością.

Komuś patrzącemu z boku scena mogłaby się wydać szalenie zabawną, ale Bel czuła jedynie lodowaty strach. Tego, co zaszło, nie dało się w żaden sposób usprawiedliwić; ciotka musiała ją uznać za rozpustnicę.

- Proszę się wytłumaczyć, sir! - Ashe powoli odwrócił się twarzą do lady James, która rozpoznawszy go, wydała z siebie okrzyk niedowierzania. - Lord Dereham! Co miało znaczyć to szaleństwo?

- Lady James, mogę wyjaśnić...

- Spodziewam się, że chociaż pan spróbuje, sir!

Bel chwyciła się kurczowo wysokiego oparcia sofy. Wytłumaczyć? Jak można było wytłumaczyć coś takiego? I jak to się, na Boga, mogło stać? Czuła się taka bezpieczna, taka szczęśliwa i nagle, w ciągu kilku sekund, wszystko runęło w gruzy. Kręciło jej się w głowie, miała wrażenie, że cała krew odpłynęła jej z twarzy. Ashe stał do niej tyłem; kark miał czerwony, ale kiedy się odezwał do rozwścieczonej lady James, jego głos brzmiał spokojnie.

- Siła mojego afektu...

- Ha! Tak to nazywacie, wy libertyni?

- ...do lady Belindy zmaciła mi w głowie do tego stopnia, iż uwierzyłem, że moje uczucia są odwzajemnione i przyszedłem tu dziś z zamiarem poproszenia jej o rękę...

- Co? - Pytanie samo wyrwało się Bel z ust. Nie uzyskała odpowiedzi, co więcej, odniosła wrażenie, że ci dwoje zapomnieli o jej obecności w salonie.

- Krótko mówiąc, madame, przekonanie, jak się okazało błędne, że po raz pierwszy znalazłem się sam na sam z lady Belindą, tak rozпалиło moją namiętność, że pozwoliłem sobie okazać żarliwość swego oddania w sposób wykraczający poza granice poprawności.

- Poprawności! Jeszcze chwila, a zawłóklby pan to biedne dziecko na sofę, sir. To nie oddanie ani nie afekt, tylko folgowanie zwierzęcej chuci! Jest pan na wpół rozebrany...

- Czy ktoś zechce mnie wysłuchać? - Zdesperowana Bel szturchnęła Ashe'a w plecy. Odwrócił się natychmiast; koszulę miał rozchełstaną pod szyją. - Lordzie Dereham - zaczęła, starając się panować nad głosem; to, co usłyszała, wstrząsnęło nią bardziej niż niefortunne zachowanie Ashe'a. - Nie wydaje mi się, bym podczas tych niewielu okazji, kiedy się widzieliśmy, dała panu jakąkolwiek nadzieję, że pańskie oświadczyzny zostaną przyjęte.

- W istocie, madame - przyznał Ashe z powagą. - Nic, co pani powiedziała, nie mogło być uznane za zachętę do oświadczyn.

- Zatem dlaczego...

- Musi pani wybaczyć człowiekowi nieradzącemu sobie z ogromem uczucia. Miałem nadzieję, że uda mi się panią namówić. - Ashe przesunął się tak, by lady James nie widziała jego twarzy.

Poruszył bezgłośnie ustami, mówiąc: „Na litość boską, Bel, zgódź się”.  
Miałaby go poślubić?

- Cóż, osiągnął pan swój cel, młody człowieku - odezwała się gniewnie ciotka Louisa. - Bo będzie pan musiał się ożenić z moją siostrzenicą po tym pokazie nieposkromionej żądy.

- Nie! - krzyknęła ze złością Bel. - Nie wyjdę za niego. - W momencie, gdy to z siebie wyrzuciła, ogarnął ją dziwny spokój.

- Oczywiście, że wyjdiesz, głupia dziewczyno! Chodzi o twoją reputację.

- Musisz... musi pani, lady Belindo. Proszę pomyśleć o skandalu.

- Biorąc pod uwagę, że moja ciotka jest jedynym świadkiem tego godnego pożałowania wydarzenia, i wiedząc, że chodzi jej wyłącznie o moje dobro, nie rozumiem, skąd miałyby się wziąć skandal, milordzie - powiedziała lodowatym tonem Bel. Odruchowo spojrzała w lustro ponad ramieniem ciotki. Usta miała spuchnięte od pocałunków Ashe'a, włosy potargane, a śliczna muślinowa apaszka, którą układała długo i misternie, zwisała jej z szyi jak ścierka. - O, Boże! Jak ja wyglądam!

- Lady Belindo... - Ashe starał się przebić przez gniewne mamrotania lady James. - Proszę mnie posłuchać...

Bel wymierzyła mu policzek.

Zrobiła to bez zastanowienia, jakby nie panowała nad własną ręką.

- Jak śmiesz? - wyrzuciła z siebie szeptem. - Jak śmiesz mówić o małżeństwie? Jak śmiesz mnie namawiać do czegoś, czego nigdy nie zamierzam zrobić?

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Bel czuła łyzy wzbierające pod powiekami. Ashe musiał być na nią zły, że nie zgodziła się na to, co jej proponował, kierując się zasadami męskiego honoru. Ze wstydem patrzyła, jak na jego policzku uwydatniają się coraz bardziej czerwone ślady po jej palcach.

Z holu dobiegł szmer głosów i odgłos zamykanych drzwi. Wszyscy troje wymienili spłoszone spojrzenia, po czym Bel odwróciła się na pięcie i wybiegła do korytarza dla służby. Oddalając się szybko, usłyszała głos Hedgеса anonsującego kolejnych gości.

- Lady Wallace, lady Maude Templeton, panna Ravenhurst i wielebny Makepeace, milady.

Nie miała pojęcia, jak Ashe i ciotka Louisa wytłumaczą jego obecność w salonie w niekompletnym stroju, i wcale jej to nie obchodziło. Znalazła się na niewielkim dziedzińcu obsadzonym krzewami i kwiatami. Mimo niewielkich rozmiarów stanowił miłe miejsce odpoczynku po południu, gdy zagładało tam słońce. Niestety, Bel zbyt późno sobie przypomniała, że pozwoliła weteranom zamieszkującym na strychu zażywać na dziedzińcu świeżego powietrza, kiedy tylko będą mieli na to ochotę. Wyglądało na to, że właśnie tego dnia postanowili skorzystać z jej pozwolenia.

Miała przed sobą pięciu z ósemki zakwaterowanej na strychu. Sprowadził ich Brown, którego wysłała dorożką na poszukiwania. Sam Brown szybko wyzdrowiał dzięki pożywnej strawie i opiece lekarza, ale jego kompan Lewin nadal miał się kiepsko i był przykuty do łóżka.

Na widok Bel wszyscy wstali, choć niektórym sprawiało to trudność, i patrzyli na nią w milczeniu.

- Co się stało, madame? - odezwał się w końcu Brown, zaciskając potężne dłonie w pięści. - Ktoś panią skrzywdził?

Proszę tylko powiedzieć, a zrobię z nim porządek. - Reszta poparła go groźnym pomrukiem.

Bel drżącymi rękami poprawiała fryzurę.

- Nic się nie stało. Miałam tylko... głupią sprzeczkę ze znajomą osobą. Jestem trochę zdenerwowana... przepraszam. Zapomniałam, że możecie tu być.



- Pójdziemy, madame, żeby pani mogła sobie spokojnie posiedzieć. Proszę się nie martwić. - Gromadnie ruszyli w stronę wyjścia, wyraźnie skrepowani. Zapewne widząc jej stan, bali się, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Nie, proszę, nie odchodźcie. Posiedzimy razem. Powiedzcie mi, jak się miewacie. - Udało jej się uśmiechnąć, co przyjęli z widoczną ulgą.

- Cóż, madame, Lewin już siada i chyba odzyskuje apetyt, przynajmniej na zupę pani Hedges. - Wskazał ruchem głowy na małomównego Szkota. - Noga Jocka wygląda coraz lepiej. Znalazłem dziś rano jeszcze dwóch chłopców, lekarz ich właśnie ogląda. - Brown opowiedział jej o stanie wszystkich podopiecznych, zwięźle i jednocześnie dokładnie, jakby składał raport. Bel zdziwiła się, że nie został mianowany sierżantem, skoro posiada odpowiednie zdolności. Postanowiła zapytać Ashe'a, jakie zasady rządzą awansami w wojsku. Jeśli jeszcze kiedykolwiek będą mieli okazję ze sobą rozmawiać...

Ashe spojrzał w drugi koniec salonu, gdzie na fotelu leżał jego niedbale rzucony frak. Drzwi już się otwierały, wiedział, że nie zdąży uzupełnić stroju, a poza tym ślad na policzku musiał już być widoczny.

Całe to nieszczęsne zajście przypominało farsę. Nie czas było jednak ubolewać nad tym, co się stało; nawyk wyniesiony z wojska kazał mu się wziąć w garść. Skup się, improwizuj, myśl, jak wybrnąć. Farsa? Zatem trzeba ją odegrać do końca.

- Proszę krzyczeć - nakazał lady James, podnosząc ją z ziemi i stawiając na krześle. - I nie schodzić.

Lady James wydała z siebie odgłos podobny do ptasiego skrzeczenia i zamachała rękami dla utrzymania równowagi. Ashe natomiast zanurkował pod szeszlony, dzierżąc w dłoni pogrzebacz zabrany sprzed kominka.

Goście weszli do salonu i gwałtownie umilkli. Należało się domyślić, że widok rozgrywającej się właśnie sceny odebrał im mowę.

- Do licha! - wykrzyknął Ashe, wysuwając się spod mebla i stając przed dwiema młodymi damami, groźnie wyglądającą matroną w średnim wieku oraz proboszczem. - Bardzo przepraszam za mój język.

- Lordzie Dereham! - zawołała lady James, chwiejąc się na swej grzędzie.  
- To skandal!

- Przykro mi, madame, ale uciekł do dziury pod listwą... zbyt szybko. Nie zasłużyłem na policzek, lady James - dodał urażonym tonem. - Podniosłem panią na wypadek, gdyby próbował wbiec pani pod spódnicę. Wyjątkowo duży szczur. - Goście patrzyli w osłupieniu, jak odkłada pogrzebacz i podaje rękę lady James, pomagając jej zejść na podłogę.

- Doprawdy pomysłowy z pana człowiek - stwierdziła z przekąsem, zajmując swoje dawne miejsce na fotelu.

- Bo próbowałem złapać tę bestię, zarzucając na nią frak? - Ashe skwapliwie wykorzystał okazję, by wytłumaczyć się z niepełnego odzienia. - Może i pomysłowy, ale niestety, nie dość zręczny. Chybiłem o parę cali.

- Pański frak, milordzie. - Hedges podał mu starannie strzepniętą część garderoby. - Niezwłocznie sprowadzę szczurołapa. Mam już teraz podać herbatę czy zaczekamy na powrót lady Belindy?

Lady James zasznurowała usta, spoglądając lodowato na Ashe'a, po chwili jednak uświadomiła sobie, że musi z nim współdziałać ze względu na Bel, i zdobyła się na słaby uśmiech.

- Proszę podać od razu - zwróciła się do Hedgesa. - Moja siostrzenica oblała się mlekiem, uskakując przed tym paskudnym gryzoniem - wyjaśniła gościom. - Poszła się przebrać. Proszę siadać, jestem pewna, że zaraz do nas dołączy. Lady Wallace, jak miło, że mogła pani do nas przyjść. Obawiałam się, że nie wróci pani na czas z Exeter...

- Jeśli państwo mi wybaczą, pójdę umyć ręce. - Kiedy Ashe opuszczał salon, wywiązała się ożywiona rozmowa na temat przygody lady James. - Gdzie jest lady Belinda? - zapytał lokaja, uprzednio zamknąwszy za sobą drzwi.

- Wydaje mi się, że na dziedzińcu, milordzie. Jeśli zechce pan wstąpić do jadalni, przyniosę ciepłą wodę i ręcznik. - Zapowiedziana czynność zabrała mu zaledwie parę minut. - Mam natychmiast posyłać po szczurołapa, milordzie? - spytał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie ma potrzeby, o czym sam dobrze wiesz, Hedges.

Ashe szybko umył ręce, wytarł je w ręcznik i jako tako uporządkował koszulę pod szyją.

- Skoro pan tak mówi, milordzie... Chyba powinienem wspomnieć, że lady Belinda sprawiała wrażenie trochę zdenerwowanej.

Trochę zdenerwowanej, dobre sobie! Policzek wciąż palił go żywym ogniem. Poprosił ją, żeby za niego wyszła. Dlaczego mnie spoliczkowała? Nie uwierzyła, że naprawdę chcę się z nią ożenić? Muszę natychmiast powtórzyć oświadczyzny.

- Nie tylko ona - mruknął Ashe pod nosem.

- Milordzie, powinien pan o czymś wiedzieć. Na dziedzińcu...

- Nie teraz, Hedges - rzucił Ashe przez ramię, oddalając się korytarzem na tyły domu. Najpierw muszę się oświadczyć.

Otworzył drzwi na dziedziniec... i stanął jak wryty. Spodziewał się znaleźć Bel chodzącą tam i z powrotem w złości albo zalaną łzami w altanie. Nawet mu się nie śniło, że może ją znaleźć otoczoną gromadą mężczyzn w zniszczonych mundurach brytyjskiej armii.

- Co, u diabła... - Czyżby się wdarli na teren posesji z zamiarem kradzieży i zastali Bel samą i bezbronną? Rozejrzał się szybko, oceniając rozkład sił. Było ich pięciu, otaczali ją ciasnym kręgiem. Kiedy się pojawił, skupili się

jeszcze ciaśniej, niczym sfora psów pilnujących kości. Dopiero po chwili zorientował się, że Bel wcale nie wygląda na przestraszoną, a mężczyźni patrzą na niego podejrzliwie, jakby to on stanowił dla niej zagrożenie, nie oni.

- Czy to ta znajoma osoba panią zdenerwowała, madame? - odezwał się potężny osiłek wsparty na kulach. - Jeśli tak, to możemy się z nim policzyć.

- To jest lord Dereham - powiedziała szybko Bel. - Major Dereham. Zapewniam was, że przed nim nie musicie mnie bronić.

- Major? Baczość, chłopaki! - Kiedy stanęli w szeregu, Ashe zobaczył, że prawie każdy z nich jest ranny, a ich znoszone mundury są czyste i schludnie połatane.

- Nie musicie mi oddawać honorów. Jestem teraz cywilem - powiedział, zachowując resztki czujności. - Wszyscy jesteście znajomymi lady Belindy?

- Owszem. A ja pana znam, majorze. Widziałem pana pod Waterloo, pod sam koniec bitwy - odezwał się jeden z żołnierzy z wyraźnym szkockim akcentem.

- Naprawdę?

- Tak. I cieszę się, że pana tu widzę całego i zdrowego. Widziałem, co pan zrobił. Trzeba mieć cholerną odwagę.

Ashe nie miał ochoty rozgrzebywać przeszłości, zwłaszcza w tym momencie.

- Jak widać, miałem więcej szczęścia niż ty i twoi przyjaciele. A tak w ogóle, to skąd się tu wzięliście?

- Mieszkają tu, wszyscy - wyjaśniła Bel, podchodząc do niego bliżej. Ashe dostrzegł napięcie w jej sztywno wyprostowanych ramionach i wyraz bólu w oczach. Tam w salonie starał się, jak mógł, żeby naprawić sytuację, ale miał świadomość, że nieszczęsna scena musiała się fatalnie odbić na sa-

mopoczuciu Bel. Nie miał pojęcia, co zrobi jej jędzowata ciotka. Otrząsnął się z rozmyślań, widząc, że Bel cały czas coś do niego mówi.

- ...na strychu nad stajnią. Obecnie jest ich ośmiu.

- To dlatego mnie zaprosiłaś. - Nagle wszystko stało się jasne. Bel pomagała rannym weteranom i potrzebowała jego rady w tej sprawie.

- Zgadza się - potwierdziła krótko. Odwracając się do swoich podopiecznych, oznajmiła: - Muszę wracać do gości. Gdybyście czegoś potrzebowali, dajcie znać panu Hedgesowi. Zobaczymy się wieczorem.

Ashe widział, że traktują ją z szacunkiem. Niezależnie od tego, skąd pochodzili i jakie przeżycia mieli za sobą, z pewnością nie chcieli jej zrobić krzywdy. Skinąwszy im głową na pożegnanie, ruszył śladem Bel.

- Bel... - odezwał się, kiedy byli już sami w pustym korytarzu.

- Jak mogłeś, Ashe? - przerwała mu głosem drżącym ze złości.

- Nie wiedziałem, że jeszcze ktoś tam jest - zaczął, ale Bel nie chciała słuchać jego wyjaśnień.

- Nie o to mi chodzi. Domyślam się, że byłeś pewny, iż jesteśmy sami. Jak mogłeś mnie poprosić, żebym za ciebie wyszła? Sądziłam, że mogę ci ufać.

- Do licha, Belindo, oczywiście, że możesz mi ufać! - Z trudem się powstrzymywał, żeby nie podnieść głosu. - Możesz mi ufać, że zrobię to, co należy...

- Co za brednie! - prychnęła. - Jesteś taki sam jak cała reszta.

Ashe, ogłupiały i urażony, zastąpił jej drogę.

- Bel, mój honor wymaga, żebym się z tobą ożenił.

- Zatem wszystko jest w najlepszym porządku, tak? Ja za ciebie wychodzę i twój honor zostaje uratowany?

- Właśnie.

- Nie. Nie, nie, po tysiackroć nie. Do małżeństwa trzeba dwojga, milor-dzie, a gdybym kiedykolwiek miała powtórnie wyjść za mąż, w co mocno wątpię, nie zrobię tego tylko dlatego, by ratować honor jakiegoś mężczyzny.

- Ach, tak. Więc jestem dla ciebie po prostu jakimś mężczyzną. Dobrze zrozumiałem?

Przez moment Ashe spodziewał się, że Bel albo znów go spoliczkuje, albo przed nim ucieknie. Tymczasem spojrzała na niego poważnie i powiedziała cicho:

- Nie, nie jesteś i dobrze o tym wiesz. Jesteś mężczyzną, z którym mam romans, i teraz nie wiem, co z tym zrobić.

## *Rozdział czternasty*

Nie mogli tam stać w nieskończoność, w salonie czekali goście.

- Co się stało po moim wyjściu? - spytała Bel, wpychając Ashe'a jako pierwszego do jadalni. - Jak wytłumaczyłeś się z tego, że jesteś rozebrany? - Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Czy miała zakładać, że jej reputacja legła w gruzach? Co widzieli pozostali goście. No i co powiedziała ciotka Louisa?

Ashe zwięźle, jak przystało na oficera, zreferował jej przebieg wydarzeń.

- Udawałem, że do salonu wbiegł wielki szczur, a ty na jego widok oblaś się mlekiem i uciekłaś. Postawiłem twoją ciotkę na krześle, żeby uwiarygodnić całą historię, i wyjaśniłem, że to dlatego dała mi w twarz. A frak ściągnąłem, żeby zarzucić na szczura i w ten sposób go złapać. Niestety, chybiłem i jak zapowiedziano resztę gości, machałem pogrzebaczem pod sofą.

- Bardzo sprytnie wytłumaczenie - oceniła cierpko Bel, czując wzbierającą złość.

Drażniła ją pomysłowość Ashe'a; był gotów powiedzieć wszystko, byle się wywinąć z kłopotów. Wiedziała, że w gruncie rzeczy powinna mu być wdzięczna, ale jakoś nie miała ochoty mu tego okazywać.

- Wygląda na to, że sprawa załatwiona. Nie było czasu, żeby wymyślić coś innego.

- A to, co powiedziałeś mojej ciotce, jak jeszcze tam byłam? Też załatwia sprawę?

- Raczej nie. - Odruchowo dotknął obolałego policzka.

- Na pewno nie - rzuciła z naciskiem. - Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. Muszę wracać do gości, a ty dołącz do nas za parę minut. Mam nadzieję, że będziesz w stanie zachowywać się tak, jakbyśmy byli zwykłymi znajomymi?

- Myślę, że dam radę - odparł chłodno.

Do diabła z nim! Stawia mnie w fatalnej sytuacji, a potem ma mi za złe, że nie przyjmuję z wdzięcznością jego oświadczyn.

- Witam! Przepraszam, że nie było mnie tu, kiedy przyszliście. Cóż za niezręczna sytuacja! - Bel z przyklejonym do twarzy uśmiechem przywitała się z lady Wallace i wielebnym Makepeace'em. - Ciociu Louiso, wybacz, że cię zostawiłam, ale naprawdę nie znoszę tych wstrętnych stworzeń i wpadłam w panikę... Lady Maude, kuzynko Elinor.

Bel usiadła na szeszlunku obok lady Maude, która, jak plotkowano, była zaręczona z kuzynem Bel i Elinor Garethem Morantem, hrabią Snowdon. Jeśli rzeczywiście tak było, nie śpieszyli się z ogłoszeniem tej radosnej nowiny. Lady Maude była bogata i inteligentna, a do tego posiadała wiele wpływowych znajomości.

- Gdzie się podział lord Dereham? - spytała niewinnie Bel, kiedy ciotka podawała jej filiżankę z herbatą.

- Ogarnia się po tym, jak wylądował pod szezlongiem, goniąc szczura z pogrzebaczem. - Mina lady James zniechęcała do rozwijania tematu.

- Fantastyczne! Żałuję, że tego nie widziałam, a pani nie, panno Ravenhurst?

Lady Maude, uchodząca za trochę narwaną i nieprzejmująca się zbytnio konwenansami, nie przestraszyła się marsa na twarzy lady James. A może po prostu uwielbiała plotki. Bel знаła ją zbyt słabo, by to ocenić.

- Lord Dereham w niekompletnym stroju, atakujący szczura. Słowo daję, kiedy zobaczyłam, jak się wynurza spod szezlongu w samej koszuli, ściskając w ręce pogrzebacz... po prostu zaniemówiłam.

- Rzeczywiście, zabawna scena - przyznała z ociąganiem Elinor, zerkając trwożliwie najpierw na matkę, a potem na Bel. - Mam nadzieję, że jego lordowska mość nie każe nam na siebie długo czekać, bo jestem bardzo ciekawa, co nam poradzi w sprawie naszych weteranów.

- Wielebny Makepeace także ma doświadczenie na tym polu - włączyła się do rozmowy lady Wallace, wskazując na pastora, który w milczeniu pałaszował grzanekę posmarowaną masłem. - Dlatego zaproponowałam, żeby dołączył do naszej grupy.

- W istocie, madame - potwierdził pastor, odkładając na bok talerzyk. - Jak pani była łaskawa wspomnieć, posiadam doświadczenie na tym polu i chętnie pomogę, muszę jednak nadmienić, że byli żołnierze nie należą do najwdzięczniejszych obiektów dobroczynności. Większość z nich, oględnie rzecz ujmując, wykazuje ignorancję i niezależność, nawet znajdując się w fatalnym położeniu.



- Niezależność chyba należy cenić? - przerwała mu Bel. - Poza tym nie chodzi mi o działalność dobroczynną. Ci ludzie, a przynajmniej większość z nich, powinni móc samodzielnie na siebie zarabiać, kiedy już z naszą pomocą wyliżą się z ran. Chcę im zapewnić leczenie i przyzwoity dach nad głową na czas poszukiwania pracy. To nie jest dobroczynność, tylko zwykła pomoc. Bo jak można znaleźć zatrudnienie, kiedy się jest chorym, brudnym i odzianym w łaachmany?

- Brawo, lady Felsham. - Ashe zjawił się w salonie całkiem niepostrzeżenie. - Według mnie przydałoby się dla nich coś w rodzaju schroniska. Miejsce, które moglibyśmy mieć pod kontrolą, jednocześnie zapewniając im opiekę medyczną, żywność i ubrania. Moglibyśmy też ocenić, kto do jakiego zajęcia się nadaje.

- To brzmi jak idealne rozwiązanie - pochwaliła Bel z uśmiechem. Uśmiech natychmiast znikł, kiedy przyłapała na sobie wzrok Ashe'a. - Gdzie według pana moglibyśmy zorganizować takie schronisko?

- Jestem właścicielem magazynu na tyłach Oxford Street - powiedział Ashe. - Trzeba go opróżnić, przystosować do zamieszkania i tak dalej, ale jest położony w centrum miasta. Bardzo chętnie przekażę go na ten cel.

- Wspaniała propozycja, lordzie Dereham - rozpromieniła się lady Wallace. - Ja zobowiązuję się dostarczyć pościel i materace.

- A ja znam wytwórcę łóżek dla przytułków - odezwał się wielebny Makepeace, najwyraźniej niezrażony tym, że Bel nie podzielała jego wcześniejszych opinii.

- Ja zapłacę za opróżnienie i urządzenie budynku - zadeklarowała Bel. Postanowiła się skupić na pomocy dla żołnierzy, bo ta była najważniejsza; jej osobiste problemy mogły poczekać. - I za wyposażenie kuchni. Będziemy jednak potrzebować więcej osób do pomocy przy dostarczaniu niezbędnych sprzę-

tów, jedzenia i ubrań. Nie możemy wszystkiego robić sami, jeśli mamy pomagać więcej niż garstce potrzebujących.

- Warto sporządzić listę osób, które mogłyby nas wesprzeć, a ja chętnie do każdej z nich napiszę. - Elinor sięgnęła po notatnik leżący koło jej talerza. - Mogę od razu ułożyć treść takiego listu i przedstawić wam do zaakceptowania.

- Myślę, że moglibyśmy zorganizować zabawę taneczną z wykupywaniem kotylionów. - Lady Maude, która dotąd siedziała w milczeniu, nagle włączyła się do rozmowy. - Papa przygotował naszą salę balową do przyszłego sezonu i jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Sama wszystko zorganizuję, jestem dobra w organizowaniu balów. - Spojrzała zalotnie na Ashe'a. - Wesprze pan nasz bal, prawda, lordzie Dereham?

- Tylko pod warunkiem, że pani ze mną zatańczy, lady Maud - oparł z galanterią Ashe, otrzymując w zamian słodki uśmiech od Maude i chłodne spojrzenie od Bel.

Przez następną godzinę przerzucali się różnymi pomysłami, a Elinor robiła notatki, które obiecała później skopiować i przysłać każdemu z uczestników spotkania. Bel cierpiała katusze, ilekroć napotkała świdrujące spojrzenie ciotki. Ogarnął ją dziwny stan ducha: miała ochotę krzyczeć i rzucać przedmiotami, co nigdy wcześniej w życiu jej się nie zdarzało, chciała, żeby Ashe sobie poszedł i nigdy więcej nie wracał i jednocześnie pragnęła rzucić mu się w ramiona i błagać go, żeby z nią został.

Prosząc ją o rękę, nie wypowiedział tego jednego słowa, które mogłoby ją nakłonić do przyjęcia oświadczeń. Nie powiedział, że ją kocha. No tak, ale przecież nie żywił do niej tego uczucia, a był zbyt uczciwy, żeby udawać. Zresztą nawet gdyby ją kochał, co oczywiście nie wchodziło w rachubę, nie chciałaby się z nim wiązać, nie mogąc odwzajemnić jego miłości.

Część gości wreszcie sobie poszła, została tylko lady James z Elinor oraz Ashe, który rozmawiał w holu z Hedgesem, rozważając odwiedziny w kwatery weteranów.

- Belindo, czy mogę zamienić z tobą słówko? - Lady James z trzaskiem złożyła monokl i schowała do torebki. - Elinor, zaczekaj na mnie w powozie. I wychodząc, zamknij za sobą drzwi.

- Tak, mam. - Elinor spojrzała na kuzynkę tak, jakby chciała ją spytać o powody znalezienia się w niełasce.

- No i co, Belindo? Jakie stosunki łączą cię z tym człowiekiem? - Lady James rozsiadła się w ulubionym fotelu Belindy. - Tylko bardzo proszę, mów prawdę, wystarczy bajeczek wymyślanych przez Reynarda.

- Nie ma o czym mówić, ciociu. - Bel przycupnęła skromnie na krześle naprzeciwko ciotki. - Sama słyszałaś, że odrzuciłam oświadczyzny lorda Dereham. Nie mam nic więcej do dodania.

- Odrzuciłaś! Ha! A dlaczegoż miałybyś je odrzucać, niemądra dziewczyno? Ten człowiek to najlepsza partia, jaka ci się może trafić w życiu. Tytuł, pieniądze, koneksje, piękna wojenna karta i do tego całkiem przystojny.

- Nie mam ochoty powtórnie wychodzić za mąż, ciociu. Jeśli lord Dereham jeszcze raz poprosi mnie o rękę, znów mu odmówię.

Lady James przewierciła ją wzrokiem na wylot.

- Jesteście kochankami?

Bel czuła, że policzki jej płoną. Ale ostatecznie każda porządna kobieta by się zarumieniła, gdyby usłyszała takie pytanie.

- Jak już mówiłam, nie zamierzam dyskutować o takich rzeczach, ciociu.

- Hmm... - W oku ciotki Louisy pojawiło się coś na kształt szacunku. - Cóż, nie winiłabym cię, gdybyście byli kochankami, jest przystojny i z pewnością może ci dać więcej w łóżku niż ten nudziarz, którego poślubiłaś. Ale to

ryzykowna droga, lepiej wyjść za mąż. - Nie zważając na osłupienie siostrzenicy, spytała obcesowo: - Czy on cię kocha?

- Z pewnością nie. A ja nie chcę, żeby mnie kochał i nie Kocham go. - Uwierzyłam w nedorzeczną bajkę, że mogę złamać zasady, biorąc sobie kochanka, i ujdzie mi to na sucho. Cóż, teraz jestem mądrzejsza. Różowe chmury jej szczęścia były obecnie strzępkami rozwiewanymi przez wiatr.

- W takim razie uważaj na to, co robisz, moja droga. Jeśli zrujnujesz sobie reputację, nie będzie miało znaczenia, czy ze sobą sypiacie. Będziesz traktowana tak, jakby to się stało.

- Tak, ciociu Louiso.

Doceniała radę ciotki. Piękna fantazja dobiegła końca, pozostawało upewnić się, czy Ashe to rozumie.

- Gdzie jest lord Dereham? - spytała Hedgesa, odprowadziwszy lady James do wyjścia.

- U naszych weteranów, ogląda strych, milady.

- Poproś go, żeby przyszedł na dziedziniec, jak skończy. - Bel usiadła na ławce z dala od okien i czekała.

Liczyła na to, że chwila spokojnej refleksji pozwoli jej się opanować i będzie w stanie spokojnie porozmawiać z Ashe'em. Nie przypuszczała, że podczas oczekiwania jej wzburzenie jeszcze wzrośnie.

- *Belle*. - Stał przed nią i uśmiechał się trochę melancholijnie. - Mieliliśmy ciekawe popołudnie, prawda?

- Nie tak bym je określiła - odparła cierpko. - Jak mogłeś?

- Już ci mówiłem, myślałem, że jesteśmy sami. Nie widziałem cię od wielu dni... tęskniłem. Mogę usiąść?

- Nie, nie możesz. I nie chodzi mi o to, że mnie pocałowałeś. Wiesz, że mam na myśli oświadczyzny.

- Co innego mogłem zrobić? Skompromitowałem cię w obecności twojej krewnej.

- Szybko znajdujesz rozwiązania, trzeba ci przyznać! Ale jak już odmówiłam i jak ciotka usłyszała historyjkę, jak to się dałeś ponieść uczuciom... i bynajmniej w nią nie uwierzyła, po co dalej naciskałeś? Znasz mój pogląd na temat małżeństwa.

- Musisz zrozumieć, że w zaistniałych okolicznościach nie miałem wyboru. Skompromitowałem cię, więc honorowe wyjście było tylko jedno... nawet jeśli ci się nie spodobało. - Patrzył na nią lekko zmrużonymi oczyma, w których malowało się zdziwienie. Wyglądał poważniej i starzej niż tamten wesoły, skory do flirtu Ashe, którego dotąd znała.

- Ale chyba nie mówiłeś poważnie? Chyba nie chcesz się ze mną ożenić? Bo przecież mnie nie kochasz. - Ostatnie zdanie wymknęło się jej z ust, nim zdążyła je przemyśleć.

Spodziewała się nieszczerzego wyznania... albo zaprzeczenia.

- Nie wiem. - Odpowiedź ją zaskoczyła. - Nie zastanawiałem się nad tym, ale skoro pytasz... Muszę przyznać, że myśl o małżeństwie z tobą jest całkiem przyjemna.

Mimo iż wcześniej mu nie pozwoliła, bez ponownego pytania o zgodę usiadł na ławce obok niej i wziął ją za rękę.

- Tęskniłem za tobą, Bel.

- Ja też tęskniłam. - Nawet nie próbowała zaprzeczać. Serce zabiło jej mocniej, dotyk jego dłoni utrudniał skupienie. - Ale to nie znaczy, że cię kocham.

- Dlaczego moje oświadczenia aż tak cię rozgniewały? - Nachylił się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Bo przypominały emocjonalny szantaż - odpowiedziała po chwili zastanowienia.

- Rozumiem.

- Mówiłam ci, że nigdy więcej nie wyjdę za mąż. Wiedziałeś, kiedy cię prosiłam, byś został moim kochankiem, że nie chcę być dla ciebie nikim więcej.

- Tak, wiedziałem. - Zaczął delikatnie gładzić kciukiem wewnątrz jej dłoni.

- Wierzę ci.

- Przez ciebie czuję się tak, jakbym to ja była odpowiedzialna za to, że musiałeś mi się oświadczyć. Jakbym próbowała cię usidlić. Byłam głupia, w ogóle wspominając o miłości. Nie kocham cię i nie pytałam po to, by usłyszeć twoje „tak”.

- Aha. - Pieszczota stała się bardziej intensywna; Bel odruchowo zacisnęła dłoń wokół jego kciuka.

- Wolałabym, żebyś coś powiedział, nie tylko „aha”, „wiem”, „rozumiem”. - Bel słyszała irytację we własnym głosie i tak naprawdę chciała porządnej kłótni, która by oczyściła atmosferę. Potem Ashe mógłby ją wziąć w ramiona i zapewnić, że wszystko jest dobrze, mogą nadal być kochankami, bez żadnych zobowiązań, jakby nic się nie stało.

- Dobrze. - Puścił jej rękę i wstał. - Kiedy byłem w Coppergate, cały czas o tobie myślałem, wyobrażałem sobie ciebie w moim domu, zastanawiałam się, co byś powiedziała na to, czy tamto. Wyobrażałem sobie ciebie jako moją żonę. Czy to miłość? Nie wiem, bo nigdy nie byłem zakochany. Próbuję być z tobą szczerzy.

- Och...

- A skoro chcesz całej prawdy, to o małżeństwie nie chciałem myśleć. Cenię swoją niezależność i wolność, tak jak ty cenisz swoją.

- Oczywiście - potwierdziła szybko Bel.

Właśnie tego oczekiwała. Dokładnie tego.

- Czasem jednak nawiedzała mnie ta myśl, w najmniej spodziewanym momencie. Czułem się... inaczej i nie mogłem tego zrozumieć. A potem, kiedy znów trzymałem cię w ramionach, kiedy się zorientowałem, że nas przyłapano... poczułem ulgę. Nie musiałem wybierać, podejmować decyzji. Wiedziałem, że będziemy musieli się pobrać.

- Nie musimy. Ciotka Louisa ostrzegła mnie tylko, że musimy być dyskretni. Byłam zdumiona, spodziewałam się raczej, że zechce napisać do moich braci.

- Jest światową kobietą. - Ashe wzruszył ramionami. - Dobrze więc, będziemy dyskretni. Żadnych pocałunków poza sypialnią, obiecuję.

- Nie. W ogóle nie będzie więcej pocałunków. - Bel wstała; nogi tak jej się trzęsły, że musiała się przytrzymać oparcia ławki. - Musimy zakończyć nasz romans. I to natychmiast.

- Chcesz mnie ukarać za moją nieostrożność? Nie ma powodu, byśmy przestali być kochankami, Bel.

- Karzę samą siebie. Byłam naiwna i głupia. Myślałam, że mogę wcielić w życie swoje fantazje, niczym nie ryzykując. Ale ryzyko istnieje. Mówisz o miłości i niezdecydowaniu...

- Mówię o prawdziwym życiu i prawdziwych uczuciach - przerwał jej.

Patrząc na niego, Bel pomyślała, że jeszcze nigdy nie wyglądał tak przyzwoicie i poważnie.

- Rzeczywistość jest pełna niepewności i zamętu, moja miła.

- Owszem - przyznała.

- Jesteśmy prawdziwymi ludźmi, Bel. Zawsze istnieje ryzyko, że wszystko się zmieni, że to, co wydaje się bezpieczne, przestanie takie być.

- Nie chcę podejmować tego ryzyka, brawura nie leży w mojej naturze, teraz to widzę. Ashe, jestem wdzięczna...

- Nie! - Chwycił ją za ramiona i gwałtownie do siebie przyciągnął; patrzyła z bliska w jego oczy, nagle zimne jak lód. - Nie waż się być mi wdzięczna, Bel. Miałaś dość odwagi, by złożyć mi propozycję. Byliśmy ze sobą na równych prawach. Może i pokazałem ci coś, czego wcześniej nie przeżyłaś, ale ty dałaś mi przywilej swojego zaufania. Nie jesteś mi nic winna ani ja tobie. Rozumiesz?

- Tak, Ashe. - Kiedy ją puścił, zachwiała się i odruchowo położyła dłoń na jego ramieniu. Napięte mięśnie były twarde jak skała. - Czy mimo to pomożesz mi w sprawie żołnierzy?

- Batalionu Bel? - Uśmiechnął się, ale nie był to wesoły uśmiech. - Tak, oczywiście. Myślałaś, że się obrażę i wszystko rzucę? Mam wobec nich zobowiązania i dziękuję ci, że dałaś mi sposobność, by je wypełnić. Posłuchaj, Bel, jesteś na mnie zła i roztrzęsiona. Nie kończmy naszego związku teraz, ale nie spotykajmy się, sam na sam, przez... powiedzmy, dwa tygodnie. To nam pozwoli się uspokoić. Jeśli po tym czasie nadal będziesz chciała zerwania, to tak się stanie.

- Dobrze, zgadzam się. Ale musisz mi obiecać, że nie będziesz więcej mówił o miłości i małżeństwie. Nie chcę od ciebie ani jednego, ani drugiego.

- Obiecuję. - Podniósł jej dłoń do ust i ucałował. - Powiedz mi jedno, zanim się rozstaniemy. Nie odmawiasz mi z powodu jakiegoś innego mężczyzny?

- Przysięgam, że nie ma nikogo innego. Mówiłam ci przecież, że nie biorę pod uwagę powtórnego małżeństwa ani z tobą, ani z nikim innym.



## Rozdział piętnasty

Dlaczego ją o to zapytałem? Byłoby mu łatwiej przyjąć odmowę, gdyby kochała innego? Nonsens! Bel była szczerą aż do bólu, uczciwą i honorową. Od razu by mu powiedziała, gdyby był ktoś inny, nie mydliłaby mu oczu, twierdząc, że nie chce ponownie wychodzić za mąż.

Dlaczego jej odmowa tak go zabolęła? Zapewne chodziło o zranioną dumę. W Coppergate wciąż sobie powtarzał, że nie chce się jeszcze żenić. Tylko że Bel tak bardzo się różniła od innych kobiet... i od jego poprzednich kochanek. Jej niewinność budziła w nim uczucia opiekuńcze, które błędnie brał za miłość.

- Miłości chyba nie można z niczym pomylić? - rzucił lekko.

- Chyba nie. - Bel próbowała zachować podobny ton. - Z tego, co piszą w książkach, spada na człowieka jak *coup de foudre*. A tego chyba trudno nie rozpoznać.

- No tak - przyznał Ashe jakby z ulgą.

Czuł się skołowany. Zwykle mężczyzna spotykał porządną kobietę taką jak Bel, zakochiwał się w niej, brał z nią ślub i dopiero potem się z nią kochał. Fizyczne zbliżenie było najwyższym wyrazem uczuć. Między nimi nie było tych początkowych etapów, więc podświadomie mu ich brakowało. Wiedział, nie ma drugiej kobiety takiej jak Bel, i nie mógł sobie poradzić z myślą, że ich związek może się tak szybko zakończyć.

- Myślisz, że wszystko będzie dobrze? - spytał.

- Oczywiście - zapewniła, bezwiednie prostując ramiona. - Będę się czuła trochę dziwnie, jak się spotkamy w towarzystwie, ale jestem pewna, że dam sobie radę. Długo zamierzasz pozostać w mieście tym razem?

- Na tyle długo, by dopilnować przeniesienia twoich żołnierzy do nowej kwatery. Moja rodzina przyjeżdża pod koniec miesiąca, żeby zaplanować przygotowanie domu na debiut mojej najstarszej siostry w najbliższym sezonie, a potem będę je musiał zawieźć do Brighton.

Ashe miał ochotę usiąść i opowiedzieć Bel o swoich siostrach, o tym, że Frederica prawdopodobnie jest zakochana w Barringtonie, że martwi się o Katy, że ma nadzieję na sukces Anny. Musiał się jednak nauczyć trzymać od niej z daleka zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie.

- Jesteś dobrym bratem - powiedziała Bel, zmierzając w stronę wyjścia z dziedzińca. Podała mu rękę na pożegnanie. - Wybierasz się do Brighton, więc wkrótce i tak nie będziemy się widywać. Żegnaj, Ashe.

- Do widzenia, Bel. - Miał świadomość, że odtąd mogą się już spotkać jako lord Dereham i lady Belinda.

Ujął obie jej dłonie i trzymał przez dłuższą chwilę, a potem nachylił się i dotknął jej ust pocałunkiem; pragnął jeszcze raz poczuć jej słodki smak. Odsunął się, słysząc, jak Bel gwałtownie wciąga powietrze.

- Do widzenia, *ma belle*.

Wszedł po schodach i zniknął w drzwiach, nie oglądając się za siebie.

Skończyło się. Nie wierzyła, że za dwa tygodnie znowu mogliby się zejść, że znów mogliby być kochankami. W ich związku było tyle niewinności i prostoty... Wiedziała, że już nigdy nie będą w stanie ponownie jej odnaleźć.

Tak. Ich romans był zakończony. I bardzo dobrze. Udało jej się wyjść z tej przygody bez szwanku. Teraz wiedziała już wszystko o fizycznej miłości, a dzięki zdumiewającej wyrozumiałości ciotki Louisy uniknęła konsekwencji swego szaleństwa i rozstali się z Ashe'em w przyjaźni.

Miała w życiu cel, ważny i wymagający poświęcenia. Była dokładnie tym, kim chciała być: niezależną kobietą, decydującą o swoim losie. Czyż nie powinna się czuć szczęśliwa?

- Milady? - W holu Hedges wyrósł przed nią jak spod ziemi. - Wszystko w porządku?

- Jak najlepszym - zapewniła go z uśmiechem.

- Skoro tak pani twierdzi, milady... - Przez mało wyrazistą twarz lokaja przebiegł cień współczucia. Na ten widok Bel nie wiedzieć czemu poczuła bolesne ukłucie w sercu.

- Tak twierdzą - powiedziała z naciskiem. - Jak się miewają nasi żołnierze?

- Całkiem dobrze. Myślę, że bez trudu znajdziemy dalszych potrzebujących, kiedy już będziemy mieć ten budynek, który jego lordowska mość zamierza nam przekazać.

- To prawda. - Rażnym krokiem przeszła do jadalni. - Widzę, że czeka mnie mnóstwo pracy. Muszę odpisać na listy i chyba zabiorę się do tego natychmiast.

Usiadła przy biurku, wzięła do ręki terminarz i zaczęła wertować strony. Prawie od razu wpadła jej w ręce wizytówka Ashe'a, którą przysłał z pierwszymi różami. Przesunęła palcem po lekko wypukłych złoconych literach, a potem szybko podarła ją i wrzuciła do kosza pod biurkiem. Następnie sięgnęła po zaproszenia, których przez ostatnie dni zgromadził się spory stos, rozłożyła je, sięgnęła po pióro i zaczęła pisać. „Czas wrócić do świata, czas iść dalej”.

*Lady Belinda Felsham dziękuje lady Cardew za jej uprzejme...*

Łza spadła na ostatnie słowo, rozpuściła atrament i wsiąkła w papier. Bel wyjęła chusteczkę i głośno wydmuchała nos. Lady Belinda...

Wieczorek muzyczny u lady Cardew udał się znakomicie. Belinda krążyła wśród gości, wymieniając plotki do wtóru kameralnej muzyki. Kiedy tylko mogła, kierowała rozmowę na swoich żołnierzy i ich potrzeby, skwapliwie przyjmując każdą obietnicę pomocy.

- Bardzo dziękuję, lordzie Stonehaven - powiedziała do sędziwego para, który zobowiązał się co tydzień łożyć pokaźną sumę na wyżywienie i opał. - Powinnam była wiedzieć, że nie zawiodę się na pańskiej hojności - uśmiechnęła się promiennie, wiedząc, że odrobiną niewinnego flirtu czasem można zyskać przychylność dla szczytnego celu.

Odwróciwszy się, stanęła oko w oko z Patrickiem Layne.

- O, pan Layne, dobry wieczór. Dawno się nie widzieliśmy. Czy panna Layne też tu jest? - Bel poczuła się winna, że zajęta Ashe'em zaniedbała kontakty z przyjaciółmi.

- Moja siostra rozmawia z pewnym kompozytorem na temat libretta. - Patrick Layne westchnął. - Mogę spytać, czyja to wina, że ostatnio się nie widywaliśmy, lady Belindo? W ogóle się pani nie pokazywała.

- Mam nowe zajęcie, pozwoli pan, że mu o nim opowiem? - Wzięła go pod rękę i pozwoliła się zaprowadzić do bufetu z szampanem.

Patrick słuchał cierpliwie opowieści o weteranach i powziętych w związku z nimi przedsięwzięciach. Bel odniosła wrażenie, że jest szczerze zainteresowany tematem. Kiedy gestykulując, opisała mu wielki magazyn подарowany przez Ashe'a, powiedział:

- Wnioskuje, że będzie pani potrzebowała drewna, żeby podzielić tę przestrzeń na mniejsze pomieszczenia. Pozwoli pani, że dostarczę go nieodpłatnie?

- Wspaniale! - ucieszyła się. - Może zechce pan wstąpić do naszego komitetu?

- Będę zaszczycony. - Wziął od lokaja dwa kieliszki, jeden podał Bel, a drugim wznosił toast. - Za pani misję i za ciężko pracujących członków komitetu.

- Skąd pan wie, że ciężko pracują, panie Layne? - spytała ze śmiechem.

- Bo coś mi mówi, że umie pani dopinać celu, lady Belindo.

- Żartuje pan sobie ze mnie, panie Layne. A ja się obawiam, że brak mi zdecydowania. - Ale byłam zdecydowana, kiedy pragnęłam Ashe'a. Teraz, kiedy było już po wszystkim, nie mogła uwierzyć w swoją zuchwałość. Zachowywała się wówczas, jakby Ashe rzucił na nią jakiś urok. Była ciekawa, kiedy ten urok przestanie działać.

- Chciałbym, żeby mówiła mi pani po imieniu - poprosił Patrick Layne. Był taki miły, doskonale się nadawał dla Elinor. - Jestem pewien, że walczyłaby pani niczym Joanna d'Arc o słuszną sprawę, nawet jeśli nie dba pani o zaspokojenie własnych pragnień.

Uwaga była całkiem niewinna, a mimo to Bel poczuła, że się rumieni. Gdybyż ten młody człowiek wiedział, z jakim zapałem zaspokajała własne pragnienia...

- Patricku, ja... - Bel wsparła się na jego ramieniu, nagle oniemiała.

- Dobry wieczór, lady Belindo. Panie Layne. - To był Ashe. - Bawi pan w mieście, Layne?

- Jak widać, Reynard. Na usługach lady Belindy.

- Pan Layne zechciał przekazać materiał na przebudowę magazynu - wtrąciła pośpiesznie Bel, bojąc się, że następną wypowiedzią Patrick jeszcze pogorszy sprawę. - Zaprosiłam go do naszego komitetu.

- Zatem będziemy się częściej widywać. - Ashe wygłosił uwagę z uśmiechem, a mimo to zabrzmiała jak groźba.

- Nie mogę się doczekać - odparł Patrick podobnym tonem.

Bel odniosła wrażenie, że jest powodem wzajemnej niechęci tych dwóch mężczyzn, co wydało jej się dziwne, bo przecież nie była już kochanką Ashe'a, a Patrick w ogóle nie miał do niej żadnych praw.

- Panna Layne też tu jest - powiedziała, rozpaczliwie próbując zmienić temat. - Lord Dereham podziwia twórczość pańskiej siostry - zwróciła się do Patricka. - W tej chwili panna Layne rozmawia o librecie.

- Poszukam jej - oznajmił Ashe i skłoniwszy się, odszedł.

- Moja kuzynka, panna Ravenhurst, także należy do komitetu - powiedziała Bel, starając się oderwać wzrok od szerokich ramion Ashe'a i nie myśleć o tym, jak wspaniale wyglądają bez ubrania. - Poznał pan ją jakiś czas temu w parku.

- Rzeczywiście. Chętnie znów ją zobaczę. - Wydawał się zadowolony z perspektywy spotkania Elinor, co bardzo uradowało Bel.

Postanowiła dopilnować, by przy ich następnym spotkaniu Elinor miała na sobie jedną z nowych sukien. Naturalny urok i inteligencja kuzynki stanowiły poważne atuty, jednakże Bel obawiała się, że mogą nie zostać dostrzeżone pod odstręczająco burym strojem.

- Dobrze się pan miewa, lordzie Dereham? - Ashe spojrział na pannę Layne ze zdumieniem; niezamężne damy raczej nie zadawały takich pytań dżentelmenom stanu wolnego. Poetka uśmiechnęła się do niego po macierzyńsku i splótłszy dłonie w talii eleganckiej sukni, czekała na odpowiedź.

- Całkiem dobrze, dziękuję. Dlaczego pani pyta? Czyżbym źle wyglądał?

- Wygląda pan, jakby nie sypiał zbyt dobrze. Proszę mi wybaczyć, ale jeśli mężczyzna ma cienie pod oczami i wdaje się w rozmowę o poezji ze starą panną o dziesięć lat od siebie starszą, podczas gdy wokół roi się od pięknych dziewcząt, zachodzi uzasadniona obawa, że biedak jest cierpiący.

Ashe'owi przyszło do głowy, że panna Layne świetnie by się dogadywała z jego matką.

- Po prostu ostatnio prowadziłem wyczerpujący tryb życia, stąd cienie pod oczami. A co do dziewcząt, musi mi pani uwierzyć, że wolę inteligentną rozmowę od chichotu i banalnej paplaniny.

- Pochlebia mi pan, lordzie Dereham, ale z pewnością jest tu przynajmniej jedna młoda dama, której nie brakuje inteligencji. - Panna Layne ruchem głowy wskazała na podium dla orkiestry, przy którym stał jej brat, słuchający z pochyloną głową tego, co mówiła Bel.

Ashe po raz drugi tego wieczoru musiał sobie przypomnieć, że nie ma prawa być zazdrosnym o Bel, a Patrick Layne jest przyzwoitym człowiekiem i mogłaby trafić znacznie gorzej, wybierając zarówno przyjaciela, jak i kochankę. Nie zmieniało to faktu, że miał ochotę pchnąć go nożem.

- Lady Belinda najwyraźniej dobrze się bawi z obecnym rozmówcą. - Starł się utrzymać lekki ton, ale kiedy Bel położyła dłoń na ramieniu Layne'a, uśmiech zamarł Ashe'owi na ustach.

- Tak, tworzą uroczą parę - przyznała panna Layne. - Wydaje mi się jednak, że lady Belinda jest zbyt skomplikowana dla mojego brata.

- Skomplikowana? Bel?

- O Boże...

Panna Layne udała, że nie usłyszała zdrobnienia, które wymknęło mu się z ust.

- Patrick potrzebuje miłej dziewczyny, która będzie go podziwiała. Jest zacy i prostoduszny. Do lady Belindy pasowałby mężczyzna, który pragnie partnerki i pomoże jej rozwinać skrzydła.

- Skrzydła? - Ashe obserwował kątem oka, jak Belinda prowadzi rozba-  
wionego Patricka Layne do grupy trzech starszych dam. Podejrzewał, że wyko-

rzystuje obecność swego atrakcyjnego sprzymierzeńca, by wymusić obietnicę dotacji na szczytny cel.

- Stoi już mocno na nogach, ale nie sędzę, by to jej wystarczyło do szczęścia - stwierdziła z zadumą poetka. - W ciągu ostatnich tygodni zaszła w niej jakaś zmiana. Według mnie prawdziwa Belinda Cambourn pokazuje nam się po raz pierwszy od czasu, jak wyszła za mąż. - Wyjęła notesik i coś zanotowała. Ashe wykorzystał moment i gdy obgryzając koniec ołówka zapatrzyła się w sufit, szybko zerknął jej przez ramię. *Skrzydła. Ptaki? Nie, zbyt wyświechtane. Ikar? Spada czy się wznosi?*

Ashe miał nieprzyjemne wrażenie, że po raz pierwszy w życiu wyszedł z romansu pogruchotany. Był Ikarem, miał stopione skrzydła, natomiast Bel wznosiła się coraz wyżej, rozpościerając barwne pióra w blasku słońca.

Dlaczego tak bardzo cierpiał? Chyba się w niej nie zakochał. Wiedziałby przecież, gdyby tak się stało. Do diabła. Ależ matka miałaby uciechę, gdyby go teraz widziała: jej zwykle niewzruszony syn rozmyślający w kółko o kobiecie, w dodatku o kobiecie, która wcale nie chciała wyjść za szacownego lorda Derehama. Doszedł do wniosku, że potrzebuje jakiejś niewyszukanej rozrywki, żeby poprawić sobie nastrój.

- Reynard! - Odwrócił się powoli, z niedowierzaniem. A jednak...

- Mama. I Anna. Miło was widzieć - skłamał. - Ale skąd się tu wzięłyście. Nie spodziewałem się was wcześniej niż za jakieś dwa tygodnie.

- Zaczęłam pisać do znajomych, zapowiadając nasz przyjazd pod koniec miesiąca, na co Letycja Cardew wyraziła żal, że przegapimy jej wieczór muzyczny, no i jesteśmy. Nie chciałam ci sprawiać kłopotu z przygotowaniem domu, więc przywiozłam ze sobą większość służby. - Lady Dereham uśmiechnęła się ciepło do syna. - Mogę spytać, o czym myślałeś, stojąc jak słup soli?

O miłości, seksie i małżeństwie.



- O poezji. - Żałował, że zanikł już średniowieczny zwyczaj odsyłania wtrącających się matek do klasztoru, wykorzystany skwapliwie przez kilku jego przodków. - Czy mogę pani przedstawić moją matkę i siostrę, panno Layne?

Poetka oderwała wzrok od cherubinów wymalowanych na suficie i przywitała się z rodziną Ashe'a.

- Uwielbiam pani wiersze! - wykrzyknęła z entuzjazmem Anna. - Mogę spytać, co panią zainspirowało do napisania „Żywopłotów i pastwiska”?

- Przywiozłam tu twoją siostrę, żeby się nauczyła rozmawiać z młodymi mężczyznami w towarzystwie, zanim rozpocznie się sezon - westchnęła lady Dereham do syna, odciągając go na bok. - Nie po to, żeby rozprawiała o poezji z jakimiś starymi pannami! - dodała szeptem.

- Panna Layne ma przystojnego młodszego brata - oznajmił kwaśnym tonem Ashe.

- Doskonale. - Matka rozpostarła wachlarz i zaczęła nim energicznie wymachiwać. - Nie będziesz musiał nam towarzyszyć przez te parę tygodni w mieście. Mam zamiar bywać jedynie na kameralnych imprezach, na które będę mogła zabrać Anne i może Frederikę. Żadnych wielkich przyjęć i balów, naturalnie.

- I tak ich nie ma o tej porze roku, jakkolwiek w mieście jest więcej ludzi niż zazwyczaj. - Ashe rozejrzał się, wypatrując Bel. Dostrzegł ją rozmawiającą z jakimś oficerem w mundurze. Poprowadził matkę w przeciwnym kierunku, w stronę bufetu. - Frederikę też?

- Owszem - potwierdziła chłodno lady Dereham. - Uznałam, że lepiej będzie ją zabrać z Coppergate i odwrócić jej uwagę.

- Od czego?

- Od zarządcy twojego majątku! Jeszcze trochę, a zaczęłyby sobie wyobrażać, że jest zakochana w tym człowieku.

- Co w tym złego? - spytał zaczepnie Ashe, pełen zrozumienia dla młodszej siostry.

- Chcę, żeby dobrze wyszła za mąż.

- A ja chcę, żeby była szczęśliwa.

- Słowo daję, synu, gdybym cię tak dobrze nie znała, mogłabym pomyśleć, że cierpisz z powodu złamanego serca i chodzą ci po głowie jakieś romantyczne mrzonki o małżeństwach z miłości.

- Bynajmniej. Ale zaczynam ciepłej myśleć o kuzynie Adrianie jako moim dziedzicu, skoro znalezienie sobie żony ma być oparte na czystej kalkulacji. Odwiedzę was jutro, mamó. Teraz mam coś do załatwienia.

Podszedł do gospodyni, żeby się usprawiedliwić i pożegnać. Miał zamiar spędzić resztę wieczoru w jednym z przybytków swobodnych uciech i szampantem wyplukać sobie z głowy wszystkie romantyczne bzdury.

## *Rozdział szesnasty*

Spacerując między kępami wiązów w Green Park, Bel doszła do wniosku, że nigdy wcześniej nie była świadoma własnego ciała. Naprawdę świadoma. Myślała o nim tylko wtedy, gdy źle się czuła, obtarły ją nowe buty albo za dużo zjadła. Teraz było zupełnie inaczej; była o wiele bardziej wrażliwa na upał i zimno, na dotyk różnych rodzajów materiałów, na promienie słońca padające na skórę i wiatr na policzkach.

Czuła potrzebę zdjęcia rękawiczek, żeby pogłodzić szorstką korę mijanego drzewa czy pogłaskać kota po jedwabistej sierści. Wieczorem przed snem długo szczytkowała włosy.

Podobnie było z zapachami, nawet tymi niezbyt przyjemnymi: czuła je znacznie intensywniej niż kiedyś. Po prawie dziesięciu dniach przestała się nad sobą rozczulać, myśląc o Ashe'u. Nie zapamiętywała już najdrobniejszych nowin, czy niemądrych pomysłów, żeby mu o nich powiedzieć. Potrafiła już nawet przeżyć cały dzień - pod warunkiem, że go nie spotkała - bez poczucia dojmującej pustki, którą tylko on mógłby wypełnić.

Nie umiała jednak przestać o nim śnić. Te sny, czasem gorące i burzliwe, czasem spokojne i czułe, sprawiały, że budziła się rano z tęsknoty. Codzienne zajęcia pomagały jej nad sobą panować, ale nie opuszczało jej to poczucie wyostrenia zmysłów, będące spuścizną po Ashe'u.

Nie powiedziała mu tego, ale była pewna, że już nigdy się nie zejdą. Szaleńczy poryw odwagi, który nią powodował, gdy mu składała propozycję romansu, rozwiązał się bez śladu. A może po prostu wziął w niej górę zdrowy rozsądek i wewnętrzny nakaz przyzwoitości? Podjąwszy słuszną decyzję, powinna czuć ulgę, a zamiast niej miała bolesne poczucie straty.

Spacerując, spoglądała na trawę, gęstą i miękką w zacienionych miejscach, pachnącą świeżością mimo rosnącego upału. Nie patrzyła przed siebie, podobnie jak dziecko, które szło z naprzeciwka tyłem tą samą ścieżką, pokrzykując do idących za nim w pewnej odległości dwóch kobiet. Nastąpiło bolesne zderzenie i dziewczynka wylądowała na ziemi.

- Nic ci się nie stało? - spytała z troską Bel, wyciągając ku niej dłoń. Spod grzywy jasnych loków patrzyły na nią oczy o barwie oceanu, a zaraz potem dziecięce usta wygięły się w uśmiechu, który zaparł Bel dech w piersi. Miała przed sobą małą, żeńską kopię Ashe'a. Jego córkę? Kiedy dziewczynka chwyciła jej dłoń i wstała, Bel zorientowała się, że musi mieć około dwunastu lat, czyli trochę za dużo... o ile lord Dereham nie zaczął grzeszyć w zatrważająco młodym wieku. Dziewczynka musiała być jego siostrą.

- Dziękuję, madame. I bardzo przepraszam. - Dygnęła grzecznie. - Nie patrzyłam, gdzie idę. Mam nadzieję, że nic się pani przeze mnie nie stało. - Nie zwracając uwagi na biegnące w ich stronę dwie młode kobiety, dodała: - Jestem Katherine Reynard.

- Katy! - Wyższa z opiekunek zwróciła się do Bel: - Madame, przepraszam za moją nieznośną siostrę. Mam nadzieję, że nie zrobiła pani krzywdy i nie zniszczyła sukni? - Mimo ściągniętych niepokojem rysów druga siostra także była bardzo ładna.

- Nic mi się nie stało, ale panna Katherine mogła się nabawić paru siniaków. Żadna z nas nie patrzyła przed siebie. - Trzecia z dziewcząt uśmiechnęła się nieśmiało. Nie była piękną, ale miała w sobie coś ujmującego. - Jestem lady Belinda Felsham - przedstawiła się Bel, wyciągając rękę do najstarszej z sióstr.

Ashe niewiele jej opowiadał o swojej rodzinie, a ona nie pytała, nie chcąc, by uznał, że wykazuje nadmierną ciekawość jego osobistymi sprawami. Pamiętała jedynie, że wspomniał, iż ma trzy siostry.

- Ja jestem Anna Reynard, to moja siostra Frederica, a Katy już pani poznała. Jesteśmy w Londynie już od tygodnia, a cały czas zachowujemy się jak wiejskie dzikuski.

- Domyślam się, że są panie krewnymi lorda Derehama - zagadnęła Bel, ruszając wraz z nimi spacerowym krokiem. Rączka Katy spoczęła w mocnym uścisku dłoni Frederiki.

- Zna pani naszego brata?

- Należymy do jednego komitetu prowadzącego działalność dobroczynną - wyjaśniła Bel. Mówienie o Ashe'u było niebezpiecznie przyjemne. - Wymyśliłam plan pomocy medycznej i tymczasowego zakwaterowania dla żołnierzy, którzy ranni wrócili z kontynentu, a nie mają własnych rodzin.

- Ach tak, rozumiem, że Ashe chętnie pomaga przy czymś takim - powiedziała Anna z powagą. - A co się z nimi dzieje, kiedy przestają korzystać z waszej opieki?

- Paru lżej rannych i posiadających odpowiednie umiejętności wróciło już do pracy, ale nie wiem, co będzie z resztą. - To było największe zmartwienie. Bel nie chciała zmuszać swoich podopiecznych do podejmowania byle jakich, tymczasowych zajęć. - Kiedy już odzyskają siły, z pewnością sami będą chcieli zadbać o swoją przyszłość.

- Ashe zawsze mówił, że armia jest jak rodzina - wtrąciła Anna. - Nie mógł się przestawić, choć wracał do własnego domu, więc tym ludziom z pewnością będzie jeszcze trudniej.

- Ashe jest teraz całkiem inny - odezwała się Katy. - Mama mówi, że nie wie, co mu się stało.

- Katy! - Skarciły ją równocześnie obie siostry.

Bel podejrzewała, że ten podwójny okrzyk rozlega się bardzo często.

- Ale to prawda - upierała się Katy. - Wystarczy popatrzeć, jak łączy Frederikę z panem Barringtonem. - Frederica spłoszyła.

- Katy! - rzuciła ostro Anna. - Małe dziewczynki z wielkimi oczami i uszami i jeszcze większymi buziami siedzą w domu i nie wychodzą między dorosłych. Nie powinnaś mówić o takich rzeczach. - Uśmiechnęła się przepraszająco do Bel. - Może pani też ma młodszych braci lub siostry, lady Belindo?

- Nie, nie mam - odpowiedziała Bel ze śmiechem. - Ale uważam szczerść małej Katy za ożywczą, panno Reynard.

- O tak, jest przerażająco szczerą!

- Długo planują panie pozostać w Londynie? - spytała Bel. Ashe wspominał o przygotowaniu domu na przyjazd krewnych, a potem o towarzyszeniu im do Brighton, ale była wtedy tak wzburzona, że nie zapamiętała szczegółów.

- Za mniej więcej tydzień jedziemy z bratem do Brighton, A wcześniej mama zdecyduje, co należy zrobić w domu. Wie pani, w najbliższym sezonie będę miała debiut.

- Jeszcze go pani nie miała? - zdziwiła się Bel. Przez swe poważne usposobienie panna Reynard wydawała się starsza, niż była w istocie.

- Mama pozwala Frederice i mnie chodzić na małe przyjęcia - wyjaśniła Anna.

- W takim razie mogłybyście przyjść na piknik, który organizuję w następny wtorek, żeby zbierać pieniądze dla żołnierzy - zaproponowała Bel. Miała ochotę zobaczyć się znowu z siostrami Ashe'a. - Wasz brat tam będzie, więc mam nadzieję, że matka wam pozwoli. Zresztą lord Dereham pewnie sam zaplanował, że was zabierze. Pannie Katherine na pewno też się spodoba. - Wyszły z cienia; Bel rozłożyła parasolkę. - Wierzę, że będzie ładna pogoda, a lady

Rushbrook udostępnia swój ogród nieopodal Richmond. Jest tam jezioro, ścieżki kwiatowe, plac do gry w kręgle i tarcze do strzelania z łuku.

Siostry przyjęły zaproszenie z entuzjazmem. Anna miała przy sobie kilka londyńskich wizytówek matki i jedną wręczyła Bel, która w zamian dała jej swoją. Rozstały się w nastroju przyjemnego oczekiwania na piknik.

Patrząc, jak się oddalają w stronę Piccadily, Bel pomyślała, że są bardzo miłe i związane ze sobą uczuciowo. I wszystkie były podobne do Ashe'a, zwłaszcza mała Katy, która puściwszy rękę siostry, znów w podskokach wyrywała się do przodu. Bel pomyślała tęsknie, że chciałaby mieć takie dziecko, dziecko Ashe'a.

- Dzieci? - powiedziała na głos, przyciągając nieufne spojrzenie guwer-nantki, przechodzącej alejką z dwójką małych podopiecznych u boku. Dzieci? Nigdy nie wyobrażała sobie, że mogłaby mieć dzieci z Henrym, a teraz nagle zapragnęła potomstwa z Ashe'em. Doprawdy, dziwne pragnienie u kobiety, która nie miała życzenia ponownie wychodzić za mąż.

Zarumieniona ze wstydu Bel zawróciła i ruszyła szybko w stronę sklepu Fortnuma, gdzie chciała zamówić długą listę produktów na piknik.

Ashe, poirytowany konfliktem między agentem, który uważał, że trzeba koniecznie wytepić korniki w boazerii sali balowej przed dalszymi pracami remontowymi, a matką, która upierała się, że chce zobaczyć efekt przemalowania seledynowego drewna na kremowo, zanim wyjedzie do Brighton, niezbyt się ucieszył, kiedy wszystkie trzy siostry obiegły go, żeby porozmawiać o pikniku lady Felsham.

- Chwileczkę... Katy, ubrudzisz sobie sukienkę farbą, jeśli będziesz tam stała... mamu, naprawdę uważam, że trzeba posłuchać Grimballa i najpierw wytepić korniki. Tak, wiem, o kim mówisz, Frederico. Oczywiście, że dobro-

czynna akcja lady Felsham zasługuje na wsparcie, ale wątpię, żeby mama chciała... Katy!

W czasie gdy ratował malarza przed swoją najmłodszą siostrą, a potem wysyłał ją na górę, żeby się przebrała, Anna z Frederiką zdążyły opowiedzieć matce o spotkaniu z lady Belindą i o planowanym pikniku.

- Dlaczego założyłeś, że nie będę chciała pójść, Reynard? - wyraziła zdziwienie lady Dereham. - Dziękuję, panie Grimball, skoro pan uważa, że tak będzie najlepiej, proszę najpierw oczyścić drewno, a potem pomalować tak, jak ustaliliśmy. - Lady Dereham wróciła do bocznego saloniku, który miał być uporządkowany jako pierwszy. - Chodzi o obecną lady Felsham czy o wdowę po Henrym, zmarłym wicehrabim?

- O wdowę - odparł zwięźle Ashe, udając, że jest pochłonięty oglądaniem próbek materiałów na zasłony.

- W ogóle jej nie pamiętam. Lord Felsham był znany ze swego nieznośnego nudziarstwa. Kiedyś opowiadał mi o rynnach przez pełne dwadzieścia minut, a nie mogłam uciec, bo działo się to podczas audiencji na dworze i stojąc rzędem, czekaliśmy, aż zostaniemy przedstawieni.

- Felsham przeziębził się, sprawdzając działanie rynien, i od tego umarł.

- Ma się ochotę powiedzieć, że to była kara boska. Biedaczysko! Nie dziwi mnie, że wdowa zajęła się dobroczynnością, musi to uważać za wielką atrakcję po życiu z Henrym Cambournem.

- Jest bardzo kompetentna - powiedział Ashe całkowicie beznamiętnym tonem.

- Jest bardzo ładna - wtrąciła Frederica. - I miała na sobie taką piękną suknię! Muszę zajrzeć do *La Belle Assemblée*, bo widziałam tam podobną. Miała różowy atlasowy zakieciak i różową apaszkę obszywaną na brzegach koronką. A spódnica była z białego muślinu, mamó, z marszczeniami u dołu.



- Bardzo gustownie - pochwaliła matka, zerkając przy tym podejrzliwie na syna. Najwyraźniej przesadził z udawaniem obojętności. - Jakoś bez przekonania chwalisz tę damę, synu. Bardzo kompetentna, tylko tyle masz do powiedzenia?

- Nie zwracam uwagi na modę. - Podeszedł do okna, żeby obejrzeć próbkę w lepszym świetle.

- Ale zwykle zauważasz ładne kobiety - rzuciła zaczepnie Frederica. - Ja w każdym razie bardzo się cieszę na piknik.

- To bardzo ładnie, że zaprosiłaś moją rodzinę na piknik. - Ashe przyjął od Bel filiżankę herbaty w jej salonie, wykorzystując okazję, by porozmawiać z nią z dala od reszty komitetu.

- Gdybym wiedziała, że twoja matka i siostry są już w Londynie, wcześniej wysłałabym im swoją wizytówkę. Zresztą jako członek komitetu zapewne sam powiedziałeś im o naszych planach. - Ashe pomyślał, że tego popołudnia Bel wygląda szczególnie pięknie. Częstowała herbatą członków komitetu, którzy stali w grupkach, rozmawiając przed zgromadzeniem się wokół stołu i podjęciem ostatecznych ustaleń w sprawie pikniku.

- Czy to kreacja z pracowni pani Bell? - spytał znienacka. Bel odwróciła się od tacy z herbatą, rąbek sukni zaszeleścił, ocierając się o kostki Ashe'a. Suknia utrzymana była w popularnym elżbietańskim stylu, z obfitymi muślinowymi rękawami wychodzącymi z jedwabnego gorsetu w niebieskie paski, wykończonego u góry zgrabną stójką. Pojedynczy sznur pereł podkreślał aksamitną gładkość skóry na szyi Bel. Ashe pomyślał z żalem, że jeszcze tak niedawno mógł dotykać ustami bijącego tam pulsu...

- Tak się składa, że owszem. Dziwne... nie przypuszczałam, że jesteś znawcą damskiej mody. - Sięgnęła po łyżeczkę, a potem zmierzyła go chłod-

nym spojrzeniem. - Ale może jestem w błędzie, może często dokonujesz tam zakupów.

- Nie. - To nie była prawda. Zanim związał się z Bel, często towarzyszył swojej ostatniej kochance przy wyborze nowych sukien. Wiedział, gdzie mają swoje pracownie najlepsze londyńskie modniarki i do których powinny się udać jego siostry... a które omijać. Przypomniawszy sobie wieczór po przyjęciu u lady Cardew.

Wziął wówczas dorożkę i udał się prosto do jednego z ze znanych sobie domów uciech. Był już w połowie schodów do wejścia, gdy nagle się zatrzymał. Nie mógł tam wejść. Wspomnienie budzącej się nieśmiało namiętności Bel, zapachu jej skóry i ufego oddania tak mocno kontrastowały z płatnymi przyjemnościami czekającymi za progiem, który miał przestąpić, że poczuł wręcz fizyczną odrazę.

Wkrótce potem ochłonął wprowadzając do siebie do rozumu, ale i tak przez dwie godziny chodził bez celu po rozgrzanych ciemnych ulicach, nim wreszcie wylądował we własnym łóżku i spędził w nim długą, bezsenność.

- Moje siostry czytają *La Belle Assemblée* - wyjaśnił i wyraz podejrzliwości natychmiast zniknął z twarzy Bel. - I wszystkie inne żurnale poświęcone modzie. Musiałem wysłuchać opisu twojej eleganckiej sukni spacerowej po tym, jak się spotkałyście w parku.

- Są urocze. Szczególnie przypadła mi do gustu panna Katherine.

Ashe skrzywił się mimowolnie.

- Ona mnie przeraża. Wyobrażasz sobie, jaki koszmar przeżyje jej biedna przyzwoitka po debiucie? Współczuję też tym młodym mężczyznom. Chociaż Katy postanowiła wyjść za księcia, więc większość z nich będzie bezpieczna.

Słuchając śmiechu Bel, poczuł, jak przeszywa go dreszcz pożądania. Za każdym razem, gdy już zaczynał wierzyć, że mogą być tylko przyjaciółmi i że z czasem zacznie się interesować innymi kobietami, Bel mówiła lub robiła coś takiego, że miał ochotę porwać ją w ramiona i natychmiast się z nią kochać.

Szybkie ogarnięcie wzrokiem salonu przypomniało mu scenę, jaka rozegrała się ostatnim razem, gdy dał się ponieść emocjom, i podziałało otrzeźwiająco. Na wszelki wypadek jednak przyjął drugą filiżankę herbaty i zabierając ją ze sobą, przeszedł do lady James, która zajęła już miejsce u szczytu stołu. Sam pomysł działalności wyszedł wprawdzie od jej siostrzenicy, ale nikt nie mógł mieć wątpliwości, kto przewodniczy spotkaniom komitetu.

- Dziękuję, Reynard. - Przeszyła go wzrokiem. - Słyszałam, że pańska matka jest w mieście.

- Owszem, madame.

- Spotkam się z nią pojutrze na tym nedorzecznym pikniku organizowanym przez Bel. Nie rozmawiałyśmy całe wieki. Przywiozła ze sobą pańskie siostry?

- Tak, madame.

Lady James rozciągnęła wąskie wargi w złośliwym uśmiešku.

- Nie zwiedzie mnie pan tym swoim grzecznym: Tak, madame. Chętnie by mnie pan posłał do diabła, prawda?

- Zgadza się, madame - odpowiedział Ashe z niewzruszonym wyrazem twarzy, po czym udał się na drugi koniec stołu, by omówić z Patrickiem Layne postęp prac budowlanych w magazynie. Odprowadził go głośny chichot lady James. Była jędzą, ale lojalną, wspierała swoją siostrzenicę i nie puściła pary z ust na temat sceny, jaką widziała w tym pokoju.

- Trzeba zatrudnić drugiego stolarza? - spytał swego rozmówcę. Współpraca z Layne'em pomagała wyzbyć się niechęci, jaką zaczął do niego żywić.

Pomagał też fakt, że od dawna nie widział Bel i Layne'a w sytuacji towarzyskiej. Nie był pewien, czy jego tolerancja wytrzymałaby próbę widoku Bel tańczącej walca w objęciach Layne'a.

- Nie. Wszystko będzie gotowe pod koniec tygodnia. Niektórzy z weteranów pomagają... mam nawet nadzieję, że dostaną propozycje pracy od rzemieślników, których zatrudniamy.

- Uwaga, panie i panowie! - Lady James zadzwoniła łyżeczką o filiżankę.

- Proszę zajmować miejsca, czas zacząć posiedzenie.

- Zatem, jak sami państwo widzą, sytuacja finansowa jest bardzo dobra - zakończył wielebny Makepeace, pełniący funkcję skarbnika, zamykając księgę rachunkową. Wokół stołu rozległy się pomruki aprobaty, przerwane donośnym głosem lady James.

- W takim razie na dzisiaj kończymy.

Bel wstała, zadowolona, że może wreszcie swobodnie się ruszać po godzinie siedzenia naprzeciw Ashe'a. Przez większość tego czasu nie wiedziała, co zrobić z oczami, bo ilekroć spojrzała na niego ponad stołem, wpatrywał się w nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie wypadało się rozglądać dookoła, więc wbiła wzrok w kartkę papieru, na której wszystko pilnie notowała, zupełnie niepotrzebnie, ponieważ Elinor jak zwykle sporządzała z zebrania dokładny raport.

Kiedy reszta komitetu rozproszyła się w małe grupki, Ashe jak spod ziemi wyrósł u jej boku.

- Mogę jutro przyjechać i zabrać cię moim powozem do Richmond? Moje siostry nie mogą się doczekać spotkania z tobą, a matka ucieszy się, że może cię poznać.

- Ja... - Jak mógł jej proponować coś takiego? Była pewna że widząc ich razem, wszyscy natychmiast się domyślą, że byli kochankami. Tymczasem

Ashe'owi wyraźnie odpowiadała perspektywa spędzenia z nią godziny pod bezwątpeńia przenikliwym okiem jego matki. - Dziękuję, ale wybieram się tam wcześniej z panną Ravenhurst, żeby pomóc w organizacji.

- Oczywiście, powinienem był wiedzieć. W takim razie zobaczymy się na miejscu.

- Do widzenia, lady Belindo. Przyjadę po panią o ósmej, tak jak się umawialiśmy, dobrze? - powiedział Patrick Layne od progu.

- Tak, dziękuję... - Ashe, stojący za jego plecami uniósł pytająco brwi, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł. Bel poczuła, że się rumieni, jakby ją przyłapano na kłamstwie. Ashe musiał być przekonany, że użyła kuzynki jako wymówki. - To bardzo miło z pana strony, że zabierze nas pan wszystkie trzy - powiedziała głośno, ale Ashe był już w holu i nie mógł jej słyszeć.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Patrick pożegnał się i zniknął, zostawiając Bel z Elinor i jej matką.

- Ten młody człowiek się do ciebie zaleca, Belindo? - spytała bez ogródek lady James.

- Pan Layne? Wielkie nieba, nie! - Wydawało się jej, że Patrick okazuje subtelne zainteresowanie Elinor, jakkolwiek wolałaby, żeby wykazał w tej kwestii więcej śmiałości. Tak czy inaczej, propozycja, że zabierze lady James, stanowiła niezbity dowód oddania.

Elinor, jeszcze bardziej powściągliwa niż zwykle, zebrała swoje notatki i stała, cierpliwie czekając na matkę. Gdybyż tak zechciała okazać choć trochę życzliwości temu młodemu człowiekowi! Bel pocieszała się, że przynajmniej udało jej się zmusić kuzynkę do zakupu ładnej sukni. Pożyczyła jej też swoją najlepszą parasolkę i byłaby doprawdy rozczarowana, gdyby nie zdołała zaaranżować jakiejś romantycznej sceny pomiędzy tymi dwojgiem.

Gdyby jej się to udało, Ashe przestałby podejrzewać, że sama jest zainteresowana Patrickiem. A tak w ogóle, nie miał prawa mieć jej tego za złe, tak jak ona nie miałaby prawa mieć jemu za złe, gdyby go zobaczyła flirtującego z jakąś ładną dziewczyną.

## *Rozdział siedemnasty*

Chcąc odetchnąć od rozmyślań, Bel wybrała się do kwatery weteranów nad stajnię. Tam przynajmniej mogła liczyć na spokojną rozmowę, bez emocji i nieporozumień.

Jem Brown siedział na skrzynce z otwartą „Morning Chronicle” w rękach; obok niego na ziemi spoczywała kula.

- Dzień dobry, milady. - Odłożył gazetę i sięgnął po kulę.

- Nie, proszę, nie wstawaj. - Wskazała na gazetę. - Piszą dziś coś ciekawego? Jeszcze nie miałam okazji przeczytać.

- Nie czytałem wiadomości, madame. Przeglądałem ogłoszenia.

- O pracy? - Jeden ze stajennych przyniósł drewniane krzesło, wytarł je kraciatą chusteczką do nosa i postawił obok Bel. Podziękowała i usiadła.

- W pewnym sensie, madame. Chodzi o to... - Brown z zadumą podrapał się po brodzie. - ...że jest nas wielu i według mnie przydałoby się znaleźć zatrudnienie dla kilku jednocześnie. Jest tu coś, co mi podsunęło pewien pomysł.

- Mów dalej - zachęciła Bel.

- Proszę spojrzeć, madame. - Podsunął jej gazetę. - Trzecia kolumna na ostatniej stronie, tuż pod ogłoszeniem o koniach zaprzęgowych.

- Gospoda? - Bel przeczytała wskazany fragment i spojrzała pytająco na Browna. Olbrzym wytrzymał jej wzrok bez mrugnięcia okiem. - Gdzie jest St Lawrence?

- Niedaleko Ramsgate, przy drodze na Canterbury. Doskonale położenie, by obsługiwać tych, co jadą do portu i z portu. To duża gospoda, sądząc po opisie stajni.

- Chcesz kupić gospodę? - zdziwiła się Bel. - Masz jakiegokolwiek pojęcie o prowadzeniu takiego obiektu?

- Skoro mogłem prowadzić pluton do boju, mogę i gospodę - odparł Brown. - Byłem sierżantem. - Zatem się nie myliła, dostrzegając u niego zdolności przywódcze. - Nakląłem na porucznika, głupiego młodego gów... żółto-dzioba, i zostałem zdegradowany. Poradziłbym sobie, umiem prowadzić księgi rachunkowe i trzymać porządek. A wśród nas są tacy, którzy potrafią gotować, oporządzać konie, zawiadywać piwnicami z winem. W takim dużym obiekcie... - Postukał palcem w ogłoszenie. - ...znalazłoby się miejsce dla tuzina ludzi, przy różnych zajęciach.

- Poszłyby na to wszystkie nasze fundusze, a i to by nie starczyło - westchnęła Bel. Poza tym pomysł wydawał jej się całkiem dobry.

- Wiem, madame. Wiem też, że potrzebuje pani tych funduszy dla innych nieszczęśników takich jak my. Zastanawiałem się, czy któryś z pani bogatych znajomych nie zechciałby nam pożyczyć tych pieniędzy. Zwrócilibyśmy mu wszystko w kilka lat, w regularnych spłatach.

- Niezły pomysł. Uważam jednak, że najpierw powinniśmy obejrzeć to miejsce, nie sądzisz, Brown? Trzeba by znaleźć kogoś, kto sprawdzi księgi i oceni niezbędne przeróbki. Może się okazać, że konieczne są duże inwestycje.

- Lewin dobrze zna się na księgach, madame. Był księgowym, zanim się zaciągnął do wojska. - Zdziwienie Bel musiało być na tyle widoczne, że Brown

uśmiechnął się pod nosem i pośpieszył z wyjaśnieniem. - Wdał się w małą awanturę z żoną swojego pracodawcy i wstąpienie do armii było dobrą okazją, żeby się wywinąć z trudnej sytuacji. Teraz, kiedy nie może normalnie mówić i kuleje, tego pewnie nie widać, ale to bystry chłopak.

- Pomyślę o tym - obiecała Bel, wstając z krzesła. - A ty zrób listę wszystkich zawodów, do których nadawaliby się nasi ludzie. Porozmawiamy o tym po pikniku.

Wracając wolno przez dziedziniec do domu, myślała o swoich funduszach. Ile mogła wynosić rozsądna cena za gospodę i czy było ją stać na wyłożenie takiej sumy? Co by powiedział Henry, gdyby przewidział, że jego żona będzie się zastanawiać nad kupnem gospody? Zaśmiała się głośno do siebie, wprawiając w konsternację lokaja czuwającego w holu.

- Mogę się założyć, że wszystko wspaniale się uda. - Elinor wychyliła się przez balustradę górnego tarasu, spoglądając z góry na równiutko wystrzyżony trawnik, ciągnący się aż do brzegu jeziora. - Stawili się dosłownie wszyscy, którzy przyjęli zaproszenie... prawie dwieście osób!

- Mam wrażenie, że każdej z nich osobiście uściśnęłam rękę - westchnęła Bel. Członkowie komitetu razem witali gości, a teraz rozproszyli się w tłumie, pilnując, by uczestnicy pikniku dobrze się bawili, i przy okazji zachęcając ich, bardziej lub mniej subtelnie, do wykładania dodatkowych datków.

- Mama jest niesamowita - stwierdziła Elinor, wypatrzywszy wśród kolorowego tłumu swą rodzicielkę. - Właśnie przyparła do muru wuja Augusta i ciotkę Sylwię. - Na niższym tarasie lady James rzeczywiście zagadywała Augusta Ravenhursta, biskupa Wessex, i jego żonę o nieprzeniknionym obliczu.

- Masz rację. Ale nie widziałam Teofila, a ty? - Bel wychyliła się mocniej, szukając wzrokiem jedyne go syna tej pary. Zwykle łatwo było zauważyć kuzyna Teo przez jego płomiennorudą czuprynę.



- Nie widziałam go od wieków. Ostatnio spotkaliśmy się, jak miałam chyba z dziesięć lat. Mama twierdzi, że jest nicponiem i wcieleniem szatana i nie chce go znać. - Elinor zakreśliła wdzięcznie parasolką pożyczoną od Bel.

- Biedny Teo! Nie jest aż taki zły, a szczerze mówiąc, gdyby ciotka Sylwia była moją matką, pewnie też bym się zachowywała skandalicznie. - Cóż, prawda była taka, że postępowała skandalicznie, nie posiadając żadnego usprawiedliwienia. - O, są siostry lorda Derehama... a to musi być ich matka, nie sądzisz?

- Nie ma z nimi lorda Derehama - stwierdziła niby-obojętnie Elinor. Bel pomyślała, że jeśli kuzynka oczekuje z jej strony zainteresowania obecnością Ashe'a, to czeka ją rozczarowanie.

- Nie ma. Może zejdziemy na dół, żeby cię mogła przedstawić?

Spotkały się z rodziną Reynardów u stóp schodów na taras, gdzie Bel i Anna dokonały stosownych prezentacji. Następnie Anna wybrała się na spacer z Elinor, Frederica została w tyle, żeby obejrzeć mecz krykieta, a Katy w podskokach biegała wokół matki i Bel.

- Wnoszę, że mój syn z entuzjazmem popiera pani działalność charytatywną, lady Belindo.

- Owszem. Rozumie żołnierzy, a oni go bardzo szanują, co pomaga w pracy, którą staramy się wykonywać.

- Z pewnością. Muszę przyznać, że mnie zaskoczył, angażując się tak mocno w dobroczynność. Oczywiście zawsze dbał o naszych pracowników i dzierżawców, ale to coś innego. Proszę mi powiedzieć, lady Belindo, jak to się stało, że Reynard aż tak dał się w to wciągnąć?

Bel zrobiło się jednocześnie zimno i gorąco, ale szybko się opanowała, tłumacząc sobie tę reakcję nieczystym sumieniem. Lady Dereham jedynie podtrzymywała rozmowę, a nie doszukiwała się oznak braku moralności.

- Poznaliśmy się przez to, że kupiłam jego dom na Half Moon Street i opowiedział mi trochę o swoich doświadczeniach w wojsku. Kiedy postanowiłam pomagać weteranom, wydał mi się najodpowiedniejszą osobą, do której mogliśmy się zwrócić o radę.

- Rozmawiał z panią o swojej służbie w armii? - Lady Dereham uniosła perfekcyjnie wymodelowane brwi. - To oznacza, że zaufałam pani bardziej niż swoim siostrom i mnie.

- Zapewne jest wobec pań powściągliwy w tej kwestii, bo nie chce martwić najbliższych, madame - powiedziała Bel. - To, co przeżył na wojnie, musiało być bardzo trudne.

- Zapewne. - Bel w napięciu czekała na dalsze kłopotliwe pytania, ale lady Dereham przybrała lżejszy ton. - Zostanie pani w Londynie przez całe lato, lady Belindo?

- Miałam taki zamiar - przyznała Bel. - Ale teraz myślę, że może wybiorę się na jakiś czas do Margate.

- Do Margate? W Brighton jest chyba ciekawiej?

- Tak sędzę, ale wątpię, by udało mi się znaleźć tam odpowiednie lokum. Margate prezentuje się skromniej, ale za to ma doskonałe warunki do morskich kąpiel. - Bel nie zamierzała wyjawiać lady Dereham, że zamierza obejrzeć gospodę, którą być może kupi. Wiadomość mogła się okazać zbyt szokująca dla jej rozmówczynie.

Od czasu jak Brown pokazał jej ogłoszenie, Bel zasięgnęła języka u różnych osób i doszła do wniosku, że Ramsgate może być trochę zbyt kosmopolityczne i tłoczne jako cel wyprawy, ale wycieczka do pobliskiego Margate pozwoli jej równie dobrze wypełnić zaplanowaną misję. Rozmawiając z matką Ashe'a, jeszcze utwierdziła się w swym postanowieniu wyjazdu. Zmiana oto-

czenia pozwoliłaby jej uniknąć ryzyka spotkania Ashe'a, dopóki jej tęsknota za byłym kochankiem całkowicie nie wygaśnie.

Bel i Elinor rozstały się z rodziną Reynardów przy końcu tarasu.

- Zechcą panie nam wybaczyć, ale musimy się rozejrzeć, czy jacyś nowi goście nie byłiby skłonni aktywniej poprzeć naszej działalności. Na wypadek gdybyśmy miały się już nie spotkać, lady Dereham, życzę paniom miłego pobytu w Brighton.

Bel pociągnęła kuzynkę w stronę brzegu jeziora, gdzie Patrick Layne, stojąc w cieniu wierzby płaczącej, obserwował kilka łodzi, sunących po gładkiej tafli wody. Kiedy przedzierały się przez tłum, zagadując niektórych gości i zyskując dwie solenne obietnice pomocy, Bel nie spuszczała wzroku ze słomkowego kapelusza Patricka. Zamierzała skorzystać z okazji i wcielić w życie swój plan.

- Panie Layne! - Odwrócił się, uchylając kapelusza. - Umie pan wiosłować?

- Owszem, całkiem nieźle, nie chwałąc się. Czyżby miały panie ochotę na przejażdżkę łodzią?

Poszło łatwiej, niż się spodziewała.

- Owszem, wielką!

Elinor nie wyglądała na zachwyconą pomysłem, ale korzystając z szarmanckiej pomocy Patricka, zajęła miejsce w niewielkiej łódce.

- Odwiążę linę - zaproponowała szybko Bel. Rozwiązawszy węzeł, niby niechcący mocno pchnęła burtę. - Och, ależ jestem niezdara! - Widząc, że Patrick sięga po wiosła, by po nią podpłynąć, zamachała rękami, mówiąc: - Nie przejmujcie się mną... płyncie sami. Teraz widzę, że łódka się kołysze i pewnie nie czułabym się zbyt dobrze.

No, jeśli ten młodzian ma choć trochę sprytu, odpowiednio wykorzysta tę chwilę. Zadowolona z własnej przebiegłości ruszyła brzegiem, obserwując, jak Patrick kieruje łódź w stronę środka jeziora. Elinor rozłożyła parasolkę i oparła się wygodnie, co pozwalało mieć nadzieję, że trochę się odprężyła.

Bel przystanąła, znalazłszy się niespodziewanie w zacisznym miejscu, oddzielonym kępą wierzb od trawnika i widocznym jedynie z łodzi rozsianych po jeziorze. Cieszyła się, że choć przez chwilę może odetchnąć od zabawiania gości rozmową i zastanowić się, dlaczego spotkanie z lady Dereham tak ją zaniepokoiło, mimo iż wymieniły tylko kilka niewinnych zdań. Przypomniała sobie, że oczy matki Ashe'a przybrały dziwny wyraz, gdy wygłaszała uwagę o zaufaniu, jakim jej syn obdarzył Bel. Czy przypadkiem w jej pytaniu o plany Bel na lato nie krył się jakiś podtekst? Czy lady Dereham życzyła sobie, by Bel znajdowała się w pobliżu Ashe'a... czy tak daleko od niego, jak to tylko możliwe?

Ośloniła oczy dłonią, wypatrując na jeziorze Elinor i Patricka, ale wszystkie łódki znajdowały się zbyt daleko, by je rozróżnić.

- Bardzo tu ładnie - powiedziała do kaczki, która podpłynęła do brzegu, licząc na jakiś okruch. - To miejsce każdego by nastroiło romantycznie.

- Ależ skąd. Może by i nastroiło, gdyby byli sobą choć trochę zainteresowani. - Głos rozległ się tak niespodziewanie, że Bel aż podskoczyła, patrząc z przerażeniem na kaczkę, jakby to ona się odezwała. Pośliznęła się na zeschniętej trawie i niechybnie by upadła, gdyby czyjeś silne ramię nie objęło jej w pasie i nie postawiło pod drzewem.

- Ashe! - Nie puszczał jej, choć już mocno stała na nogach. Bel odruchowo przyłożyła rękę do piersi, próbując uspokoić rozdygotane serce. - Przestraszyłeś mnie śmiertelnie, myślałam, że ta kaczka mówi.

Ashe, na tyle na ile mogła zobaczyć jego twarz w cieniu wierzby, nie był zachwycony tym, że wzięła go za przedstawicielkę drobiu. Długie puszyste witki osłaniały ich całkowicie, jakby się znajdowali pod wielkim zielonym parasolem. Pojedyncze promienie słońca wpadały przez szczeliny między liśćmi, z dala dobiegał szmer rozmów, stłumione dźwięki orkiestry usytuowanej na górnym tarasie oraz wesołe okrzyki i śmiechy dowodzących dzieci.

- Zapewniam, że ode mnie możesz usłyszeć jednak coś bardziej sensownego - oznajmił Ashe, kiedy z zewnątrz dobiegło żalosne kwaknięcie rozczarowanego ptaka.

- Nie mam pojęcia, co masz na myśli - odparła sztywno Bel, zła na siebie o to, że zamiast się odsunąć, ma ochotę wtopić się w jego ramiona. Przymknęła oczy, czuła znajomy słodki ciężar w dole brzucha, promieniujący ciepłem rozchodzącym się po całym ciele.

- Twoje złudzenia, że uda ci się wyswatać Layne'a z twoją kuzynką. Ona nie jest nim ani trochę zainteresowana, a on, o czym wiedzą wszyscy inni, świata nie widzi poza tobą.

- Nieprawda - zaprotestowała gniewnie Bel. - Co za wymysły!

Czyżby? Zauważyła już dawno, że Patrick Layne jest atrakcyjny, ale nie miało to dla niej znaczenia, bo pragnęła tylko Ashe'a. Ale to było wtedy, gdy byli z Ashe'em kochankami. A teraz? Czy naprawdę podobała się Patrickowi? Jeśli tak, dlaczego jej to nie cieszyło? Był przystojnym, miłym i inteligentnym człowiekiem. A ja jestem wolna, odpowiedział jej w myślach jakiś tajemniczy głos.

- Bel? Coś się stało? - Ashe ujął ją za podbródek i odwrócił jej twarz do światła wpadającego przez szparę między gałązkami. - Masz łzy w oczach.

- Nic podobnego. - Stłumiła szloch wzbierający jej w gardle. - To tylko słońce mnie razi. - Jestem wolna, a wcale nie chcę być.

- Akurat. - Przygarnął ją do siebie; szerokie rondo jego kapelusza zawa-  
dziło o daszek jej czepka, więc rozwiązał jej wstążkę pod brodą. - Bardzo ład-  
ne nakrycie głowy, ale chyba możemy się bez niego obejść. - Czepek zsunął jej  
się po plecach na trawę. - Powiedz, chcesz Patricka Layne?

- Nie - zaprzeczyła szczerze Bel. - Oczywiście, że nie. To bardzo miły  
człowiek, ale nic więcej.

- Doskonale. Ponieważ ja nadal chcę ciebie, Bel. Bardzo. I trochę mnie  
niepokoi, jaką grę prowadzisz z tym nieszczęsnym młodzieńcem.

- Nie prowadzę żadnej gry - zapewniła Bel z westchnieniem. - Chcę tylko  
wyrwać Elinor spod skrzydeł ciotki Louisy i wydawało mi się, że ci dwoje do  
siebie pasują.

- Mimo że nie masz dobrego zdania o małżeństwie?

- Nie jest dobre dla mnie, ale to nie znaczy, że nie posłuży komu innemu.  
A Elinor...

- Elinor jest intelektualistką. Potrzebuje kogoś, kto jej dorówna pod tym  
względem, a nie poczciwca takiego jak Layne. Nie masz pod ręką jakiegoś ka-  
walera o bardziej wybujałych ambicjach umysłowych?

- Niestety, nie. I masz rację, nie powinnam się bawić w swatkę.

- W zasadzie nie ma w tym nic złego... Sam podpadłem matce za swata-  
nie Frederiki.

- Swatałeś ją? - Popatrzyła na niego z zaciekawieniem, zapominając na-  
tychmiast o własnych troskach. - Z kim?

- Z naszym zarządcą. Wydaje mi się, że do siebie pasują, a ona chyba jest  
w nim zakochana. Ale będzie musiał pokazać, co jest wart.

- To ładnie z twojej strony.

Ashe wzruszył ramionami.

- Chcę, żeby byli szczęśliwi.

- A co z tobą? - zapytała cicho.

- Też wolałbym być szczęśliwy. - Uśmiechnął się niepewnie. - Minęły dwa tygodnie, Bel... wrócisz do mnie?

- To dlatego za mną szedłeś? Żeby mnie o to spytać? - Pragnęła go bardzo, tak bardzo, że nie była pewna, czy może wierzyć samej sobie.

- Nie, to przypadek. Przyszedłem tu, szukając odrobiny samotności, żeby pomyśleć. Wierzba płacząca... trafny wybór, nie sądzisz?

- Przecież ty nie płaczesz - powiedziała, rozpaczliwie próbując opanować coraz większy zamęt w głowie.

- Nie, jeszcze nie. Ale bardzo za tobą tęskniłem.

- Spotykaliśmy się dość często - przypomniała mu słabym głosem. Poczula, jak przesuwając palce spod jej podbródka na szyję. Coraz trudniej jej było zachować przytomność umysłu.

- Nie to miałem na myśli.

- Brakowało ci naszych cielesnych zbliżeń?

- Tak bardzo, że to aż bolało. Tęskniłem też za rozmową sam na sam. I za twoim towarzystwem, *ma belle*.

- Nie możesz mnie tak nazywać. - Słyszała drzenie we własnym głosie. I miała przemożną ochotę wtulić się policzkiem w jego ciepłą dłoń.

- Nie mogę? A ty tęskniłaś za mną choć trochę?

- Oczywiście, że tęskniłam. Brakowało mi naszych rozmów i kochania się z tobą i powtarzałam sobie, że to dobrze, że się rozstaliśmy i że z czasem tęsknota minie. A przynajmniej stanie się łatwiejsza do zniesienia. - Widziała, że Ashe w to nie wierzy i sama też wcale nie była przekonana. - Ty jesteś mężczyzną - dodała siląc się na lekki ton. - Łatwiej ci znaleźć ukojenie gdzie indziej... a przynajmniej zaspokoić fizyczne pragnienia.

- Można by tak sądzić - odparł poważnie. - Ale przekonałem się, że nie jestem w stanie szukać tego... ukojenia, choćby nie wiem jak było mi potrzebne.

- Zatem mam dokonać wyboru? - Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Tak, bo ja już wybrałem. Chcę, żebyś znów była moją kochanką, Bel, tylko ty, nikt inny, ale nie będę cię namawiał ani uwodził.

Położyła dłonie na jego piersi; pod miękką tkaniną kamizelki czuła bicie serca, po raz pierwszy przyspieszone i nierówne. Potem zarzuciła mu ręce na szyję i zatrzymała wzrok na jego ustach, stanęła na palcach i pocałowała go.

Przez chwilę stał nieruchomo, biernie przyjmując pocałunek, aż wreszcie przyciągnął ją do siebie mocno i napał na jej usta, gwałtownie i zaborczo, rozchylając jej wargi językiem. Chciał jej przypomnieć - jakby nie pamiętała - swój smak, swoją namiętność, to, co dawali sobie nawzajem w chwilach cieleśnych uniesień.

Tak, myślała, wsuwając mu palce we włosy, upajając się znajomym dotykiem. Tak, należy do mnie. Ashe opuścił ręce na jej pośladki i uniósł ją tak, że zetknęli się biodrami, przypominając jej - jakby tego potrzebowała - jak cudownie może im być razem. Dziś w nocy, tak, dziś w nocy.

Odwzajemniała pocałunek bez wstydu, z poczuciem triumfu, że Ashe pragnie jej tak bardzo.

Mój Ashe. Mój mężczyzna, kochanek, moja miłość...

Moja miłość. Zadrzała porażona niespodziewanym odkryciem. Ja go kocham. To wszystko zmieniało. Zmieniło jej życie na zawsze. To był koniec.



## *Rozdział osiemnasty*

Kocham cię. To była katastrofa. Bel puściła głowę Ashe'a, położyła mu dłonie na ramionach i odepchnęła go od siebie.

- Bel? Coś jest nie tak? - Był roztrzęsiony tak samo jak ona.

- Nie mogę. Ja... Wszystko jest nie tak. Ashe, nie mogę znowu być twoją kochanką.

- Nie rozumiem. - Stali tam, w zielonym cieniu, nadal objęci. - Jak możesz tak mówić? Kiedy mnie całowałaś...

Ja też tego nie rozumiem, ale cię kocham i nie mogę się na to zgodzić. Nie, jeśli ty mnie nie kochasz.

- Nie potrafię ci wytłumaczyć - szepnęła. - Ale nie mogę być z tobą. Ashe, przykro mi...

Nie znajdowała odpowiednich słów. Wyswobodziła się z jego ramion, podniosła z ziemi czepek i rozsunała zieloną zasłonę z wierzbowych gałązek. Wyjście z nienaturalnie zielonego cienia na słońce było jak przebudzenie z dziwnego snu.

Rzeczywistość. Musiała wziąć się w garść i wrócić do gości. W końcu była jedną z gospodyń pikniku. Szybko włożyła czepek na głowę, zawiązała wstążkę pod brodą, wygładziła spódnicę i ruszyła w stronę, skąd dobiegał gwar zabawy.

Po paru sekundach znów znajdowała się pośród tłumu, uśmiechała się i zagadywała, złapała uciekającego malucha i oddała go zawstydzonej niani. Nie miała odwagi się obejrzeć, żeby sprawdzić, czy Ashe także się pokazał, czy nadal dochodzi do siebie pod osłoną wierzby.

Nagle wszystko stało się jasne. Bolesne, lecz jasne...

Przystanąła, słysząc swoje nazwisko.

- Lady St Andrews, witam. Świetna zabawa, prawda? Mamy szczęście, że dopisała pogoda. - Wymiana ukłonów, uśmiechów, i trzeba podejść do następnych osób. - Pani Truscott, bardzo dziękuję za hojny datek Tak, cel jest wyjątkowo szczytny...

Kochała Ashe'a. Nic dziwnego, że nie chciała być jedynie jego kochanką. Wcześniej było zupełnie inaczej, podobał jej się, darzyła go sympatią i szacunkiem. Mogła mu mówić, co czuje i być szczerą. Byli równi sobie. Ale nie mogła mu wyznać, że go kocha, bo pomyślałby wówczas, że chce, by się z nią ożenił. Ukradkowe nocne schadzki już jej nie wystarczały, bo pragnęła spędzić z nim resztę życia.

Nagle znalazła się obok wolnej kamiennej ławki, usiadła i bezwiednie wygładziła fałdy sukni. Ależ była głupia, wyobrażając sobie, że skoro jej małżeństwo z Henrym było nudne, zimne i bezowocne, to już nigdy nie znajdzie mężczyzny, z którym mogłaby być szczęśliwa jako żona. Nie mogła przecież powiedzieć Ashe'owi, że zmieniła zdanie i dlaczego... Nie mogła tego zrobić po swoich zapewnieniach, że nigdy powtórnie nie wyjdzie za mąż.

Poprosił ją o rękę, ponieważ ją skompromitował, i miał świadomość, że wkrótce powinien sobie znaleźć żonę, żeby spłodzić potomka. Gdyby ją kochał, z pewnością do tej pory już by jej to powiedział. Nie był tchórzem, nie zawahałby się ze strachu przed odtrąceniem. Kiedy wspominał o miłości, to tylko po to, by dać jasno do zrozumienia, że nigdy jej nie czuł i nie rozumie.

- Belinda.

- Ciocia Sylwia. I wuj August. - Bel poderwała się z ławki. - Przepraszam, odpoczywałam...

Biskup patrzył na nią przychylnym wzrokiem, ciotka surowo. No, ale ostatecznie ciotce Sylwii nikt się nigdy nie podobał.

- Czy twój brat wrócił już z podróży poślubnej?

- Nie, jeszcze nie. Sebastian i wielka księżna pozostaną w Maubourg przez lato - wyjaśniła Bel. Była pewna, że lord August nie pochwała małżeństwa Sebastiana, ale nie wypadało mu krytykować związku krewnego z przedstawicielką panującego domu sprzymierzonego kraju. - Nie widziałam tu dziś kuzyna Teo. Dobrze się miewa?

- Teofil wyjechał w wielką podróż po Europie - oznajmiła chłodno jego matka. - Należy mieć nadzieję, że długotrwałe studiowanie najwspanialszych zabytków antyku pozwoli mu się skupić na przyszłej karierze. - Wyraz jej twarzy świadczył, że należy raczej wątpić w powodzenie tego przedsięwzięcia. Poza tym, znając dziką naturę Teo, trudno było sobie wyobrazić rodzaj tej kariery. Bo przecież nie kościelna!

- Dobrze włada obcymi językami, prawda? - podsunęła życzliwie Bel. - Może wybierze służbę dyplomatyczną?

Ciotka przeszła ją lodowatym spojrzeniem. No cóż, biedny Teo przynajmniej miał wakacje, bo w jakiegokolwiek poważne studia Bel raczej nie wierzyła.

- Zostajesz w Londynie przez całe lato, Belindo? - Na szczęście to zdawkowe pytanie nie wiązało się z zaproszeniem do biskupiego pałacu.

- Wyjeżdżam do Margate, wuju, żeby zażywać morskich kąpiel.

- Chyba nie sama?

- Oczywiście, że nie. Z kuzynką Elinor. - Bel miała nadzieję, że Elinor nie rozmawiała z ciotką Sylwią po tym, jak wypłynęła z Patrickiem Layne na jezioro.

Po krótkim wykładzie o zagrożeniach wynikających z nieodpowiedniego towarzystwa, na jakie szczególnie łatwo trafić w nadmorskich kurortach, i nieodpuszczalności morskich kąpiel w niedziele, wuj i ciotka odeszli. Bel spojrzała na wieżę z zegarem nad stajniami; było wpół do trzeciej. Dopiero za kilka

godzin mogła wrócić do domu i w spokoju pomyśleć o przyszłym życiu bez mężczyzny, którego kochała.

Należało unikać Ashe'a, udobruchać Elinor, a także uważać na Patricka Layne, jeśli to, co mówił Ashe, było prawdą. Poza tym musiała wytrzymać z uśmiechem niezliczone rozmowy z gośćmi i potencjalnymi darczyńcami, wykorzystując każdą okazję do ubiegania się o wsparcie.

- Tu jesteś! - Elinor była sama i nie wyglądała na zadowoloną, sądząc po zaciśniętych ustach i wymachiwaniu parasolką. Rąbek jej ślicznej nowej sukni był mokry. - Nigdy więcej nie chcę się snuć po wodzie jak kaczką! Co ty sobie wyobrażałaś...

- Przepraszam - przerwała jej Bel. - Myślałam, że może coś między tobą i Patrickiem Layne zaiskrzy, kiedy znajdziecie się sam na sam, ale się myliłam.

Rozbrojona szczerością wyznania Elinor usiadła, przechylając parasolkę, żeby osłoniła je obie przed słońcem.

- Cóż, myślałam, że już nigdy nie skończysz z tym swataniem. Chyba wiesz, że pan Layne jest zainteresowany kimś innym, prawda?

- Masz na myśli mnie? Tak, Ashe mi powiedział. Nie miałam wcześniej pojęcia.

Elinor uniosła brwi.

- Jesteście na ty?

W pobliżu nie było nikogo. Bel nagle poczuła, że dłużej nie zdoła dusić wszystkiego w sobie, że musi się zwierzyć.

- Tak, Elinor. Kocham go. - Przeraziły ją te słowa wypowiedziane na głos.

- To wspaniale - ucieszyła się Elinor. - Życzę wam obojgu wiele szczęścia!

- On mnie nie kocha. - Zabolało. Bel bała się, że zaraz wybuchnie płaczem. Odetchnęła głęboko, prostując plecy.

- Och, widziałam, jak na ciebie patrzy.

- Lord Dereham mnie pożąda. A możesz mi wierzyć, że to nie to samo.

- I...? - Elinor przechyliła głowę na bok; wyglądała jak zaciekawiony wróbel. Bel czuła, że policzki zaczynają jej płonąć. - Bel... ty chyba nie... Wy chyba nie...

- Owszem, tak. - Rozmawianie o takich sprawach z niezamężną młodą kobietą było wysoce niestosowne, ale Elinor miała już dwadzieścia cztery lata i Bel wiedziała, że może jej zaufać. - Ale to już skończone.

- Dlaczego? - Szokujące było to, że Elinor wcale nie była zszokowana. Zmarszczyła czoło w głębokim namyśle, jakby kuzynka mówiła do niej w niezrozumiałym języku, a po chwili znów się rozpogodziła. - Rozumiem. Uświadomiłaś sobie, że go kochasz, więc bycie nadal tylko jego kochanką jest zbyt bolesne, bo chcesz, żeby się z tobą ożenił. On cię nie kocha, ale jeśli mu powiesz, co czujesz, poprosi cię o rękę powodowany honorem, a takie oświadczenia są dla ciebie nie do przyjęcia. Mam rację?

- Właśnie. - Bel dziwiła się, jak to możliwe, że Elinor, niepodatna na romantyczne rozważania, tak szybko i dokładnie wszystko pojęła. Prawdopodobnie zastosowała ten sam rodzaj logicznej analizy, jakiego używała do rozbioru antycznych tekstów. - Miałam zamęt w głowie i dopiero po jakiś czasie uświadomiłam sobie, co do niego czuję, i to było okropne.

- Bo jesteś podmiotem tego zamętu. Dla kogoś niezaangażowanego uczuciowo to kwestia czystej logiki - powiedziała taktownie Elinor. - Co teraz zrobisz? Domyślam się, że nie pozwolisz, by odczytał twoje prawdziwe uczucia.

- Mam zamiar uciec do Margate. Pojedziesz ze mną? - Przedstawiła kuzynce sprawę gospody w St Lawrence. - Mogłybyśmy zabrać Browna i Lewina

oprócz, rzecz jasna, pokojówki i lokaja. Mogłybyśmy popłynąć statkiem, byłoby wygodniej, niż godzinami siedzieć w zamkniętym powozie. - Jak myślisz, czy ciocia Louisa by się zgodziła?

- Planuje dwutygodniowy pobyt u wuja Augusta i ciotki Sylwii, żeby przyjrzeć się dokładnie jego propozycji odnowienia katedry. Wierz mi, nie będę jej potrzebna i z przyjemnością dam nogę z biskupiego pałacu. - Elinor serdecznie uścisnęła dłoń kuzynki. - Uciekniemy razem, żeby się moczyć w morzu i odwiedzać gospody z Brownem i Lewinem. Zapiszemy się do biblioteki i przeczytamy wszystkie najnowsze powieści kryminalne i będziemy codziennie jeść lody.

Perspektywa wymienionych przez Elinor rozrywek wzbudziła słaby uśmiech na twarzy Bel.

- I zapomnimy o mężczyznach?

- Ja tam nie mam o kim zapominać, ale dla ciebie nie będzie to takie łatwe, skoro kochasz lorda Derehama - odparła szczerze Elinor. - Nie będę nawet udawać, że wiem, co to miłość, ale spodziewam się, że nieraz sobie popłaczesz. Nie będzie mi to przeszkadzać, po prostu w tym czasie usiądę z książką i poczytam.

- Jesteś skarbem. - Myśl o życzliwym towarzystwie kuzynki była kojąca. Bel wyprostowała plecy i starała się uśmiechać do mijających je gości. - Panna Layne! - W tym momencie Bel nie miała ochoty wdawać się z nią w rozmowę, ponieważ obawiała się, że poetka mogła usłyszeć coś od swego brata.

Elinor przesunęła się na ławce, robiąc miejsce pannie Layne. Poetka trzymała w dłoni notatnik, pełen luźnych zapisków.

- Bardzo interesujące przyjęcie - pochwaliła. - Zgubiłam gdzieś parasolkę. - W istocie miała koniec nosa zaczerwieniony od słońca. - Ale za to mam mnóstwo notatek. Widziała się pani z Patrickiem, lady Belindo?

- Był uprzejmy zabrać mnie na przejażdżkę łodzią po jeziorze - wtrąciła Elinor. - Ale potem już go nie widziałyśmy. Właśnie snułyśmy plany wyjazdu do Margate - dodała; uznając, że lepiej zmienić temat. - Popłyniemy statkiem pocztowym, już się cieszę na te przygodę.

- Doskonały pomysł - przyznała panna Layne. - Dopiero co mówiłam Patrickowi, że chciałabym wyjechać nad morze, bo tu jest za gorąco, ale Brighton wydaje mi się zbyt męczące. Poszukam go i namówię, byśmy poszli za waszym przykładem. - Wstała, zatrzasnąwszy okładki notatnika. - Kiedy wyruszą?

- My... jeszcze nie zdecydowałyśmy - powiedziała niepewnie Bel. Nie chciała być nieuprzejma. - Nie wynajęłam jeszcze odpowiednich kwater.

- Proszę mi dać znać, jak tylko panie to załatwią. Miło będzie mieć tam na miejscu dobrych znajomych.

- O Boże, nie spodziewałam się, że tak mnie podejdziesz - westchnęła Elinor, kiedy poetka już się oddaliła. - Brat na pewno z nią pojedzie. Trudno, żebyśmy teraz zmieniały plany.

- Nie przejmuj się. - Bel pomyślała, że wszystko zapowiadało się zbyt pięknie, by mogło się ziścić. Tak jak jej fantazje o miłosnych uniesieniach bez komplikacji. - Przynajmniej będę miała okazję dać do zrozumienia panu Layne, że nie mogę odwzajemnić jego uczuć.

Po przestudiowaniu dostępnych w bibliotece przewodników odkryły, że najwygodniej będzie im zamieszkać w hotelu Royal.

- Pod względem schludności i wygody hotel Royal nie ustępuje żadnej wiejskiej rezydencji - przeczytała na głos Elinor. Bel odpowiedziała uśmiechem, skrywając ziewnięcie za broszurą kompanii pocztowej. Bezsensowność znowu dawała jej się we znaki; całymi nocami czytała dzieła lorda Byrona,

próbując zatrzeć wspomnienia pewnego pełnokrwistego mężczyzny opowieściami o wyczynach bohaterów wymyślonych przez poetę.

Niebawem przyszedł list potwierdzający rezerwację miejsc w hotelu, a Brown z Lewinem zapewnili je, że bez trudu znajdą sobie kwatery już po przybyciu na miejsce.

- Mam bilety na statek - oznajmiła Bel, kiedy siedziały z Elinor przy śniadaniu, następnego dnia po wyjeździe ciotki Louisy do biskupiego pałacu. Lady James zostawiła córkę na Half Moon Street ze stertą materiałów naukowych do przestudiowania. Elinor większość z nich od razu upchnęła w kredensie.

- Nie zabieram niczego poza rozrywkowymi powieściami i przewodnikami - oznajmiła stanowczo. - Kiedy wypływamy? Czy coś o tym wiadomo?

- Jutro o siódmej rano. Powinnyśmy dotrzeć do Margate około trzeciej lub czwartej po południu, w zależności od wiatru.

- Przyszedł list od panny Layne. - Elinor rozłożyła zapisaną kartkę. - Piśże, że zarezerwowała pokoje w hotelu Wright's York na Marine Parade i wyjeżdża dziś rano. Ona i pan Layne chętnie spotkają się z nami tam na miejscu...

- Dobrze chociaż, że nie będziemy mieszkać w jednym hotelu. Gdyby nie ta niezręczna sytuacja, cieszyłabym się z ich towarzystwa - westchnęła Bel, przeglądając resztę poczty.

Ma się rozumieć, nie było nic od Ashe'a. Bo i dlaczegóż miałby do niej pisać? Najpierw rzuciła mu się w ramiona, a potem odtrąciła go bez wyjaśnień; musiałby być świętym, żeby to znieść bez urazy. A świętym nie był z całą pewnością... Wspomnienie Ashe'a podziało na Bel jak kieliszek mocnego wina.

- Co oznacza ten melancholijny uśmiech? - Elinor znieruchomiła z grzanką przy ustach. - Chodzi o Patricka Layne? Powinnaś się zachowywać tak



jak dotychczas, udając, że nie zauważasz jego awansów. Albo się zorientuje i da spokój, albo się zdeklaruje.

- Nie chcę mu sprawiać przykrości - powiedziała z troską Bel. - Nie miałam pojęcia, że może coś do mnie czuć, dopóki Ashe mi tego nie uświadomił. Jak sądzisz, chyba się we mnie nie zakochał?

Elinor wzruszyła ramionami.

- Nie mam doświadczenia w tych sprawach, wiem tylko, że do niczego go nie zachęcałaś.

- To prawda. - Nieco podniesiona na duchu Bel dokończyła śniadanie. - Mamy mnóstwo do zrobienia i mało czasu.

Nie ma co siedzieć i rozprawiać o mężczyznach. Lepiej zrobmy listę i podzielmy między siebie obowiązki.

Bel nawet nie przyszło do głowy, by wydawać pieniądze na prywatny pokład; w końcu podróż miała trwać ledwie kilka godzin, a był piękny sierpniowy dzień. Główny pokład był czysty i przestronny, wyposażony w ławki do siedzenia. Brown, Lewin i Peter, lokaj przydzielony Elinor przez matkę, szybko załadowali bagaże, ułożyli je w stos i okryli brezentem.

Elinor, w czepku nieelegancko obwiązany szalem ze względu na wiatr, pilnowała wielkiego piknikowego koszyka. Bel spacerowała po pokładzie z Millie, niesłychanie przejętą swoją pierwszą wyprawą poza Londyn. W pewnym momencie zauważyła, że Peter robi się zielony na twarzy i pędzi w stronę burty, żeby wymiotować.

- Jeszcze nawet nie ruszyliśmy - westchnęła ze współczuciem. - Elinor, masz może coś, czym mogłybyśmy go ratować?

- Ja mam, co trzeba, madame. - Brown wyjął zza pazuchy butelkę i jednym ruchem postawił nieszczęsnego lokaja na nogi. Lewin wcisnął mu do ręki

kraciatą biało-niebieską chusteczkę. - Trzymaj się, chłopie, zaraz przywrócimy cię do życia - obiecał Brown. - Chodź na rufę, tam ci będzie lepiej.

Bel patrzyła, jak po kolei przekazują sobie butelkę.

- Zanim dopłyniemy, będzie całkiem pijany - mruknęła, po czym uśmiechnęła się bez troski, poddając się atmosferze wakacyjnej wycieczki. - Ciekawe, co by powiedziała twoja mama, widząc nas teraz? - zwróciła się do Elinor, patrzącej szeroko otwartymi oczyma, jak mężczyzna w krzykliwej pasiastej kamizelce wciąga na trap swoją żonę, która darła się wniebogłosy ze strachu, zagłuszając krzyki mew.

- Powiedziałyby, że obie postradałyśmy zmysły - odpowiedziała Elinor z uśmiechem, przytrzymując czepek. - Zabawne, prawda?

- Owszem - potwierdziła Bel. Ciekawe, co Ashe teraz robi?



## *Rozdział dziewiętnasty*

- Niestety, lady Belindy nie ma w domu, milordzie - oznajmił Hedges.

- W takim razie przekaż jej moją wizytówkę i powiedz, że byłem. Kiedy się spodziewasz powrotu swojej pani? - Twarz lokaja wydała się Ashe'owi jeszcze bardziej pozbawiona wyrazu niż zazwyczaj. Jakby miał do niego jakieś pretensje, co było niedorzeczne.

Nie mógł zaznać spokoju, wciąż rozmyślał o tym, co się stało wtedy nad jeziorem. Krążył w kółko po swojej sypialni, przesiadywał w klubach, milczący i nieobecny duchem. I wciąż nic nie rozumiał.

Nie mógł jej urazić żadnym nieopatrzonym słowem, bo przecież usta miał zajęte pocałunkiem. Musiało zatem chodzić o coś innego. A teraz jej lokaj, który dotąd zawsze odnosił się do niego z należnym szacunkiem, przesywał go zimnym spojrzeniem.

- Jaśnie pani nie ma w mieście, milordzie.

- Doprawdy? Dokąd wyjechała?

- Nie mogę powiedzieć, milordzie.

Oczywiście, że mógł, tylko nie chciał. Pewnie Bel udzieliła mu odpowiednich wskazówek. Skoro lady Belinda nie chciała, żeby lord Dereham wiedział, gdzie przebywa, nie ulegało wątpliwości, że znalazł się w niełasce.

Ashe zacisnął palce na monecie trzymanej w kieszeni, ale po szybkim zastanowieniu zrezygnował z próby przekupstwa. Hedges nie należał do tych, którzy za gwineę gotowi byli zlekceważyć polecenie swego pracodawcy.

- Tak, z pewnością - mruknął Ashe, z trudem ukrywając złość. - Przesyłasz swojej pani nadchodzącą korespondencję?

- Mam dokładne instrukcje, które listy przekazywać, milordzie. - Nagle odniósł wrażenie, że Hedges dobrze się bawi jego kosztem.

- Milady dobrze się miewa, mam nadzieję?

Przez nieprzeniknione oblicze lokaja przebiegł ledwie widoczny cień wahania.

- Milady pozostaje w dobrym zdrowiu. Mogę czymś jeszcze służyć, mi-lordzie?

- Nie, dziękuję, Hedges.

Ashe powoli zszedł ze schodów. W dobrym zdrowiu... Ale o jego nastroju pewnie nie można tego powiedzieć. Sam siebie nie poznawał: był bliski płaczu, bo po raz pierwszy to nie on, tylko jego kochanka przejęła inicjatywę i zakończyła ich związek?

To nie była jedynie kwestia zranionej dumy i rozczarowania, że nie będą się więcej kochać. Było coś więcej. Pragnął Bel, nie tylko jej ciała. Wmieszał się w tłum na Piccadily, zmierzając w stronę Albany. Wszystko, co go otaczało, wydało mu się nagle nierealne i nieważne, jakby patrzył na świat przez grubą szybę. To, czego pragnął... nie, czego potrzebował, musiało poczekać do zapadnięcia nocy.

Gdzieś w oddali zegar wybił drugą. Ashe przekręcił klucz w zamku, zdjął buty i cicho wszedł na schody prowadzące do sypialni Bel. Cały dom pogrążony był we śnie, ciszę przerywało jedynie tykanie zegarów i cichutkie skrzypienie drewnianych belek.

Wiedział, że Bel nie ma, nim jeszcze otworzył drzwi do pokoju, który kiedyś należał do niego. Niemal fizycznie odczuwał jej brak. W słabym świetle padającym z ulicy dostrzegł plamę białego futra przed wygaszonym kominem.

- Cześć, Horacy - powiedział do szczerzącej kły bestii. Zrzuciwszy surdut, usiadł po turecku na niedźwiedziej skórze. Gładząc gęste białe kudły, miał

wrażenie, że oprócz zapachu zakurzonego futra i drzewnego popiołu wyczuwa zapach Bel.

Rozluźnił mięśnie ramion i położył ręce na kolanach, wnętrzem dłoni ku górze. Jego oddech nabrał wolniejszego rytmu, umysł stawał się coraz jaśniejszy. Dawno temu, jeszcze w szkole, nauczył się tego od kolegi, syna maharadży, rzuconego przez rodzinę w zimny, szorstki świat angielskiej edukacji. Zaprzyjaźnili się i Ashe obserwował z podziwem, jak ten przerażony, śniady chłopiec adaptuje się do nowego, nieprzyjaznego środowiska.

Ashe bronił przyjaciela w potrzebie, używając już to swego ciętego języka, już sprawnych pięści, w zamian za co przyjaciel nauczył go medytacji. Ashe korzystał z niej przed bitwą, wtedy, gdy nagle zmarł jego ojciec i kiedy Katy poważnie zachorowała i cała rodzina obawiała się o jej życie. Pomagała mu się skupić i zachować siły. A teraz z jej pomocą próbował rozeznaczyć się we własnych uczuciach.

Zegar na kominku wybijał kolejne godziny. Wreszcie, gdy rozległo się pięć wyraźnych uderzeń, przyszła odpowiedź.

„Ja ją kocham”.

Ogarnęła go nieopisana ulga. Miał rację, mówiąc Bel, że nie sposób nie rozpoznać miłości.

Bel stopniowo wypełniała mu myśli i sny, przeganiając z nich wojenne koszmary. Niepostrzeżenie zawładnęła jego życiem. Nareszcie wiedział, dlaczego tak było; Chciał krzyknąć, biec, pędzić galopem, żeby ją znaleźć, porwać w ramiona i całować.

Tylko że kobieta, którą kochał, nie chciała już jego pocałunków, nie kochała go i nie chciała za niego wyjść. Energia, rozpierająca go jeszcze przed momentem, gdzieś uleciała. Bel go odtrąciła i co więcej, uciekła przed nim. Musiał ją odszukać i zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby za niego wyszła.

Do licha, przecież nadawał się na męża. Wystarczyło, by matka szepnęła słówko w odpowiednich kregach, a każda panna przed trzydziestką byłaby gotowa stanąć na głowie, byle mu się spodobać. Na próżno, bo pragnął tylko tej jednej jedynej, która wcale nie zamierzała wychodzić za mąż... i nie chciała go.

Wiedział, że zwykłymi oświadczeniami nic nie wskóra, Bel po prostu mu odmówi. Gdyby wspomniał o miłości, usłyszałby pewnie oskarżenie o emocjonalny szantaż. Pozostawały mu zaloty, coś, czego nigdy wcześniej nie musiał stosować, i to przeprowadzone w taki sposób, by nie poczuła się wabiona w pułapkę. Dotąd męska zarozumiałość oparta na łatwych podbojach kazała mu wierzyć, że posiada wystarczający urok osobisty, by oczarować kobietę, ale nagle zwątpił w swoje moce. Teraz, kiedy już zrozumiał, że kocha Bel, bał się nawet pomyśleć, jak bez niej wyglądałoby jego dalsze życie.

- Trzeba działać strategicznie - mruknął do nadjedzonego przez mole ucha Horacego. - Najpierw muszę ją odnaleźć.

Skutki nieprzespanej nocy oraz konieczność towarzyszenia matce i siostram przy śniadaniu o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie sprawiły, że Ashe, tłumiąc w sobie odruch ziewania, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem z ostatnią stroną „The Times”.

Siostry szczebiotały radośnie o planowanym wyjeździe nad morze, a matka przeglądała poranną pocztę.

- Doskonale! Reynard?

- Tak, mam? - Poskładał starannie gazetę, położył ją na stole obok talerza i pochylił się ku matce z udawanym zainteresowaniem.

- Mam tu potwierdzenie z najlepszego hotelu w Margate, że zarezerwowali dla nas najlepsze apartamenty na trzy tygodnie. Od razu napiszę do Brighton, żeby odwołać nasz przyjazd.

- Margate? Ale mam, sklepy... - odezwała się pełnym zawodu głosem Frederica. ,

- Przyjęcia w Castle Inn... - zawtórowała jej Anna.

- Chciałam znów pojeździć w wózku zaprzężonym w osiołka - dodała z pretensją Katy.

- Już od jakiegoś czasu miałam zastrzeżenia do niektórych przedstawicieli towarzystwa bawiącego w Brighton o tej porze roku - oświadczyła lady Dereham. - Za dużo tam hulaków i bawidamków. No i warunki do kąpieli morskich są znacznie lepsze w Margate. Plaża jest tam piaszczysta, a zatoka dobrze osłonięta.

- To dość niespodziewana zmiana planów, mam - powiedział Ashe ze zdziwieniem. Wyjaśnienia matki wydały mu się dziwnie mało przekonujące.

- Myślałam o tym od czasu, kiedy lady Belinda Felsham powiedziała mi, że się tam wybiera. - Urwała, spoglądając z zaciekawieniem na syna. - Dlaczego masz otwarte usta, mój drogi?

- Be... Lady Belinda pojechała do Margate?

- Owszem, ze swoją kuzynką i rodzeństwem Layne - odparła lady Dereham z kiepsko udawaną obojętnością. Dla Ashe'a w tym momencie stało się jasne, że towarzystwo w Brighton nie ma tu nic do rzeczy. Lady Belinda wpała jego matce w oko jako odpowiednia kandydatka na synową.

- Nadal chcecie, żebym wam towarzyszył? - spytał z udawaną niechęcią. Umyślnie przybrał surową minę. - Planowałem spotkać się z kilkoma znajomymi w Brighton. Mógłbym tam pojechać i odwiedzić was w Margate parę razy, podróżując wzdłuż wybrzeża. - To, że tak łatwo poznał miejsce pobytu Bel, graniczyło z cudem, ale nie zamierzał zdradzać się przed matką ze stanu swoich uczuć. Jego misja zdobycia serca Bel wymagała subtelności i inter-

wencja krewnych, nawet tych życzących mu jak najlepiej, raczej nie była wskazana.

- Wybacz, że pokrzyżowałam ci plany, mój drogi - powiedziała lady De-reham z wyraźnym błyskiem niepokoju w oczach. - Czuję jednak, że będziesz mi bardzo potrzebny w tym nowym, nieznanym mi miejscu.

Ashe w milczeniu wytrzymał spojrzenia czterech par oczu. Nie było to łatwe, bo miał ochotę poderwać się z krzesła i uściskać matkę z wdzięcznością.

- W takim razie ma się rozumieć, że z wami pojedę - oznajmił, pozwalając sobie w końcu na uśmiech.

Pierwszy krok okazał się niespodziewanie łatwy, ale czy mógł liczyć, że przy następnych także dopisze mu szczęście? Bardzo tego pragnął.

- Macie zamiar się zanurzać? - Panna Layne nieufnie przyglądała się rzędowni budek na kołach, ustawionych na piasku wzdłuż nadmorskiej promenady.

Poprzedniego wieczoru umówili się listownie przed jednym z licznych w Margate zakładów, oferujących kąpiele wodne i parowe oraz możliwość zanurzenia się w morzu pod osłoną urządzenia kąpielowego.

- Raczej tak - powiedziała bez przekonania Elinor, obserwując modnie ubraną damę, wprowadzaną po schodkach do takiego urządzenia. Zaprzężono konia do wystających z podstawy dyszli, na koźle obok woźnicy zasiadła postawna kobieta i budka ruszyła w stronę brzegu morza. Kiedy woda sięgała już podstawy, woźnica zeskoczył, odpiął konia i wrócił nim na plażę, gotów służyć następnej klientce.

- Co ona teraz robi? - odezwała się panna Layne, podnosząc do oczu lornetkę. - Patricku, ty masz teleskop.

- Ale z pewnością nie zamierzam go kierować na urządzenie kąpielowe zajęte przez kobietę - odparł jej brat z uśmiechem. - Za kogo ty mnie bierzesz? Chcesz, żeby mnie aresztowano?



- Chcę tylko zobaczyć, co się dzieje - obruszyła się panna Layne. - O, spójrzcie! - Kobieta siedząca wcześniej na koźle opuściła wielką płócienną markizę, zasłaniającą wejście do urządzenia i jednocześnie tworzącą zadaszanie nad całkiem sporą powierzchnią wody.

- Dość miejsca, żeby popływać - mruknęła pod nosem Bel. Samo urządzenie nie budziło jej zachwyty, ale umiała całkiem nieźle pływać i myśl o wypróbowaniu swych umiejętności w morzu była nader kusząca.

- Jakoś nie wygląda to dla mnie zachęcająco. - Panna Layne aż się otrząsnęła. - Poprzestanę raczej na kąpieli w ciepłej wodzie. A ty, Patricku?

- A ja chętnie popływam. Bez asysty pomocników. Może pójde się dowiedzieć, o której najlepiej tu przyjść po południu.

- Idź, mój drogi. A ja pójde się zapisać na ciepłą kąpiel.

- Proszę mnie też zapisać - porosiła Elinor. - Im dłużej się zastanawiam, tym mniej mi się podoba ta zimna woda.

Oślaniając twarz parasolką, Bel usiadła na jednej z ławek rozstawionych wzdłuż promenady i obserwowała sceny rozgrywające się na plaży, od czasu do czasu spoglądając też na pobliskie molo. Minęła ją grupa kobiet, najwidoczniej zatrudnionych w zakładzie kąpielowym, bo dźwigały kosze pełne ręczników. Za nimi szli spoceni portierzy w białych bluzach, obładowani bagażami ze świeżo przybyłego statku pocztowego.

Ze szczególnym zaciekawieniem Bel oglądała kostiumy pań opuszczających kabiny kąpielowe. Sama też posiadała tego rodzaju strój, uszyty z różowej i zielonej bawełny, ozdobiony przy szyi i u dołu zygzakowatym zielonym wzorem, który zapewne miał przypominać wodorosty. Umieszczone z przodu zapięcie pozwalało szybko i wygodnie rozebrać się do flanelowej koszuli, w której wchodziło się do wody. Bel nie miała bynajmniej zamiaru w niej pływać. Na szczęście, dzięki wynalezionej pięćdziesiąt lat wcześniej przez niej-

kiego pana Beale'a markizie z dodatkowymi bocznymi osłonami mogła zrzucić z siebie wszystko i nie naruszając zasad przyzwoitości, pływać nago.

Nieco dalej, na części plaży zajmowanej przez takie same urządzenia przeznaczone dla mężczyzn, panowała trochę większa swoboda stroju. Panowie chodzili w lekkich płóciennych spodniach i koszulach, osłaniając głowy słomkowymi kapeluszami. Patrzyła, jak jeden z amatorów kąpiei, wysoki i barczysty, poruszając się z naturalną elegancją, unosi kapelusz, by odpowiedzieć na czyjś ukłon. Kiedy jego jasne włosy zaśniły w słońcu, Bel poczuła, że nagle brakuje jej tchu.

Ashe? Czyżby za nią przyjechał? Znalazł ją, mimo iż zabroniła służbie wyjawiać, dokąd się udała? Nie mogła od niego oderwać wzroku, dopóki nie zniknął w drewnianej kabinie.

- Bel? Chyba już pójdziemy. - Elinor i Layne'owie stali obok ławki gotowi odkrywać kolejne atrakcje kurortu. - Miałyśmy się zapisać do biblioteki - przypomniała jej Elinor.

- Ach tak, oczywiście. Ale tu jest tak pięknie, że chciałabym jeszcze chwilę posiedzieć i pooddychać morskim powietrzem. Mogłabyś sama nas zapisać, Elinor - poprosiła. Rozpierała ją radość: Ashe'owi na niej zależało, bo jak inaczej wyjaśnić fakt, że opuścił rodzinę i przyjechał tu za nią? - Wszystko w porządku - zapewniła, gestem poganiając Elinor, by dołączyła do Layne'ów. - Nic mi nie będzie... sama popatrz, wokół są same stateczne rodziny.

Kabina Ashe'a wjechała do morza. Bel wyobraziła go sobie, jak się rozbiera, wchodzi do wody...

- W rzeczy samej! - wykrzyknęła Elinor ze śmiechem. - Popatrz, kto zmierza w naszą stronę! Lady Dereham ze swymi trzema córkami.

- Co? - Bel odwróciła się gwałtownie.

Elinor pomachała do Katy.

- Dzień dobry, panno Ravenhurst i lady Belindo! Tu jest fantastycznie, prawda? Byłam zawiedziona, że nie jedziemy do Brighton, ale tu będzie równie dobrze, a Frederica zabiera mnie jutro na kąpiel!

- Fantastycznie - potwierdziła Bel, przelykając gorycz rozczarowania. Ashe nie przyjechał za nią, lecz po prostu towarzyszył rodzinie. Pewnie nawet nie wiedział, że ona tu jest. Wstała, żeby się przywitać z lady Dereham i jej dwiema starszymi córkami. - Co za niespodzianka, sądziłam, że panie jadą tego lata do Brighton.

- Jesteście tu państwo całą rodziną? - spytała Elinor, zyskując niewypowiedzianą wdzięczność Bel.

- Tak, Reynard poszedł zażyć morskiej kąpieli.

- Pewnie był zdziwiony, że poleciłam pani Margate - powiedziała niewinnym tonem Bel.

- Nie wspominałam mu o tym. - Lady Dereham patrzyła na córki, głaskając pieska trzymanego na zielonym sznurku przez jednego ze spacerowiczów. - Choć jestem pewna, że pani opinia by przeważała, gdybym musiała go namawiać.

Zatem Ashe nic nie wiedział o jej obecności w Margate. Zgasła w niej ostatnia iskierka nadziei. Po tym, jak się zachowała na pikniku, nie powinna się łudzić, że będzie chciał mieć z nią do czynienia, a mimo to w głębi serca marzyła, że jednak mu na niej zależy i że jest dla niego kimś więcej, niż tylko była kochanką i przyjaciółką.

Markiza przy kabinie Ashe'a rozpostarła się nad falami. Bel odwróciła wzrok, obracając nerwowo w palcach rączkę parasolki.

- Obawiam się, że czekają na nas znajomi, panna i pan Layne, ale jestem pewna, że jeszcze się spotkamy, lady Dereham.

- Pobladłaś, Bel - stwierdziła Elinor, kiedy szły do biblioteki. - Tak tobą wstrząsnęła wiadomość, że jest tu lord Dereham?

- Myślałam... tylko przez moment... że mnie odszukał i przyjechał za mną - wyznała Bel. - Co za głupota tak myśleć po tym, jak go odtrąciłam. Po co miałby mnie szukać? To retoryczne pytanie - dodała, widząc że Elinor otwiera usta. - Sama dobrze znam odpowiedź.

## *Rozdział dwudziesty*

Ashe od godziny cierpliwie obserwował wejście do hotelu Royal. Bel musiała kiedyś w końcu wyjść? Pora lunchu dawno minęła, słońce świeciło, ludzie spacerowali tłumnie. Nikt nie przyjeżdżał do kurortu po to, by cały czas siedzieć w hotelu.

Chyba że spotkanie z jego matką i siostrami ją przestraszyło i postanowiła go unikać. Ale to było niepodobne do Bel. Miała w sobie zbyt wiele dumy.

Ten przeklęty Patrick Layne kręcił się koło niej, niezależnie od tego, co sądziła o ich ewentualnym związku jego siostra. Gdyby go przyłapał na tym, jak jej się narzuca... Odruchowo zacisnął dłonie w pięści. A jeśli Bel podobały się umizgi Layne'a? Ashe miał świadomość, że nie ma prawa się wtrącać w jej życie. Był odrzuconym kochankiem, nie mężem, nie byli nawet zaręczeni.

Portier otworzył drzwi i z hotelu wyszła wreszcie Bel w towarzystwie kuzynki Elinor i pokojówki. Bel sprawiała wrażenie skrepowanej; wystarczyło jedno spojrzenie na jej strój, by domyślić się powodu. Miała na sobie kostium w barwach różu i zieleni, pod którym z pewnością kryła się bawełniana koszulka, mająca ją osłonić przed spojrzeniami lubieżnych krabów i homarów.

Ashe ruszył za nimi, trzymając się w bezpiecznej odległości. Uśmiech sam cisnął mu się na usta, gdy wyobrażał sobie Bel zanurzaną w morzu przez masywną asystentkę kąpielową, której zadaniem było dopilnowanie, by powierzona jej staraniom klientka trzykrotnie znalazła się w wodzie, co według opinii medycznej było najkorzystniejsze dla zdrowia. Liczył na to, że po tym dramatycznym doświadczeniu Bel da się zaprosić na filiżankę gorącej czekolady. A on będzie się zachowywał nienagannie, żeby jej nie spłoszyć.

Bel pomachała do Elinor i pokojówki, po czym zeszła schodami na plażę. Ashe patrzył z góry, jak rozmawia z asystentką; odniósł wrażenie, jakby czegoś odmawiała. Następnie kobieta pomogła jej wejść do kabiny, woźnica zaprzął konia i całe urządzenie potoczyło się w stronę wody.

Ashe domyślił się, że Bel zrezygnowała z pomocy asystentki i zamierzała samodzielnie odbyć kąpiel, tak jak on wcześniej, po zakończeniu wzywając woźnicę chorągiewką przytwierdzoną do szczytu kabiny. W jego głowie błyskawicznie zrodził się plan. Ruszył biegiem w dół po schodach na plażę.

- Sir? Chce pan się znowu wykąpać? - zaczął go właściciel urządzenia, z którego korzystał rano.

- Owszem - potwierdził skwapliwie Ashe. - I to natychmiast, jeśli można.

Drzwi kabiny zamknięto i Bel znalazła się w ciemności, rozjaśnionej jedynie światłem wpadającym przez szpary w deskach. Rozpostarła ręce, opierając je o boczne ściany. Dziwiło ją, że nikt nie pomyślał o wycięciu okna w dachu. Pod nogami miała coś, co przypominało namoknięty dywan.

Kiedy pojazd ruszył z szarpnięciem, opadła na wąską drewnianą ławkę. Nad nią znajdowała się półka; z jednej strony leżały ręczniki, udostępnione w ramach usługi wycenionej na jednego szylinga, z drugiej pozostawało puste miejsce na ubranie. Oszczędziła trzy pensy, rezygnując z pomocy asystentki, ale dała jej napiwek za objaśnienie działania urządzenia.

Nastąpiło drugie szarpnięcie i zaraz potem rozległ się plusk fal uderzających od spodu w podłogę. Bel szybko zdjęła z siebie kostium, buty i pończochy, umieściła wszystko na półce i bosa, odziana jedynie w workowatą flanelową koszulę, stanęła na mokrym dywanie.

Kabina znieruchomiała, z zewnątrz dobiegł odgłos rozsuwanej markizy, po czym głos woźnicy oznajmił:

- Wszystko gotowe!

Bel odczekała chwilę, po czym otworzyła drzwi, mrużąc oczy przez światłem. Znajdowała się pod płócienną kopułą, a u swoich stóp miała zieloną, lekko pomarszczoną falami wodę. Z zewnątrz dochodziły stłumione krzyki mew, śmiech rozbrykanych dzieci i nawoływania żeglarzy wypływających na zatokę, ale w środku, w jej prywatnym małym morskim świecie, panował Całkowity spokój.

Ostrożnie zanurzyła stopę w zimnej wodzie. Fałdy koszulki ocierały jej się o łydki; bez namysłu ściągnęła ją przez głowę i odrzuciła na ławkę.

Zejsć do wody po stopniach, czy wskoczyć? Wzięła głęboki wdech i skoczyła, zanurzając się razem z głową, a potem wyskakując z okrzykiem, w którym był i przestach, i dziecięca radość. Odkryła, że może stanąć na dnie i ramiona wystają jej wtedy nad powierzchnię. Było zupełnie inaczej niż w stojących zielonkawych wodach jeziora, gdzie uczyła się pływać. Ta woda wibrowała życiem; muśnięcia drobnych fal były jak ożywcza pieśczęta. Bel przepłynęła do brzegu markizy i z powrotem. Było cudownie, ale irytowało ją, że musi się zadowolić ograniczoną przestrzenią. Chciała się poczuć wolna, płynąc, patrzeć na horyzont. Nie miała jednak odwagi przekroczyć wyznaczonej markizą granicy. Zanurkowała, podnosząc z dna muszelkę, potem drugi raz, otwierając oczy pod wodą. Nagle dostrzegła ciemny kształt, zbliżający się do niej od strony otwartego morza. Co to mogło być? Foka? Wieloryb? Przestra-

szona zaczęła płynąć w stronę kabiny; machała rękami i nogami tak gwałtownie, że powierzchnia wody wokół niej pokryła się pianą. Była już przy schodkach, gdy tajemniczy kształt wynurzył się na powierzchnię. Nie była to ryba ani żaden morski ssak, tylko mężczyzna z krwi i kości.

- Ashe! - Nie myśląc, Bel zeskoczyła ze stopni prosto w jego ramiona. Był nagi, skórę miał chłodną i śliską, a jego mokre włosy zmieniły odcień na ciemniejszy. - Ashe... och, ależ ja za tobą tęskniłam.

- Tęskniłaś? Przecież ode mnie uciekłaś! - Wsunął jej ręce pod pachy. - Obejmij mnie w pasie nogami.

- To bardzo nieprzyzwoite!

- Może, za to przyjemnie nieprzyzwoite?

- Tak. Och, Ashe... - Niewiele brakowało, by mu wyznała, co do niego czuje, w ostatniej chwili ugryzła się w język, przywierając do jego ust i oplatając go nogami.

Kiedy Ashe wsunął się w nią zdecydowanym ruchem, aż wstrzymała oddech.

- Połóż się na plecach - poprosił. Woda, rozkołysana ich zbliżeniem, była źródłem dodatkowej pieszczoty. Ashe przesunął dłońmi po jej piersiach, drażniąc brodawki, aż stały się twarde niczym kamyki. Bel miała wrażenie, że unoszą się w chmurach, oderwani od całego świata, wolni i szczęśliwi.

Kocham cię. Pragnął wykrzyknąć te słowa, ale stłumił je w sobie. Trzymając Bel za biodra, zagłębiał się w niej, wiedział, że nie będzie w stanie długo się wstrzymywać, za bardzo jej pragnął. Nagle ogarnęła go pokusa, by nie wycofywać się w ostatniej chwili jak zwykle. Gdyby ją zapłodnił, wówczas musiałyby za niego wyjść. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić, choć marzył o tym, by Bel urodziła mu dziecko. Widział, jak Bel odchyła głowę do tyłu,

usłyszał jej krzyk rozkoszy, a zaraz potem, czując, że zbliża się moment jego własnego spełnienia, uniósł ją i przycisnął mocno do piersi.

Na drżących z wysiłku nogach niósł ją do kabiny, gdzie usiedli na schodkach, spleceni w uścisku. Czuł się jak jakiś morski bóg, jak Neptun siedzący na tronie z nimfą w ramionach.

- Och... - westchnęła Bel. - To było takie... takie...

Ashe oparł policzek na jej włosach, myśląc o tym samym.

Cudowne, zdumiewające, doskonałe.

- Miałam już nigdy tego nie robić - powiedziała ze smutkiem.

- Dlaczego? - Słyszał w swoim głosie lęk, nie mógł uwierzyć, że jeszcze przed momentem był przekonany, że wszystko będzie jak dawniej.

- Bo to niewłaściwe. - Wyśliznęła mu się z objęć prosto do wody. Wynurzona do piersi, z mokrymi włosami, wyglądała jak syrena.

- Dlaczego? Dlaczego teraz jest niewłaściwe, a wcześniej nie było. Wy tłumacz mi to. Co się zmieniło, Bel?

- Ja się zmieniłam. - Wzrok Ashe'a na sekundę przyciągnął srebrzysty błysk pod wodą - ławica drobnych rybek. Kiedy znów popatrzył na Bel, przecierała oczy wierzchem dłoni.

- Bel? Ty płaczesz? - Natychmiast znalazł się przy niej.

Dlaczego płakała? Przecież to ona jemu łamała serce. Miał ochotę chwycić ją za ramiona i nie puszczać, dopóki mu nie wyjaśni, co się dzieje. Zamiast tego delikatnie przesunął palcem po jej skroni.

- Nie, tylko oczy mnie szczypią od soli. - Na moment przywarła policzkiem do jego dłoni. Nie umiała kłamać. - Muszę iść się ubrać. Nie powinniśmy tu być.



- Przed chwilą Ignęłaś do mnie, oddając mi się bez reszty. Odtrącasz mnie, ale cię to boli, bo masz ochotę płakać. Wiem, że czułaś to samo co ja i to nie było niewłaściwe, Bel.

- Moje serce mówi inaczej - wyszeptała, a potem go pocałowała. Ode-  
rwawszy się od niego, dodała coś jeszcze, bo widział, jak usta jej się poruszają,  
ale mówiła tak cicho, że nie rozróżnił słów. - Idź już. - Położyła mu zimne dło-  
nie na piersi i lekko od siebie odepchnęła. Czuł, że cała drży.

- Dobrze, pójdę sobie. - Próbował się uśmiechnąć. Jeszcze przez chwilę  
patrzył na nią bez słowa, a potem zanurkował pod brzegiem markizy i odpłynął  
w stronę swojej kabiny.

Energicznie wycierał się ręcznikiem w nadziei, że to go uspokoi, ale sku-  
tek był jedynie taki, że zaczęła go piec skóra. Dlaczego Bel tak go potraktowa-  
ła?

Gdyby ją czymś uraził, powiedziała by mu o tym. No i nie kochałaby się z  
nim tak namiętnie. Gdyby był w jej życiu inny mężczyzna, też by mu powie-  
działa... i pozwoliła by mu się co najwyżej cmoknąć po przyjacielsku w poli-  
czek. Była nieszczęśliwa, to pewne. I nie chciała mu powiedzieć dlaczego.

Ashe ubrał się i pociągnął za sznurek przymocowany do chorągiewki,  
która miała wezwać woźnicę z koniem. Przyszło mu do głowy, że Bel jest nie-  
szczęśliwa, bo wcale nie chce się go wyrzec. To odkrycie sprawiło, że odżyła  
w nim nadzieja.

Musiał się dowiedzieć, co... lub kto stał za jej niezrozumiałą decyzją.

Stojąc w drzwiach, czekał, aż woźnica podciągnie markizę i przypnie ko-  
nia do dyszli. Chorągiewka na kabinie Bel także była podniesiona. Ożenię się z  
tobą, Belindo Cambourn, przyrzekł sobie w duchu. Będę o ciebie walczył,  
zdobędę cię i poślubię.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Mam trzy możliwości do wyboru, myślała Bel, udając, że studiuje ostatni numer czasopisma Ackermanna, stanowiącego kopalnię wiedzy na temat sztuki, literatury, mody i innych równie ważnych zjawisk. W końcu otworzyła je na rozdziale omawiającym zagadnienia mody, doszedłszy do wniosku, że nikt nie powinien dziwić widok damy przesiadującej nad tego rodzaju lekturą w czytelni Garnera.

Trzy możliwości. Mogła wrócić do Londynu, zabierając ze sobą Elinor albo zostawiając ją z Layne'ami. To było chyba najprostsze wyjście, bo całkowicie uwalniało ją od Ashe'a, a nie dalej jak poprzedniego dnia przekonała się, że wystarczy jedno jego dotknięcie, by całkowicie straciła głowę.

Z drugiej strony ucieczka świadczyłaby o tchórzostwie i byłaby nie w porządku nie tylko wobec kuzynki, ale też wobec Browna i Lewina, którzy oczekiwali, że pojedzie z nimi tego popołudnia obejrzeć gospodę. Poza tym jak miała żyć bez Ashe'a, skoro nie umiała sobie z tym poradzić?

Mogła też zostać w Margate i robić wszystko co się da, żeby go nie widywać. To oznaczało chowanie się po kątach, jakby była przestępczynią, i obrażenie lady Dereham i jej córek.

Wreszcie mogła wziąć się w garść i spotykając Ashe'a na gruncie towarzyskim, udawać, że są zwykłymi znajomymi, a łączy ich jedynie troska o los rannych weteranów. Wiedziała, że nie będzie to łatwe, bo nawet teraz, kiedy tylko o nim myślała, drżały jej ręce. Należało odpowiednio się przygotować, choćby wymyślając neutralne tematy do rozmów.

- Dzień dobry, lady Belindo. - Czasopismo wypadło jej z ręki na podłogę. Katy Reynard szybko je podniosła, wygładzając zagiętą okładkę. - Przepraszam, że panią przestraszyłam. Proszę, na szczęście rysunki się nie wymięły.

- Dziękuję. - Bel uśmiechnęła się do dziewczynki.

Okazało się, że Katy przyszła do biblioteki z całą rodziną. Bel przywitała się z lady Dereham i jej dwiema starszymi córkami.

- Dzień dobry, zastały mnie panie pochłoniętą studiowaniem najnowszej mody.

- Przyznaję, że wstąpiłyśmy tu dokładnie w tym samym celu - powiedziała lady Dereham. - No i po coś lekkiego do czytania dla każdej z nas. A w ogóle to wybraliśmy się pieszo do miasta, żeby się trochę rozejrzeć, a Reynard musiał złożyć wizytę w banku.

Ashe stał za siostrami z gazetą w jednej ręce i kapeluszem w drugiej. Wymienili ukłony. „To było łatwe”, ucieszyła się Bel. „Nie zemdlałam, nie rzuciłam mu się w ramiona i nikt niczego nie zauważyło Ośmielona spojrzała mu w oczy, nie ujrzała w nich pożądania ani gniewu, tylko coś innego, nowego, trudnego do określenia, i szybko umknęła wzrokiem.

- Widziała pani, jaki piękny jest stąd widok na morze? - Frederica nieświadomie przyszła jej z pomocą. - Widać wieże kościoła. W przewodniku zamieścili romantyczną opowieść o tym, jak został zbudowany.

Ashe podszedł do Bel.

- Lady Belindo. Jedziemy na wycieczkę brzegiem morza do Broadstairs dziś po południu. Może zechce się pani do nas przyłączyć?

- Miło, że pan proponuje, ale dziś po południu mam już zobowiązania. Może innym razem? - Bezwiednie zacisnęła dłoń na trzymanym w ręku czasopiśmie. Wiedziała, że zostało zniszczone na tyle, że będzie musiała je kupić. - Ojej, jak to wygląda... - powiedziała, wyglądając zmięte strony z przesadnym zaangażowaniem, byle tylko nie patrzeć na Ashe'a.

- Pozwoli pani. - Wyjął jej czasopismo z ręki i podszedł do lady.

- Lordzie Dereham! Bardzo dziękuję, ale nie chcę, żeby pan ponosił koszt...

- Czterech szylingów? To tyle co czterokrotne użycie kabiny kąpielowej... bez asysty - stwierdził rzeczowym tonem. Oddał jej schludnie opakowany zakup. - Proszę mi powiedzieć, dokąd pani się wybiera dzisiejszego popołudnia? Layne będzie pani towarzyszył?

Co to miało być? Zazdrość?

- Nie - dopowiedziała Bel spokojnie, gotowa zastosować taktykę wstrząsową. - Spotykam się z Brownem i Lewinem w miejscu publicznym.

- Z Brownem i... - Zmarszczył czoło. - Pani podopiecznymi? Brown to ten olbrzym, który warczy na każdego, kto się do pani zbliży, a ten drugi jest ranny w szyję?

Bel potwierdziła skinieniem. Nic dziwnego, że pamiętał, dobry oficer zna nazwiska wszystkich swoich ludzi.

- Co pani zamierza zrobić, lady Belindo?

- Brown znalazł ogłoszenie o gospodzie wystawionej na sprzedaż w St Lawrence, przy drodze do Londynu z Ramsgate. Uważa, że kilku z nich mogłoby ją razem prowadzić.

Bel spodziewała się, że będzie musiała zadać sobie wiele trudu, by przekonać komitet do tego pomysłu, tymczasem Ashe'owi od razu się spodobał.

- Dobry plan. Znają się na koniach, umieją działać w zespole, niektórzy potrafią gotować... no i wszyscy znają się na piwie.

Podniesiona na duchu jego poparciem Bel się uśmiechnęła.

- Brown może ją poprowadzić, był kiedyś sierżantem.

- Podejrzywałem, że mógł dowodzić ludźmi. Co takiego zrobił, że go zdegradowano?

- Przeklinał na młodego porucznika, tylko tyle mi powiedział.

- Szkoda, że tego nie widziałem. Wygląda mi na typa, który nie znosi głupców. Ile kosztuje ta gospoda? Stać nas na nią?

- Zamierzałam ją nabyć z własnych środków jako inwestycję - wyznała trochę niepewnie Bel. - Oczywiście, jeśli się nada. Lewin był księgowym, sprawdza rachunki.

- Wszystko pani przygotowała - stwierdził Ash z ledwie wyczuwalną nutą urazy w głosie. - Nie uznała pani za stosowne naradzić się z resztą komitetu? A może stąd obecność Layne'a?

- Nie. Najpierw chcę sama zobaczyć tę gospodę. Miałam ochotę wyjechać z Londynu i wydało mi się to całkiem dobrym pretekstem. - Coś w tonie jej głosu musiało przyciągnąć uwagę lady Dereham, bo odwróciła głowę w ich stronę. - Panna Layne przypadkiem usłyszała o naszych planach i spodobał jej się pomysł wycieczki.

- Pojadę z wami - oznajmił krótko Ashe.

- Zobowiązał się pan już spędzić dzisiejsze popołudnie z rodziną - przypomniała mu Bel, po czym podeszła do Frederiki, która czytała na głos z przewodnika historię miejscowego kościoła. Reszta rodziny otaczała ją kręgiem, słuchając.

- I pomyśleć, że niedługo osunie się do morza wraz z ruinami rzymskiej fortecy - dodała Frederica od siebie na zakończenie.

- Nic nie trwa wiecznie - westchnęła lady Dereham. - Reynard?

- Właśnie miałem cię spytać, mamó, czy miałabyś coś przeciwko odłożeniu naszej wycieczki do jutra. Wygląda na to, że ładna pogoda utrzyma się jeszcze przez kilka dni, a dowiedziałem się, że lady Belinda znalazła odpowiednie miejsce zatrudnienia dla części naszych żołnierzy i ma je obejrzyć dziś po południu. Uważam, że nie powinna tam jechać bez eskorty.

- Ależ oczywiście - zgodziła się z uśmiechem lady Dereham. - Absolutnie nie mam nic przeciwko temu i naturalnie podzielam twoje zdanie, że lady Belinda potrzebuje eskorty.

- Nie chcę burzyć państwa planów - zaprotestowała słabo Bel. - Będzie mi towarzyszyć kuzynka i dwóch żołnierzy... - Skupiona na tym, jak zniechęcić Ashe'a, nie zauważyła nadejścia Patricka Layne.

- Może ja się przydam? Dzień dobry. - Przywitał się ze wszystkimi. - Przypadkiem usłyszałem... Mówiła pani o naszych żołnierzach, lady Belindo?

Jego towarzystwa także sobie nie życzyła. Miała ochotę wykrzyknąć, żeby wszyscy mężczyźni dali jej spokój. Zamiast tego jeszcze raz od początku przedstawiła plan dotyczący kupna gospody. Miała nadzieję, że lady Dereham będzie zgorszona jej udziałem w całym przedsięwzięciu i przestanie zachęcać Ashe'a, by z nią jechał.

- Doskonały pomysł - pochwaliła lady Dereham, niwecząc jej nadzieje. - Ale męska eskorta jest absolutnie konieczna.

- Ma ją zapewnioną - wycedził Ashe przez zęby.

- Ale pan musi się zajmować swoją uroczą rodziną - wtrącił się Patrick. - Siostra dała mi jasno do zrozumienia, że poświęci cały dzień na pisanie nowego wiersza, więc jestem do pani dyspozycji, lady Belindo.

- Podobnie jak ja - powiedział Ashe tonem, który przypominał warknięcie.

- Może obaj panowie powinniście pojechać - doradziła Elinor, wyłaniając się spomiędzy półek z książkami. - Dzień dobry wszystkim. Proszę mi wybaczyć, ale w dziale antyku znalazłam książkę, której od dawna poszukiwała moja matka. W końcu są dwie damy do eskortowania - dodała z uśmiechem.

- Słusznie - poparła ją ochoczo lady Dereham. - Chętnie udostępnię ci swój powóz na tę wyprawę, Reynard.

Anna zaproponowała matce i siostrze obejrzenie w to popołudnie atrakcji wypatrzonej w przewodniku, na co chętnie się zgodziły i opowiedziały o swych nowych planach Patrickowi Layne. Ashe rozmawiał o czymś z Elinor, a Bel, stojąc z boku, zastanawiała się, co miała znaczyć troska Ashe'a, którą okazywał jej w obecności całej swojej rodziny. Sądząc po jego zachowaniu, można by pomyśleć, że otwarcie się do niej zaleca.

- Przepraszam, ale muszę pójść na zakupy. Kuzynko Elinor, wolisz, żebym ci zostawiła Millie czy lokaja?

Kiedy Bel podeszła, przerywając im rozmowę, Ashe tylko wstał, jakby czekał, aż panna Ravenhurst znów poświęci mu całą swą uwagę.

- O co tak naprawdę pani chodzi, panno Ravenhurst? - zapytał, kiedy Bel już wyszła z biblioteki. Elinor lekko się zarumieniła, ale zachowała spokój.

- O co mi chodzi? Obawiam się, że nie rozumiem.

- Dlaczego zachęca pani Layne'a, żeby się trzymał blisko pani kuzynki? - Spojrzał nieufnie na Patricka, który pomagał Katy ustawić czytelniany teleskop tak, by było widać port, i najwyraźniej nie miał pojęcia, że jest obserwowany.

- Może sama pragnęłam jego towarzystwa, milordzie? - rzuciła Elinor zaczepnie. - Wątpię, by moja kuzynka miała mi za złe, gdybym z nim flirtowała przez całe popołudnie.

- Widziałem, jak lady Belinda próbowała panią swatać z Layne'em, panno Ravenhurst. Nie przekona mnie pani, że pożąda jego towarzystwa.

- Skoro tyle pan widzi, lordzie Dereham, to powinien pan wiedzieć, że Belinda też go nie pożąda. - Popatrzyła na Ashe'a takim wzrokiem, że natychmiast przyszła mu na myśl jej matka. - Nie ma powodu do zazdrości.

- Zazdrości? - wycodził Ashe. - Nie jestem zazdrosny. Po prostu nie ufam intencjom tego człowieka.

- Według mnie są jak najbardziej uczciwe - zapewniła go Elinor z podejrzaną gorliwością. - Ale to uprzejmie z pana strony, że pan się tak troszczy.

Ashe przez chwilę patrzył na swą rozmówczynię w milczeniu.

- Czy muszę pani mówić, panno Ravenhurst, że moje zainteresowanie pani kuzynką nie wynika jedynie z uprzejmości? - odezwał się w końcu.

- Nie, lordzie Dereham, nie musi pan. Według mnie miota się pan między chęcią uduszenia jej a uczuciami całkiem innej natury. Niestety, nie jestem pewna, czy Belinda zdaje sobie z tego sprawę i choć nie mam w tej kwestii żadnego doświadczenia, wydaje mi się, że swoim zachowaniem tylko mąci jej pan w głowie. - Widząc iskierki rozbawienia w zielonych oczach Elinor Ravenhurst, Ashe pomyślał, że niesłusznie wszyscy mają ją za pozbawioną gustu sufrażystkę. - Teraz pewnie mnie pan także miałby ochotę udusić, więc uciekam. Mógłby pan się stawić o drugiej?

Uznając jego skinienie za potwierdzenie, poszła się pożegnać z resztą rodziny Reynardów, a potem zatrzymała się na moment przy Patricku Layne, żeby podać mu godzinę spotkania.

Ashe zasłonił się gazetą, żeby spokojnie pomyśleć. Jak miał zabiegać o Bel, kiedy cała jego rodzina i ten przekłety Layne na każdym kroku mu przeszkadzali? Nie mógł liczyć na to, że podczas oglądania jakiejś gospody w towarzystwie dwóch weteranów wojennych, sufrażystki i pocziwca, któremu bardzo chętnie obiłby szczękę, uda mu się coś osiągnąć.

- Bardzo interesujące - oznajmiła Elinor, kiedy otwarty powóz wjechał na skrzyżowanie w centrum St Lawrence. - Wieża kościelna pochodzi z czasów saksońskich. - Zajrzała do przewodnika. - Zgadza się. Ale często mylą koniec epoki saksońskiej z początkami normańskiej.

Elinor przez całą drogę udzielała wyczerpujących informacji na temat mijanych obiektów; normalnie Bel byłaby nimi śmiertelnie znudzona, ale tym ra-



zem była wdzięczna kuzynce, że zajmuje uwagę obu towarzyszących im mężczyzn. Ashe i Patrick siedzieli naprzeciwko siebie, uprzejmie podtrzymując rozmowę i uśmiechając się do siebie nieszczerze.

Wreszcie ukazał się cel ich podróży.

- To tutaj. „Samson z Kentu”.

Spękany i wyblakły szyld nad wejściem przedstawiał olbrzymia rozrywającego grubą linę gołymi rękami.

- Richard Joy - pośpieszyła z wyjaśnieniem Elinor. - Mieszkał tu w ubiegłym stuleciu i był znany ze swej siły.

- Czego nie można powiedzieć o przybytku, któremu patronuje - stwierdził cierpko Ashe, kiedy wjechali na dziedziniec. Okiennice zwisały smętnie na wyrwanych zawiasach, a przez otwarte drzwi stajni widać było brudne, puste boksy. Sam dziedziniec też wyglądał niechlujnie, jakby od roku nikt go nie zamiatał.

- Zniszczenia mogą być tylko powierzchowne - powiedział Patrick, podając Bel rękę. - Proszę uważać, gdzie pani stawia nogę.

- Połowa okien jest spróchniała - rzekł Ashe, pomagając wysiąść Elinor.

- Ale dach trzyma się nieźle - brzmiała odpowiedź Patricka. Ujął Bel pod łokieć, zachęcając, by uniosła głowę. - Widzi pani? Kalenica jest prosta, to dobry znak, tylko kilka dachówek się obluzowało.

Czując na sobie wzrok Ashe'a, Bel wzięła Patricka pod rękę i dała się poprowadzić do tylnego wejścia.

- Milady. - Dołączył do nich Brown, a za nim kuśtykający o kuli Lewin. - Wygląda całkiem dobrze, trzeba włożyć sporo pracy, ale księgi rachunkowe są w porządku i jak się przyłożymy, możemy z tej gospody zrobić dochodowy interes.

- Może byś nas oprowadził, sierzancie - zaproponował Ashe.

Brown zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- Nie mam już prawa do tego stopnia, majorze.

- Tak jak ja do swojego. Dobrze, panie Brown, chodźmy więc i zobaczymy, czy znalazł pan sobie miejsce pracy - powiedział Ashe, pomagając Elinor okrążyć kałużę.

Spędzili tam prawie godzinę, oglądając wszystko od strychu po piwnice.

- To dobre miejsce - zapewniał ich właściciel, wycierając dłonie w poplamiony fartuch. - Tylko odkąd moja żona umarła, nie daję rady ogarnąć wszystkiego tak jak dawniej.

- Rzućmy okiem na księgi - zaproponował Ashe. Brown i Lewin oraz Elinor z nieodłącznym notatnikiem w dłoni poszli wraz z Ashe'em i właścicielem na zaplecze, pozostawiając Bel z Patrickiem w barze.

- Wyjdźmy stąd - poprosił, otwierając przed nią drzwi. - To nie jest miejsce odpowiednie dla damy, choć w przyszłości, po dokonaniu stosownych zmian, będzie się tu mogła zatrzymywać także elegancka klientela.

- Ja też tak sędzę. Mam dobre przeczucia. - Przynajmniej jedna sprawa układała się pomyślnie. Bel przekonała się, że Brown wcale nie przesadzał, mówiąc o możliwości zatrudnienia dla większej grupy.

Przeszli do pomieszczenia, które musiało kiedyś służyć za magazyn uprząży, choć obecnie wypełniały je głównie śmieci i pajęczyny.

- Reynard nie jest tak pozytywnie nastawiony.

- Jest po prostu sceptyczny. Nie chce, żebym dokonała złej inwestycji. - Bel uniosła pusty worek i natychmiast z grymasem obrzydzenia upuściła z powrotem na podłogę.

- Wygląda na to, że bardzo się o panią troszczy. - Zawahał się na moment, po czym spytał: - Lady Belindo... Belindo, muszę wiedzieć, jaki jest pani stosunek do lorda Derehama.

- Jest moim znajomym i pracujemy razem w komitecie.

Wiedziała, że powinna wyniosłym tonem spytać, jakim prawem domaga się od niej tego rodzaju wyznania. Widać jednak nieczyste sumienia sprawiło, że tego nie zrobiła.

- Cieszę się, że taka jest pani odpowiedź, jakkolwiek odnoszę wrażenie, że sam lord Dereham uważa coś innego.

- Jakim prawem... - zaczęła Bel, ale Patrick przerwał jej, unosząc rękę.

- Proszę mi wybaczyć, ale zauważyłem, że próbuje mnie pani swatać z panną Ravenhurst.

- Tak. Przykro mi, to nie było mądre, po prostu myślałam, że do siebie pasujecie...

- Nie, Belindo, nie pasujemy. Panna Ravenhurst jest uroczą młodą damą, miłą i inteligentną, ale mnie się podoba zupełnie inna kobieta.

- Tak? - O Boże, ma zamiar mi się oświadczyć.

- Belindo, naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, co do ciebie czuję? - Chwycił ją za rękę; Bel próbowała się wyswobodzić, ale trzymał mocno.

- Nie - skłamała. Ashe ją ostrzegął, ale nie potraktowała poważnie tego, co mówił, wiedząc, że Patrick zupełnie do niej nie pasuje. Nadal nie była w stanie uwierzyć, że on może uważać inaczej. - Nie miałam pojęcia. Panie Layne, bardzo pana cenię jako przyjaciela, ale nigdy nie będzie pan dla mnie kimś więcej, proszę mi wierzyć...

- Spróbuj spojrzeć na mnie inaczej niż na przyjaciela. - Chwycił jej drugą rękę. Uwięziona między jego ciałem, które nagle wydało jej się większe, niż sądziła, a metalowym stojakiem na uprząż i drewnianymi skrzyniami, znalazła się w pułapce. - Bel, nie mogę ci dać tytułu, ale będziesz miała moje pełne oddanie i...

- Nie! - Pchnęła go w pierś. - Panie Layne... Patricku, pochlebia mi twoje zainteresowanie, ale jestem pewna, że nie pasowalibyśmy do siebie.

- Pozwól, że ci pokażę, jak bardzo możemy do siebie pasować, Belindo. - Po tych słowach pochylił głowę, żeby ją pocałować.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

Patrickowi może by się i udało pocałować Bel, gdyby w ostatniej chwili nie pochyliła głowy, trafiając sztywnym daszkiem czepka w jego nos.

- Do diabła! - Zachwiał się, podnosząc jedną rękę do twarzy; drugą wciąż trzymał Bel za nadgarstek. Zrobiwszy krok do tyłu, zderzył się z Ashe'em, który w tym momencie wszedł do magazynu uprząży.

Ashe położył mu rękę na ramieniu i odwrócił go do siebie, gotowy wymierzyć cios.

- Ashe! Daj spokój! - zawołała Bel.

Stała pomiędzy dwoma mężczyznami, patrzącymi na siebie z nieskrywaną wrogością. Na nosie Patricka rysowała się coraz wyraźniej sina pręga, a Ashe kołysał się na piętach, jakby zaraz miał się rzucić na przeciwnika.

- Ucierpiała pani? - rzucił, nie patrząc na Bel.

- Nie, oczywiście, że nie. Odwróciłam się gwałtownie i trafiłam daszkiem czepka tak niefortunnie... Naprawdę, milordzie...

- A nadgarstek? - chwycił jej prawą rękę i podniósł do oczu; skóra pomiędzy mankietem a brzegiem rękawiczki była zaczerwieniona.

- Pan Layne chwycił mnie odruchowo, żeby utrzymać równowagę, kiedy na niego wpadłam - improwizowała.

- Nie musi pani dla mnie kłamać, lady Belindo - przerwał jej z godnością Patrick. - Milordzie, właśnie oświadczałem się lady Belindzie, kiedy pan tu wtargnął. Muszę pana prosić, żeby pan był łaskaw wyjść, bo krępuje milady.

- Czyżbym krępował ją bardziej niż pan, oświadczając się w tej brudnej none?

- Doprawdy, milordzie, muszę zaprotestować. Pański język jest nie do przyjęcia. Siła moich uczuć...

Bel miała wrażenie, że słyszy echo słów wypowiedzianych przez Ashe'a tamtego dnia, gdy ciotka Louisa przyłapała ich w salonie. Tego było już za wiele. Parsknęła nienaturalnym śmiechem, po czym szybko zakryła usta obiema rękami, widząc, że do pomieszczenia wchodzi Elinor, a za nią obaj żołnierze, właściciel gospody oraz kilku zaciekawionych klientów.

- Oto co się panu należy - mruknął Ashe, wymierzając rywalowi cios w szczękę. Patrick upadł na podłogę, ale szybko się podniósł, zaciskając pięści.

- Panowie, nie przy paniach! - zawołał Brown, wciskając się pomiędzy nich. Mimo iż wciąż korzystał z kul, poruszał się zdumiewająco zwinnie.

- Odpowie mi pan za to - rzucił Patrick ze złością do Ashe'a.

- To pan mi odpowie za obrażenie lady Belindy - odpowiedział groźnie Ashe.

- Nikt nikomu nie będzie odpowiadał - wtrąciła się, jak zwykle rzeczowa, Elinor. - Nie macie sekundantów.

Ashe popatrzył na nią spode łba, ale wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia.

- Dzięki za zwrócenie nam na to uwagi, panno Ravenhurst. Brown, Lewin, będziecie musieli nam wystarczyć.

- No tak, nie ma nikogo innego - mruknął Brown. - Widywałem już takie rzeczy i wiem, że to wyzwany wybiera broń. Panowie wyzwali się nawzajem,

więc będziemy musieli najpierw jakoś rozstrzygnąć ten problem. - Wyciągnął z kieszeni monetę i rzucił Ashe'owi. - A wy znikajcie stąd i zajmijcie się swoimi sprawami! - ryknął w stronę gromady gapiów, którzy niechętnie zaczęli się rozchodzić.

Ashe umieścił monetę na zgiętym kciuku.

- Orzeł czy reszka? - zwrócił się do Patricka.

- Reszka.

Moneta poleciała w górę, a potem spadła na brudną posadzkę. Wszyscy się pochyłili, ciekawi, która strona będzie na wierzchu. Ujrzeni mięsisty profil króla Jerzego.

- Wybieram pistolety - oznajmił Patrick. - Jeśli są dostępne.

- Mam parę. Jutro o szóstej na klifie? - zaproponował Ashe.

- W porządku - zgodził się Patrick.

Bel patrzyła raz na jednego, raz na drugiego.

- Przestańcie - wydukała w końcu. - To jakieś szaleństwo.

- Życzę miłego dnia, lady Belindo. Wynajmę bryczkę, żeby wrócić do Margate. - Patrick Layne skłonił się sztywno i opuścił dziedziniec.

- W porządku. - Ashe wygładził rękawiczkę na kostkach. - Oględziny gospody skończone? - Bel z Elinor popatrzyły na siebie z niedowierzaniem. - Według mnie wypadły pomyślnie. Jeśli pani nie zechce kupić tej gospody, lady Belindo, to ja ją kupię, o ile Brown i Lewin uznają, że spełnia ich oczekiwania.

- O tak, milordzie, jak najbardziej. Dziękujemy.

- Doskonale. Powiedźcie właścicielowi, żeby wycofał ofertę z rynku, a mój agent niezwłocznie się z nim skontaktuje.

- Chcę kupić tę gospodę - powiedziała Bel z naciskiem, kiedy już wsiadali do powozu.

- Lecz z pewnością wołałaby pani nie brać udziału w negocjacjach. Niech się tym zajmie mój człowiek, a potem ustalimy, kto dokona zakupu. - Ashe usadowił się naprzeciw pań z miną człowieka, który właśnie zakończył godzinny spacer po ogrodzie. Trudno było uwierzyć, że dopiero co odbył walkę na pięści zakończoną wyzwaniem na pojedynek

- Chyba pan odwoła ten niedorzeczny pojedynek - odezwała się Bel z nadzieją.

Ashe uniósł brew w wyrazie zdumienia.

- Oczywiście, że nie i nie będę o tym dyskutował.

Bel otwarła już usta, żeby coś powiedzieć, ale Elinor powstrzymała ją dyskretnym kuksańcem w zębra. Miała rację. Nie należało oczekiwać, że mężczyzna zachowa rozsądek w kwestii obrony honoru. Przez całą drogę do Margate Bel milczała, zastanawiając się, co zrobić, by nie dopuścić do bezsensownej strzelaniny.

Pod hotelem pożegnała się sztywno z Ashe'em i od razu poszły z Elinor do swojego apartamentu.

- Jak ich powstrzymamy? - wyrzuciła z siebie Bel, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły. - Powiemy lady Dereham i pannie Layne?

- Nie będą w stanie niczego zrobić. - Elinor zmarszczyła czoło w namyśle. - Tylko je zmartwimy, bo oni sami z pewnością się nie przyznają.

- Pewnie zostawią listy dotyczące ostatniej woli. - Bel czuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. - Jeśli jeden zabije drugiego, to ten, który przeżyje, będzie musiał uciec za granicę. Pewnie kazali Brownowi znaleźć odpowiednie miejsce w pobliżu portu, przewidując taką okoliczność.

- Pojedyunki są zakazane - powiedziała z zadumą Elinor. - Mogłybyśmy powiadomić władze. W końcu wiemy, gdzie ma się odbyć i kiedy.

- Tak zrobmy! - Bel ucałowała kuzynkę z wdzięczności za podsuniecie rozwiązania. - Doskonały pomysł. Pójdziemy od razu?

- Nie, później wieczorem - powiedziała Elinor z wahaniem. - Nadal go kochasz, prawda?

- Ashe'a? O tak. Bardzo. Myślałam, że przyjechał tu za mną, ale tak nie było. Spotkaliśmy się... kiedy pływałam. - Widząc zaskoczenie kuzynki, próbowała się usprawiedliwiać: - Nie powinnam była... znowu... i potem mu to powiedziałam. Gdyby czuł do mnie coś więcej poza fizycznym pożądaniem, z pewnością by mi wtedy powiedział?

- Nie mam pojęcia i cieszę się z tego - oświadczyła z przekonaniem Elinor. - Miałam rację, wybierając samotne życie.

- Powinnam żałować, że wdałam się w ten romans - westchnęła Bel. - Ale jakoś nie potrafię. Łamie mi serce, a mimo to nie żałuję, że go Kocham.

Ashe stał na urwistym brzegu i patrzył na rybacki kuter, zmierzający w stronę czerwono-czarnej boi podskakującej na falach. Niebo było lekko zachmurzone, zimny wiatr hulał nad wyskubanym przez owce pastwiskiem.

Kilka metrów dalej stał Layne, udający zainteresowanie krajobrazem, podczas gdy Brown z Lewinem ładowali pistolety. Na skraju drogi, pod kępą drzew, czekał zamknięty powóz z lekarzem; stał na tyle daleko, by bajeczka o tym, iż właśnie przejeżdżał, kiedy padł strzał, była choć trochę wiarygodna. Gdyby pojedynek zakończył się śmiercią lub poważnym zranieniem, lekarz miałby kłopoty, jeśli mu udowodniono, że o wszystkim wiedział.

Ashe starał się nie zastanawiać nad intencjami Layne'a i jego strzelecką sprawnością. W takich sytuacjach lepiej było nie dawać się ponieść wyobraźni. Na chwilę połączył kciuki z palcami wskazującymi i zaczął miarowo oddychać, podając się medytacji.



- W porządku. - Brown bezszelestnie pojawił się u jego boku. - Oto pański pistolet, majorze. - Po chwili wahania dodał: - Lady Belinda chyba oszaleje, jeśli przywieziemy pana podziurawionego.

- Nie będzie was winić - zapewnił go Ashe z mrocznym uśmiechem. - Doskonale wie, czyja to wina. - Ashe podszedł do Layne'a, skłonili się sobie nawzajem, po czym stanęli do siebie tyłem, stykając się plecami.

- Naprzód - wydał komendę Brown. - Stop! - zawołał, kiedy znaleźli się w odpowiedniej odległości od siebie. - W tył zwrot. Cel.

Ashe uniósł pistolet w wyprostowanej ręce, ustawiając się bokiem, by stanowić jak najmniejszy cel dla kuli Layne'a. Z naprzeciwka patrzył na niego wylot lufy drugiego pistoletu.

- Przestańcie! Wzywam was w imieniu prawa! - rozległ się donośny głos. Wszyscy się odwrócili. Ashe podniósł do góry rękę z pistoletem, tak że broń mierzyła w niebo. Layne zrobił dokładnie to samo. Od strony drogi, podskakując na nierównościach gruntu, pędziła ku nim bryczka. Siedziało w niej dwóch rozsierdzonych dżentelmenów w perukach.

- Co, u diabła... - zaczął Layne.

- Proszę spojrzeć, kto jedzie za nimi - przerwał mu kwaśnym tonem Ashe. Druga bryczka, powożona przez pannę Havenhurst, zahamowała gwałtownie. Bel wyskoczyła z pojazdu i unosząc nieprzyzwoicie wysoko rąbek sukni, biegła ku nim przez pole.

Ashe opuścił pistolet i strzelił w ziemię, zaraz potem jego rywal zrobił to samo.

- Panowie, my tylko polujemy na zające. Jeśli obawialiście się czegoś innego, to najwidoczniej otrzymaliście błędne informacje - powiedział Patrick Layne do przedstawicieli władzy.

- Zające, akurat! A powóz doktora Lamberta...

- Jaki powóz? - przerwał mu Layne, udając, że się rozgląda. - Bardzo żałuję, że zostaliście panowie wprowadzeni w błąd.

- Następnym razem, jak będziecie chcieli strzelać do zajęcy, róbcie to poza naszą paraną - zażądał bardziej postawny z urzędników, wsiadając z powrotem do bryczki. - Madame - zwrócił się do Bel, która dobiegła do nich bez tchu. - Żegnam panią.

- Co znaczy „następnym razem”, panie Manningtree? - zapytała ze zdumieniem. - Przecież pan im zabronił. - Suknię miała wymiętą, pantofle ubrudzone trawą, a czepek zwisał jej na plecach, zaczepiony wstążką na szyi. Ashe miał ochotę chwycić ją za ramiona i mocno potrząsnąć.

- Madame, to pojedynek - wyjaśnił jej drugi z urzędników, piorunując przy tym wzrokiem Ashe'a. - Kiedy dżentelmeni decydują się stanąć w szranki, nie spoczną, dopóki jeden z nich nie przeprosi... albo nie zginie. Nam zależy tylko na tym, by nie robili tego na terenie naszej jurysdykcji. Do widzenia pani.

- Ashe, nie! - Bel odwróciła się do niego roztrzęsiona. - Już dosyć. Powiedz mi, że nie będziecie ciągnąć tego szaleństwa.

- Nie powiem, choćbyś nas miała ścigać aż do Kentu, Bel. - Nadal był na nią zły, ale natychmiast przyszło mu do głowy, że wolałby, by zamiast ze strachu, drżała przy nim z podniecenia. - Będziesz musiała pozwolić nam załatwić tę sprawę do końca.

Oczekiwał... obawiał się jej łez. Nie spodziewał się wybuchu gniewu. Bel podeszła do niego, chwyciła go za ramię i szarpnęła. Zachwiał się lekko na piętach, przygotowany na policzek, ale ona powiedziała tylko:

- Ty i ten twój przekłety honor. Nie obchodzi cię, że pęknie mi serce, prawda? Honor jest ważniejszy. Idźcie i się pozabijajcie.

Serce jej pęknie?

- Bel?! - zawołał, ale już go nie usłyszała.

Biegła do wynajętej bryczki, w której czekała na nią Elinor.

Twarz Ashe'a rozpromieniła się w szerokim, pełnym niedowierzania uśmiechu.

- Nic nie możemy zrobić? - dopytywała Elinor, poganiając leniwego kuca zaprzęzonego do bryczki. - Po prostu znajdą inne miejsce.

- Tak powiedział Ashe. Urzędnicy też... zależało im tylko na tym, żeby to zrobili w innej parafii, dasz wiarę! Dlaczego ich nie aresztowali?

- Aresztować wicehrabiego? Zanim doszło do strzelania? Pewnie nie mieli dość odwagi - westchnęła Elinor. - Możemy tylko czekać. Zamówić herbatę do pokoju?

- Nie będziemy mogli wypatrywać ich powrotu, siedząc na górze. - Bel weszła do hotelowego salonu, zastawionego fotelami. Najlepsze miejsca widokowe zarezerwowane były przez gromadę matron obserwujących i krytykujących przechodzący ulicą tłum. - Zajmiemy tamte fotele przy oknie.

- Tam zwykle siada dama do towarzystwa lady Throckington - zaprotestowała Elinor.

- Dziś będzie musiała usiąść gdzie indziej - stwierdziła Bel, zajmując fotel, z którego rozpościerał się dobry widok na Marine Parade. - Ty siadaj naprzeciwko, na wypadek, gdyby okrążyli miasto i wjechali od drugiej strony. - Przysunęła fotel bliżej do okna.

- Bel, będzie cię widać z zewnątrz - ostrzegła kuzynkę Elinor, przesuwając nieco firankę. Nie jesteśmy mężczyznami i nie siedzimy w kawiarni na Bond Street!

Półtorej godziny później, wypiwszy dwa dzbanki herbaty, nadal tam siedziały. Lady Throckington pojawiła się i surowym wzrokiem próbowała zmusić Bel do zwolnienia miejsca, ale nic nie wskórała, więc urażona usiadła nie-

opodal. Rzucając im raz po raz spojrzenia godne bazyliuszka, rozprawiała głośno o fatalnych manierach młodej generacji.

Bel, coraz bardziej zdenerwowana, nie zwracała na nią uwagi. Dlaczego Ashe i Patrick nadal nie wracali? To mogło oznaczać, że jeden z nich jest ranny albo... Wyobraźnia podsuwała jej na przemian obraz Ashe'a leżącego bez życia na zielonej trawie i Ashe'a, z krwią Patricka na rękach, odpływającego łodzią na wygnanie.

- Panno Ravenhurst?

- Co? - Zaszła pomyłka, to musi być wiadomość dla mnie - powiedziała Bel do hotelowego boy'a trzymającego tacę, na której spoczywała zalakowana koperta.

- Nie ma żadnej pomyłki. Jest zaadresowana do mnie. - Elinor rozpieczętowała kopertę.

- Miałem zaczekać na odpowiedź, madame - powiedział chłopiec.

- Co to jest? - wykrztusiła Bel z sercem w gardle.

- Och, nic pilnego - zbyła ją kuzynka. - Zastanawiam się, co zrobić. - Podniosła się z fotela. - Zaczekasz tu na mnie? To nie potrwa długo.

- Tak, pewnie, ale... Elinor, jesteś mi potrzebna.

- Oczywiście. Naprawdę nie zostawiam cię samej na długo. Gdzie jest najbliższe biurko?

Odprowadziwszy wzrokiem kuzynkę, Bel znów spojrzała na ulicę. Czy mogła przegapić ich nadejście? Brown i Lewin z pewnością daliby jej znać, gdyby stało się najgorsze. Mijały kolejne minuty, a Elinor nie wracała.

Wciąż odwrócona do okna, w końcu usłyszała za plecami kroki.

- Gdzie byłaś tak długo? - Mogę usiąść?

- Ashe!

Ashe położył kapelusz na fotelu, oparł o niego łaskę, po czym usiadł, zakładając nogę na nogę. Miał na sobie nieskazitelnie świeży surdut, jeszcze sztywną od prasowania koszulę i wysokie buty wyglansowane do połysku. Pokój zawirował Bel przed oczyma. Ashe żył. I nie uciekał w świat z portu w Ramsgate.

- Pojechałeś się przebrać? - Ulga szybko ustąpiła miejsca złości. Widząc kątem oka, że lady Throckington podnosi do oka monokl i spogląda w ich stronę, Bel ściszyła głos do szeptu. - Wiedziałeś, że będę odchodzić od zmysłów i jakby nigdy nic pojechałeś się przebrać? - Wzięła głęboki wdech, żeby trochę ochłonać. - Nie zostałeś ranny?

- Nie. Layne też nie. Obaj zrezygnowaliśmy ze strzału.

- To znaczy, że żaden z was nie miał zamiaru zabić przeciwnika?

- Nie złość się, Bel, myślałem, że właśnie tego chcesz.

- Oczywiście, że tego chciałam... ale po co była cała ta farsa? Strasznie się martwiłam.

- Ponieważ wymagał tego honor - odpowiedział spokojnie Ashe. - Tak się załatwia te sprawy... chyba że mężczyzna nie ma honoru.

- Ty lubisz Patricka - powiedziała takim tonem, jakby dokonała niespodziewanego odkrycia. - Tak naprawdę nie wierzyłeś, że mógłby mnie skrzywdzić... bo inaczej nie zrezygnowałbyś z oddania strzału. Wcale nie chciałeś go zabić. - Ostatnie zdanie powiedziała na głos. Widząc, że kilka głów zwróciło się w ich stronę, dodała jeszcze donośniej: - Ja też jestem przeciwna zabijaniu zwierząt dla sportu.

- Kiedy już go uderzyłem, nie było odwrotu. - Ashe pochylił się ku niej, żeby mogli ciszej kontynuować rozmowę.

- Mogłeś po prostu przeprosić.

- Ale ja chciałem go uderzyć - przyznał się Ashe. - I sprawiło mi to przyjemność.

- Po co tu przyszedłeś?

- Ponieważ chcę się dowiedzieć, jak mam rozumieć to, co powiedziałaś tam na klifie - odparł, przysuwając się jeszcze bliżej, tak że czuła ciepły powiew jego oddechu. - Powiedziałaś „Serce mi pęknie”. Co miałaś na myśli, Bel?

- Ja... - Czy możliwe, że naprawdę to powiedziała? Wydawało jej się, że tylko pomyślała. - Miałam na myśli to, że będę musiała powiedzieć twojej rodzinie, że zostałeś zabity albo że musisz uciekać za granicę z mojego powodu.

- Kłamczucha. - Nie spuszczał wzroku z jej twarzy; jego oczy miały barwę wzburzonego morza, głębokiego i groźnego. - Powiesz mi, co to znaczyło. Tylko chcę prawdy, Bel.

- Znaczyło to, co powiedziałam - skłamała, rozglądając się rozpaczliwie za kuzynką. - Gdzie się podziała Elinor?

- Poszła do biblioteki spotkać się z panną Layne, a potem zjedzą razem lunch.

- Wiedziała, że się denerwuję! Jak mogła mnie opuścić?

- Sam ją o to poprosiłem - wyznał Ashe. - Wiedziała, że żadnemu z nas nic się nie stało. Napisałem jej, że chciałbym z tobą porozmawiać sam na sam. Dłużej. - Bel dokładnie wiedziała, co Ashe miał na myśli. Poczwała żar rozchodzący się po całym ciele, zdradliwy, podstępny, obezwładniający.

- Powiedzieliśmy sobie już wszystko, co było do powiedzenia.

- Nieprawda. Bel, musisz mi powiedzieć, co wtedy, na klifie, miałaś na myśli. Chodźmy do twojego pokoju.

- Nie! Nie możemy tam pójść! Co za skandaliczny pomysł! - Błysk unoszonego monokla lady Throckington kazał jej dodać głośniej: - Doprawdy skandaliczny pomysł, żeby żądać takiej ceny za francuski jedwab.

Ashe jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że znajdują się w miejscu publicznym.

- Ależ możemy, Bel. Musimy porozmawiać, a przy takiej rozmowie powinniśmy być całkiem nadzy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Na... - W ostatniej chwili ugryzła się w język. - Nie. Przesiedzę tu cały dzień, jeśli będzie trzeba.

- No dobrze - westchnął Ashe z rezygnacją. Powoli zaczął ściągać rękawiczkę. - Nigdy nie uważałem się za ekshibicjonistę, ale skoro sama tego chcesz...

- Chyba nie masz zamiaru tu się rozbierać - wyszeptała ze zgrozą. - Nie wierzę.

- Będę musiał wstać, żeby ściągnąć spodnie - powiedział jakby do siebie. Rzucił rękawiczkę na stół i zabrał się za ściągnięcie drugiej.

Bel wyprostowała się sztywno na fotelu i wbiła wzrok w ulicę za oknem. Ashe nie mógł mówić poważnie. Niemożliwe...

Druga rękawiczka wylądowała na blacie stolika. Bel kątem oka widziała, jak długie palce Ashe'a chwytają za górny guzik surduta.

Lady Throckington wycelowała monokl w jego profil.

- Przystojny młody mężczyzna - powiedziała głośno do swej towarzyski z bezwstydną szczerością, cechującą niektóre kobiety w jej wieku i klasie. - Założę się, że uprawia boks. I z pewnością umie się rozbierać.

Jej rozmówczyni, bez wątpienia przyzwyczajona do tego, że pracodawczyni pożera wzrokiem co przystojniejszych lokajów, zachowała milczenie.

Uszy Ashe'a lekko się zaróżowiły, ale guzik został rozpięty. Przesunął dłoń niżej, do następnego.

- No cóż, Bel, jeśli tobie nie spodoba się scena, to tej starej flądrze na pewno.

- Nie ośmielisz się.

Ashe odpowiedział uśmiechem, który natychmiast przypomniał Bel chwile ich wspólnych uniesień.

- Przekonajmy się.

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Po rozpięciu surduta Ashe zabrał się za guziki kamizelki. Bel przeliczyła je bliska szaleństwa. Cztery. Pierwszy został rozpięty... Drugi...

- Idę - oznajmiła, podnosząc się z fotela.

- Ze mną?

- Nie.

- Jeśli stąd wyjdiesz, nie pozwalając mi iść z sobą, to porwę cię na ręce i zaniosę.

Bel z powrotem usiadła. Trzeci...

- Nie wiesz, który pokój zajmuję.

- Pierwsze piętro od frontu, pierwsze drzwi po lewej stronie. Klucz spoczywa w mojej kieszeni. To mi przypomina, że muszę go wyjąć, zanim pozbędę się spodni.

Czwarty...

- Skąd masz ten klucz?



- Od kuzynki Elinor, oczywiście. - Rozwiązał krawat. - Zrobię to, Bel. To nie groźba, tylko obietnica. - Zaczął rozpinąć koszulę pod szyją. Lady Throckington gapiła się w ich stronę z otwartymi ustami.

- Dobrze - poddała się Bel. Gotowa była zrobić wszystko, byle przerwać tę scenę. Kiedy już znajdzie się w holu, będzie mogła uciec. Przecież nie będzie jej gonił po ulicy.

Ashe wstał, podsuwając jej ramię. Bel zignorowała jego gest; zaczerwieniona po uszy szybko ruszyła w stronę drzwi. Kiedy mijała fotel lady Throckington, staruszka, nie patrząc na nią, parsknęła skrzekliwym śmiechem.

W holu, niestety, było pusto. Bel miała nadzieję, że wmiesza się w tłum i wymknie na ulicę. Udała, że kieruje się na schody, po czym szybko zawróciła, żeby pobiec do wyjścia. Ashe złapał ją, nim tam dotarła, i zarzucił sobie na ramię niczym worek zboża.

- Och! - syknęła ze złością i zaczęła machać nogami, ale na Ashe'u nie zrobiło to żadnego wrażenia. Trzymając ją mocno, wszedł na schody.

- Poczekaj tylko, aż stanę na nogach - ostrzegła.

Nie było odpowiedzi. Przed drzwiami jej pokoju Ashe wsunął rękę do kieszeni, wy dobył klucz i zaraz potem znaleźli się w środku.

Bel zachwiała się, kiedy postawił ją na ziemi. Trzymając się słupka przy łóżku, patrzyła, jak Ashe przekłada klucz do wewnątrz, przekręca go w zamku, a potem... wyrzuca przez okno.

- Jak stąd wyjdziemy? - spytała, nie mogąc uwierzyć w to, co widziała.

- Jak już będziemy gotowi... w końcu... zadzwonimy i ktoś przyjdzie, a wtedy wytłumaczymy przez drzwi, że niestety zgubiłem klucz. - Widząc, że Bel spogląda na sznurek dzwonka, Ashe szybko zarzucił go tak, że zawisł wysoko zaczepiony o ramę lustra nad kominkiem.

Znalazła się w pułapce.

- Świetnie. - Podeszła na sztywnych nogach do krzesła i usiadła. - Dopią-  
łeś swego. - Serce jej waliło jak oszalałe. Wiedziała, że jeśli Ashe zapragnie się  
z nią kochać, nie będzie w stanie mu się oprzeć. Tak bardzo go pragnęła... - Co  
masz mi do powiedzenia?

- To ty mi powiedz, co znaczyły słowa, które wypowiedziałaś na klifie. -  
Zrzucił z siebie surdut razem z kamizelką.

- Przestań się rozbierać, bo mnie rozpraszasz - poprosiła drżącym głosem.

- Powiedz mi prawdę, to przestanę.

Bel gorączkowo szukała w głowie jakiegoś przekonującego kłamstwa.  
Nie mogła mu przecież powiedzieć, że go kocha.

- Wiesz o tym, że cię lubię. Nie chciałam, żebyś został ranny albo miał  
kłopoty.

- Ja lubię wielu ludzi, ale serce mi nie pęka, jeśli któremuś z nich przyda-  
rzy się coś niemiłego. - Śnieżnobiała koszula wylądowała na podłodze, a Ashe  
usiadł i zaczął zdejmować buty.

- Powiedziałam ci, że nie chcę powtórnie wychodzić za mąż - wyrzuciła z  
siebie Bel. - Jeśli ci powiem, co wtedy miałam na myśli, uznasz mnie za hipo-  
krytkę.

- Przekonajmy się.

Nie potrafiła jasno myśleć, kiedy tak siedział przed nią z nagim torsem;  
opuszczenie wzroku na jego bose stopy niewiele pomogło.

- Kocham cię - powiedziała takim tonem, jakby w sądzie przyznawała się  
do winy.

- Bel! - Rzucił się przed nią na kolana i ujął obie jej dłonie.

Był tak blisko... Czowała bijące od niego ciepło, starczyło lekko się pochy-  
lić, by oprzeć głowę na jego ramieniu, pocałować gładką skórę na napiętych  
mięśniach...

- Przepraszam - szepnęła. - Na samym początku powiedziałam ci... i mam nadzieję, że wyraziłam się jasno, że chcę jedynie fizycznego związku. Roman-  
su.

- Owszem, postawiłaś sprawę całkiem jasno - przyznał. - Spójrz na mnie, Bel.

- Nie. - Pokręciła głową. - Byłam zła, kiedy mi się oświadczyłeś po tym, jak ciotka Louisa nas przyłapała. Nie mogłam znieść, że poprosiłeś mnie o rękę tylko ze względu na honor.

- Zawsze chciałem być wobec ciebie uczciwy, Bel. A nie byłbym, gdy-  
bym ci wtedy powiedział, że cię kocham.

Iskierka niemądrej nadziei rozbłysła i zaraz zgasła.

- Oczywiście, rozumiem.

- Nie rozumiałem tego, co czułem. Wtedy. A co się stało pod wierzbą nad jeziorem, Bel?

- Uświadomiłam sobie, że cię kocham. - Głos jej się załamał. Ashe przy-  
łożył jej dłoń do policzka, żeby nie odwracała głowy. „Mów dalej”, poprosił  
wzrokiem. - I że nie mogę dłużej być twoją kochanką. Chciałam od ciebie cze-  
goś więcej, a ty nie mogłeś mi tego dać.

- Wiesz, co zrobiłem, kiedy zniknęłaś z Londynu? Poszedłem na Half  
Moon Street i Hedges nie chciał mi powiedzieć, gdzie jesteś. Spodziewałem  
się, że będę zły i rozczarowany, a poczułem się zagubiony. Nie mogłem sobie  
znaleźć miejsca. I nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. To było coś nowego.  
Tamtej nocy zakradłem się do twojego domu, wszedłem do twojej sypialni,  
usiadłem na niedźwiedziej skórze i myślałem o tobie. O nas. Przesiedziałem  
tak w ciemności całą noc. I rano już wiedziałem, co czuję, Bel, kocham cię.

- Och. - Obserwował jej twarz, na której radość mieszała się ze zdziwie-  
niem. - I nic mi nie powiedziałaś?

- Najpierw musiałem cię znaleźć. To przynajmniej było łatwe. Planowałem wynająć detektywów, obmyślałem różne strategie... ale okazały się niepotrzebne. Przy śniadaniu mama oznajmiła, że jedziemy do Margate, bo ta miła lady Belinda zachęciła ją do odwiedzenia tego kurortu.

- Uważa, że jestem miła?

- Uważa, że będziesz idealną synową. - Uśmiechnął się ciepło. - Ale może trochę poczekać. Postanowiłem zacząć wszystko od początku i ubiegać się o twoje względy, jakbyśmy nigdy nie byli kochankami. Trwało to, dopóki nie zobaczyłem, jak wchodzisz do kabiny kąpielowej. Pragnąłem cię tak bardzo, że nie mogłem się oprzeć.

- Ja też - przyznała Bel.

- A potem powiedziałaś mi, że nie możemy tego robić nigdy więcej.

Wiedziałem, że coś jest nie tak, ale nie rozumiałem co. Postanowiłem więc dalej się do ciebie zalecać, aż w końcu zrozumiesz, albo ty zaufasz mi na tyle, że sama mi powiesz.

- Ufam ci - szepnęła, kładąc mu dłoń na piersi.

Czuła pod palcami mocne bicie jego serca.

- Wiedziałem, że coś się zmieniło - powtórzył. - Ale gdybym ci powiedział, że cię kocham, zarzuciłabyś mi emocjonalny szantaż, jak wcześniej. A ja chcę się z tobą ożenić, Bel. Chcę być z tobą na zawsze. Chcę mieć z tobą dzieci i razem się zestarzeć. Musiałem się dowiedzieć, dlaczego uciekłaś, choć w moich ramionach rozpływałaś się z namiętności.

- Małżeństwo?

- Wiem, że nie chcesz powtórnie wychodzić za mąż, Bel. Dam ci tyle czasu, ile będziesz potrzebowała, żeby to przemyśleć. Obiecuję, że zapewnię ci tyle wolności, ile tylko będziesz chciała.

- Niczego bardziej nie pragnę, niż być twoją żoną. Nie miałam pojęcia, że takie uczucia w ogóle istnieją. I to, że będę chciała do kogoś należeć tak całkowicie i bez reszty, jak chcę należeć do ciebie. Ashe, w dniu, kiedy poznałam twoje siostry, zanim się dowiedziałam, kim są, myślałam, że Katy musi być twoją córką... nim do mnie dotarło, że wiek się nie zgadza. Przez cały dzień rozmyślałam o tym, jak by to było mieć z tobą dzieci. Ale nadal nie zdawałam sobie sprawy, że cię kocham.

Wzruszenie ścisnęło Ashe'a za gardło, przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Kocham cię - powiedział wreszcie. - Ty mnie kochasz. Chcemy być razem na zawsze. Jeśli uda mi się załatwić pozwolenie, może pobierzemy się tutaj? Chyba że wolisz wrócić do Londynu i zorganizować uroczystą ceremonię?

- A nie moglibyśmy się pobrać w Coppergate? Chcę mieć wokół siebie twoich bliskich, żeby stać się częścią ich życia, Ashe.

- Tak, Bel. To wspaniały pomysł. - Nagle zrozumiał, dlaczego dotąd niechętnie wracał do rodzinnego majątku. Czuł, że Coppergate stanie się naprawdę jego domem dopiero wtedy, kiedy sprowadzi tam swoją żonę. Nic dziwnego, że będąc tam, wszędzie widział Bel. Instykt podpowiadał mu, że jest stworzona dla niego i tam jest jej miejsce. Powinien był posłuchać głosu serca.

- Pobierzemy się najszybciej, jak można, gdy tylko przyjadą twoi krewni.

Odczytując uczucia malujące się na twarzy Ashe'a, Bel pomyślała, że teraz, kiedy już wyznali sobie miłość i zgodziła się go poślubić, Ashe może chcieć ją ustawić na piedestale i zachowywać się wobec niej tak, jak nakazuje honor dżentelmena.

- Ashe - zaczęła, przesuwając dłonie z jego piersi niżej, na biodra. - Nie chcę przez cały miesiąc udawać cnotliwej narzeczonej, którą interesuje jedynie kompletowanie ślubnej wyprawy. Jedną już skompletowałam i wiem, jakie to

nudne. Ashe... - ściszyła głos do zmysłowego szeptu. - Chcę, żebyśmy się kochali, teraz, chcę cię poczuć w sobie, chcę, żebyś mnie sobą wypełnił bez zachowywania ostrożności, bez żadnych ograniczeń... czy nie powinniśmy myśleć o powiększeniu rodziny?

- Bel... - Porwał ją w ramiona, przeniósł przez pokój i postawił przy łóżku. - Nie wiem, jak się wytłumaczymy ze skandalu, ale postanowiłem zdemolować to łóżko dzisiejszego popołudnia.

Ich ubrania pofrunęły na podłogę, a Bel położyła się na pościeli.

- Ależ... - wyszeptał Ashe zaskoczony. - Jesteś taka cudowna... - Odwrócił ją twarzą do poduszki i przesunął dłońmi po jej plecach, aż do pośladków. - I piękna...

Bel, zaskoczona zmianą pozycji, zadrżała ze wstydu... i z podniecenia.

- Nie mogę cię dotykać - zaprotestowała słabo, czując, jak ogarnia ją żar, kiedy Ashe wsunął rękę między jej uda.

- Jeszcze będziesz miała okazję, *ma belle* - obiecał zdyszczanym szeptem tuż przy jej uchu. Był wilgotna i gorąca, gotowa przyjąć go w siebie. Kiedy w nią wszedł, odchyliła głowę do tyłu, instynktownie unosząc biodra, by zespolić się z nim jeszcze mocniej.

Poruszali się we wspólnym rytmie, aż w końcu wstrząsnął nimi ten dreszcz, który przyprawił ich o rozkosz, silniejszą niż kiedykolwiek, bo Ashe nadal w niej był i po raz pierwszy czuła w sobie żar jego spełnienia.

Obudziła się wtulona w jego rozgrzane ciało. Natychmiast przypomniała sobie jego wyznanie miłości; powtarzał je wielokrotnie, dając jej cielesny dowód siły swego uczucia.

- Ja też cię kocham - wyszeptała, muskając ustami jego spoconą, lekko słonawą skórę na szyi.

Natychmiast poczuła dobrze znane mrowienie w dole brzucha. Kiedy przesunęła językiem po krawędzi jego ucha, Ashe się obudził.

- Może powinniśmy pójść obwieścić rodzinie i znajomym dobrą nowinę?  
- zapytał.

- Za minutkę - odpowiedziała Bel, tylko na moment przerywając pieszczotę.

- Dobrze - mruknął ugodowo Ashe. - Może być za godzinę.

